

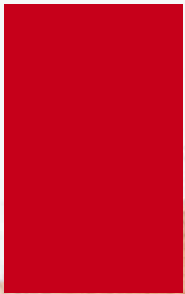
Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- **Chiny to partia. A partia to Xi**
- Jachira: Kocham wolność i Balcerowicza • Unijny Plan Odbudowy to nie plan Marshalla
- Jak żyć, gdy wszystko jest brudne • Opornik w Kościele



WYSOKIE OBCASY
Rokowania mnie nie interesują
Moje życie nie jest chorobą



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl



Maria Peszek
i Jan Peszek

Niegojąca się historia

FOT. DAWID GRZELAK / WYDAWNICTWO MAGINESY

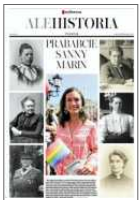
wydaje Agora SA
nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X

4 1 >

9 770860 908167

Prababki Sanny Marin
Finki jako pierwsze
w Europie zdobyły
prawa wyborcze



Anne Applebaum:
Rosjanie nigdy nie
wyciągnęli wniosków
z własnej historii

Hańba Buczacza
350 lat temu Rzeczpospolita
przeżyła największe
upokorzenie w swojej historii

Czy kraj, który zwalcza UE, może być adwokatem Kijowa?

Ukraina maszeruje na zachód, Polska PiS-u idzie na wschód

Wielński



Państwo, które chce uważać się za przyjaciela Ukrainy, nie może zwalczać Unii Europejskiej. Czy obecna Polska spełnia to kryterium?

To są oczywiste prawdy, ale najwyraźniej trzeba je regularnie przypominać. Rosja rozpoczęła agresję przeciwko Ukrainie nie 24 lutego tego roku, ale osiem lat wcześniej. Wiosną 2014 r. zajęła Krym, kilka miesięcy później część Donbasu. Gdy zawiódł Wiktor Janukowycz, rosyjski agent, który został prezydentem Ukrainy, prezydent Rosji Władimir Putin postanowił użyć siły, by zrobić z Ukrainy wasalę.

Bezpośrednim powodem była wynegocjowana umowa o utworzeniu „pogłębionej i kompleksowej strefy wolnego handlu” między Ukrainą a Unią Europejską, pierwszy poważny krok ku akcesji Kijowa do UE. Gdy Janukowycz zgodził się na instrukcje

z Kremla odmówił podpisania tego dokumentu, na ulice ukraińskich miast z ukraińskimi i unijnymi flagami w rękach wyszły tysiące protestujących. Nie rozbiegli się, choć władza nasyłała na nich bojówkarzy i strzelała ostrą amunicją. To Janukowycz musiał uciekać z kraju, a wtedy, by zatrzymać Ukrainę na jej drodze na Zachód, zbrojnie zainterweniowała Rosja. Ukraińcy nie ulegli presji, nie porzucili prozachodnich aspiracji. Putin osiem miesięcy temu postanowił rozwiązać problem raz na zawsze, zlikwidować Ukrainę jako państwo i naród. Poniósł porażkę.

To także oczywista prawda: Ukraińcy, broniąc się przed rosyjskim najeźdźcą, bronią prawa do decydowania o przyszłości swojego kraju. Prezydent Wołodymyr Zełenski już cztery dni po rozpoczęciu inwazji, gdy rosyjskie wojska podchodziły pod Kijów, a stolica była bombardowana, podpisał wniosek o przyjęcie do Unii Europejskiej. Został on przyjęty, a Ukraina – co jeszcze rok temu wydawało się mrzonką – została uznana za kandydata. Wojna od 2014 r. toczy się w zasadzie o to, czy Ukraina może wejść do UE i NATO i stać się częścią Zachodu, czy też ma ją wchłonąć odtwarzane przez Putina rosyjskie imperium.

W tym czasie, gdy Ukraina przygotowuje się do rozpoczęcia negocjacji i – jeśli wierzyć przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen – robi niesamowite postępy, czolowi politycy Prawa i Sprawiedliwości zacieśniają związki z zachodnioeuropejską skrajną prawicą. To partie zażarcie zwalczające Unię Europejską, któ-

Wojna od 2014 r. toczy się w zasadzie o to, czy Ukraina może wejść do UE i NATO i stać się częścią Zachodu

rych przywódcy przez lata nie kryli podziwu dla Władimira Putina, a często otrzymywali jego wsparcie. Politycy PiS-u gładko przejęli ich antyunijną retorykę. Na kongresie organizowanym przez skrajnie prawicową partię Vox w Madrycie premier Mateusz Morawiecki – ten, który niedawno przedstawiał się jako ostatni Europejczyk w rządzie PiS-u – mówiąc o Unii Europejskiej, używał sformułowań „ponad-

narodowa bestia”, „zwierzę bez tradycji”. Miesiąc temu Jarosław Kaczyński na spotkaniu z wyborcami w Karpaczu mówił, że Zachód jest „obcy kulturowo”, wcześniej straszył nastaniem „IV Rzeszy”. To nie są przypadkowe ani niewinne sformułowania. Tym bardziej że obóz władzy wyraźnie mówi o zaostreniu kursu wobec Brukseli i o sabotowaniu prac UE. Z ust pomniejszych rangą polityków PiS-u padają jeszcze dosadniejsze sformułowania. Kampania przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi stanie się wielkim antyunijnym i antyniemieckim festiwalem. Ta desperacka taktyka ma pozwolić PiS-owi utrzymać władzę. Ukraina szybko maszeruje na zachód, Polska PiS-u idzie na wschód.

Polska udzieliła napadniętej Ukrainie gigantycznej pomocy, przekazując broń, pieniądze, przyjmując miliony uchodźców. Rząd PiS-u ciągle uważa się za adwokata Kijowa na drodze do członkostwa w Unii Europejskiej. Ale czy kraj, który Unię osłabia, a wręcz ją zwalcza, który mówiąc o Zachodzie, używa retoryki, po którą sięga sam Putin, może odgrywać taką rolę? Nie. Prędzej czy później taki partner stanie się dla Ukrainy obciążeniem. ●

Bartosz T. Wielński

Tydzień zdrowia PSYCHICZNEGO

7

LAT

tylko tyle dzieli nas od czasów, gdy depresja będzie najczęstszą chorobą na świecie – wynika z danych WHO.

8

MLN

dorostych Polaków cierpi na różne zaburzenia psychiczne. I ok. 4 mln dzieci.

• Jak pomóc sobie i bliskim? Z okazji Światowego Dnia Zdrowia Psychicznego „Gazeta Wyborcza” przygotowała Tydzień Zdrowia Psychicznego. Oglądaj, słuchaj, czytaj na Wyborcza.pl i Wysokieobcasy.pl

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Czy hiena jest dobrą matką?

Sir David Attenborough chce sprawdzić waszą wiedzę. Rozwiąż quiz o dzikich zwierzętach ► Wyborcza.pl

To nie film science fiction Sposób na armageddon

Łudność po raz pierwszy zmieniła orbitę planetoidy. Mamy więc sposób na obronę Ziemi przed niebezpiecznymi skalami z kosmosu. Zagrożenie teraz jest minimalne, ale warto się zabezpieczyć.

Sukcesem zakończył się międzynarodowy eksperyment zderzenia próbnika DART – wielkości łódzki – z planetoidą Dimorphos o rozmiarach piramidy egipskiej. Stało się to 26 września. Dobre wieści przekazał administrator NASA Bill Nelson. Dimorphos to 170-metrowa skala, księżyc krążący wokół większego, mierzącego około 800 metrów Didymosa. Uderzenie ziemskiego próbnika miało miejsce 11 milionów kilometrów od Ziemi.

Naukowcy są przekonani, że taka metoda – uderzenia w planetoidę – pozwoli w przyszłości na uniknięcie potencjalnej katastrofy kosmicznej o rozmiarach kontynentu.

Efekty tych „kosmicznych fajerwerków” obserwowano za po-



FOT. NASA

mocą teleskopów naziemnych oraz z kosmosu (zaangażowano zarówno Teleskop Hubble’a, jak i Jamesa Webba).

Z bliska miał je szansę sfotografować niewielki próbnik Włoskiej Agencji Kosmicznej o nazwie LICIACube. Zebrane przez niego obrazy przedstawiają „kleksa”, którego szczegóły nie tylko mają walory estetyczne, ale zawierają też cenne informacje o efektach kraksy z DART-em. Będą intensywnie analizowane. Już w 2027 r. obie planetoidy odwiedzi bezzałogowa misja HERA tworzona przez Europejską Agencję Kosmiczną. ● **Kamil Deresz**

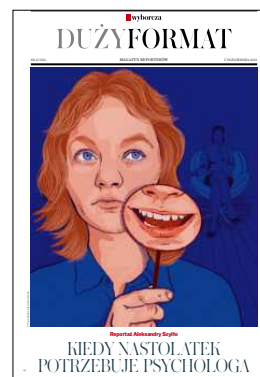
Andrzej rysuje



W poniedziałek Duży Format

Kiedy nastolatek potrzebuje psychologa

Psycholog, terapeuta, coach, psychiatra – jak wybierać? Z jednej strony pomoc w ramach NFZ jest mocno ograniczona. Z drugiej – w wielkim mieście i odpłatnie – można się pogubić w ofertach



Mentorzy pracujący na całym świecie zainspirują przedsiębiorców z Pomorza Zachodniego

Ubierała Lady Gagę i Fergie, tworzy stroje do produkcji filmowych i telewizyjnych, uczestniczy w sesjach do Vogue'a. Teraz, na zaproszenie Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego Olgierda Geblewicza, projektantka Katarzyna Konieczka będzie pracować z kreatywnymi przedsiębiorcami z Pomorza Zachodniego. Żeby wesprzeć ich w rozwinięciu biznesu na arenie krajowej i międzynarodowej.

Program mentorski to kolejna inicjatywa skierowana do kreatywnych przedsiębiorców z regionu, utalentowanych twórców, osób z innowacyjnymi pomysłami, które chcą założyć i rozwinąć działalność gospodarczą na Pomorzu Zachodnim.

Marszałek Województwa zaprasza mikro, małe i średnie przedsiębiorstwa z regionu do wzięcia udziału w wyjątkowym programie mentorskim realizowanym w ramach projektu Pomorze Zachodnie Innowacyjne/Kreatywne/Nowoczesne. Zwycięzca, wyłoniony przez kapitułę konkursową, pierwsze spotkanie z mentorem odbędzie jeszcze w październiku.



– Wyróżniamy się na tle innych regionów europejskich w działaniach na rzecz rozwoju przedsiębiorczości. Do silnego gospodarczo Pomorza Zachodniego prowadzi droga, którą chcemy podążać razem z lokalnymi inicjatywami, dlatego inwestujemy w gospodarkę opartą na wiedzy. Wychodząc naprzeciw potrzebom przedsiębiorców rozpoczynamy program, który z całą pewnością będzie dla nich inspiracją i wsparciem – mówi Marszałek Województwa Zachodniopomorskiego **Olgierd Geblewicz**.

Mentoring będzie realizowany w ramach cyklu Pomorze Zachodnie Innowacyjne/Kreatywne/Nowoczesne. Trzy główne tematy działań zaplanowanych w tym projekcie to: design, nowoczesne technologie (w tym zielona energia) oraz zarządzanie i marketing. Celem jest rozwój innowacji, wymiana wiedzy, dzielenie się doświadczeniami.

Pierwszym mentorem w ramach prowadzonego projektu będzie **Katarzyna Konieczka**. Tworzy wyjątkowe kostiumy zarówno sceniczne, jak i dedykowane do sesji zdjęciowych w magazynach Vogue czy I-D Magazine. Współpracowała m.in. z Lady Gagę, Fergie czy Amber Rose. Została okrzyknięta jedną z „10 projektantów mody przyszłości” przez amerykański serwis CNN.

Zadaniem mentorki będzie analiza funkcjonowania przedsiębiorstwa

oraz wskazywanie potencjalnych rozwiązań pojawiających się problemów, wsparcie w nawiązaniu kontaktów biznesowych, a także wskazanie możliwych kierunków rozwoju w danej branży.

– Co najważniejsze, program mentorski ma charakter bezpośrednich spotkań uczestników programu z renomowanym, światowej klasy specjalistą. Sesje mentorskie w siedzibie przedsiębiorców mają pokazać pomysły dające narzędzia do wprowadzenia innowacyjnych rozwiązań, które pozwolą wyjść ze swoim produktem czy usługą na rynek krajowy i międzynarodowy – podkreśla Marszałek **Olgierd Geblewicz**.

Efekty współpracy oraz wypracowanych rozwiązań zostaną zaprezentowane na konferencji poświęconej tematyce designu, która odbędzie 23 listopada 2022 r. w Operze na Zamku w Szczecinie. W wydarzeniu wezmą udział m.in. Robert Kupisz, Gosia Baczyńska i Oskar Zięta, a także zagraniczni projektanci, architekci. Prelegenci podzielą się swoją wiedzą i doświadczeniem zarówno ze sceny, jak i podczas bezpośrednich spotkań z przedsiębiorcami po wydarzeniu. Zaprezentują swoją twórczość, opowiedzą o sukcesach i drodze, która zaprowadziła ich na szczyt.

Więcej informacji już wkrótce na www.biznes.wzp.pl

design

PROGRAM
MENTORSKI
DLA FIRM

INNOWACYJNE
KREATYWNE
NOWOCZESNE

Pomorze
Zachodnie

Mentorka
Katarzyna Konieczka
projektantka mody / kostiumografka

Więcej informacji na:
biznes.wzp.pl





CHINY TO PARTIA, A PARTIA TO

Xi

Jak poniewierany za młodu syn upadłego
prominenta partyjnego został
władcą absolutnym Chin

Robert Stefanicki



Iżaden człowiek na świecie nie ma więcej władzy niż on. Prezydent Stanów Zjednoczonych liczy się z parlamentem i może służyć najwyżej dwie kadencje. Karlejąca Rosja nie może się równać z potężniejszymi Chinami, a Xi, w przeciwieństwie do Putina, nie musi oglądać się przez ramię. Rozpoczynający się w sobotę zjazd Komunistycznej Partii Chin (KPCh) potwierdzi jego przywództwo na kolejną, trzecią kadencję. I zapewne – o ile Xi nie zostanie wcześniej wezwany na łono Konfucjusza – nie będzie to kadencja ostatnia.

Na szczyt zaprowadziła go mieszanina koneksji rodzinnych, umiejętności manewrowania w partyjnych koteriach oraz szczęścia.

Urodził się w Pekinie w 1953 r. jako trzeci z czwórki dzieci nowych komunistycznych arystokratów. Jego ojciec Xi Zhongxun rewolucję wzniecał od lat szkolnych, kiedy to razem z kolegami z klasy próbował otruć nauczyciela uznanego za kontrrewolucjonistę. Został za to wysłany do więzienia, gdzie wstąpił do partii komunistycznej, potem został wysokim dowódcą Czerwonej Armii Mao Zedonga walczącej z rządem nacjonalistów i okupantami japońskimi. W 1935 r. rywalizująca frakcja oskarżyła Xi o nielojalność i nakazała pogrzebanie go żywcem, ale Mao zażegnał kryzys.

Kiedy komuniści opanowali Chiny pod koniec lat 40., Xi Zhongxun kierował pracą polityczną na północnym zachodzie, zamieszkałym przez mniejszości tybetańską i muzułmańską, które niechętnie podporządkowywały się nowej władzy. Jego rządy na

tle terroru zalecanego przez Mao były dość łagodne – Xi odradzał prowadzenie walki klasowej wśród pasterzy i stawiał na dyplomację, dzięki czemu udało mu się zatamować rebelię. Dalajlama, który w 1954 r. spędził z nim nieco czasu w Pekinie, pamięta go jako „bardzo przyjacielskiego, miłego, z dość otwartą głową”. Xi Zhongxun był wówczas szefem wydziału propagandy, pięć lat później został wicepremierem.

„Wszędzie na tej ziemi zapanował nieopisany chaos – sytuacja jest doskonała”

MAO ZEDONG

Mały Xi Jinping został przyjęty do elitarnej szkoły, nazywanej „kolebką przywódców”, mieszczącej się w dawnym pałacu książęcym. Niedługo potem, w 1962 r., jego ojciec padł ofiarą czystki. Zdaniem Josepha Torigiana, autora książki o chińskich przywódcach, to wydarzenie miało ogromny wpływ na przyszłego przewodniczącego KPCh. Xi Zhongxun został oskarżony o przewożenie wrogiej partii kłice, gdyż popierał publikację książki o komunistycznym męczenniku, która rzekomo zawierała aluzję do ofiary wcześniejszej czystki. W stalinowskim systemie nie potrzeba było lepszego pretekstu. Xi został usunięty ze stanowiska i internowany w szkole partyjnej. Polecono mu pisać samokrytykę i angażować się w pracę fizyczną. Efekty były zadowa-

lające, bo w końcu dostał stanowisko zastępcy dyrektora fabryki traktorów. Jego żonę Qi Xin przydzielono do ciężkiej pracy na farmie. Ojciec Xi Jinpinga przypłacił swój upadek depresją, którą maskował, musząc rodzinę do bezwzględnej posłuszeństwa.

Ale najgorsze miało dopiero nadejść. W 1966 r. wybuchła rewolucja kulturalna. Mao, którego wpływy osłabły po ludobójczym Wielkim Skoku Naprzód, postanowił je odzyskać, szczując młodzież na „wrogów klasowych”. Tacy jak Xi Zhongxun byli najłatwiejszym celem. W styczniu 1967 r. grupa młodych ludzi zaciągnęła go na wiec walki klasowej. Został oskarżony m.in. o to, że podczas wizyty w Niemczech wschodnich przed laty obserwował przez lornetkę Berlin Zachodni. Tym razem uwięziono go w garnizonie wojskowym, gdzie spędził lata, chodząc po celi, jak opowiadał, „dziesięć tysięcy okrążeń w jedną, a potem dziesięć tysięcy w przeciwną stronę”.

W chwili wybuchu rewolucji kulturalnej Xi Jinping miał 13 lat – za mało, by dołączyć do hunwejbiniów, ale wystarczająco, by stać się ofiarą. Został zatrzymany kilka razy, zmuszony do zadenuncjowania ojca i uwięziony. Także jego matka była wielokrotnie upokarzana na sesjach walki klasowej. Na jedną wzięto ich razem. Tłum krzyczał „precz z Xi Jinpingiem”. Krzyczała także jego matka.

Przyjaciół rodziny opowiedział kiedyś historię, jak to Xi Jinping, korzystając z nieuwagi strażnika, wyszedł z aresztu w szkole partyjnej i poszedł do domu, gdzie poprosił matkę o jedzenie. Ta, zamiast dać



• **Rozpoczynający się w sobotę zjazd Komunistycznej Partii Chin potwierdzi przywództwo Xi na kolejną, trzecią kadencję**

RYS. PIERO OLIOSI/POLARIS/EAST NEWS

mu posilek, doniosła na niego. Xi został aresztowany następnego dnia i umieszczony w zakładzie karnym dla nieletnich. Nie miał o to do matki pretensji. Gdyby mu pomogła, tłumaczył, zostałaby uwięziona, a jego brat i siostra nie mieliby nikogo, kto by się nimi zaopiekował.

• **„Opowiedz mi twoją przeszłość, a powiem ci, jaka będzie twoja przyszłość”**

KONFUCJUSZ

W grudniu 1968 r., chcąc odzyskać kontrolę nad rewolucyjnym chaosem, Mao rozkazał czerwono-gwardzistom i innym studentom przenieść się na wieś, gdzie mieli zostać zredukowani przez chłopów. Członkowie partyjnych elit kierowali swoje dzieci do regionów, gdzie mieli rodzinę lub sojuszników. Xi Jinping pojechał do dawnej bazy swojego ojca w prowincji Shaanxi. Tam zaczyna się jego legenda, budowana w mitotwórczych wywiadach, których Xi później udzielił, i biografiach pisanych przez apologetów. Legenda o tym, jak skrzywdzony przez wiatr historii chłopiec wygnany na wieś ukształtował swój charakter

ciężką pracą i siłą woli. Chińska wersja od pucybuta do milionera: z jaskini do palacu.

Xi zamieszkał w otoczonej żółtymi klifami wiosce Liangjiahe, w domu wykutym w skale. Te okolice to także kolebka rewolucji komunistycznej. Tam, w jaskiniach Yan'an, uciekający przez nacjonalistami komuniści zakończyli swój Długi Marsz, Mao skonsolidował władzę nad partią, tam też narodził się jego kult jednostki. „Yan'an jest punktem wyjściowym mojego życia” – powiedział Xi w 2007 r.

Warunki były spartańskie. Około 70 młodych ludzi wysłanych do pracy na farmach w Shaanxi poniosło śmierć. Xi wspominał, że nie widział mięsa przez kilka miesięcy, a kiedy wreszcie dostał kawałek, zjedli je z kolegą na surowo. Praca była tak ciężka, że zaczął palić papierosy, aby mieć kilkuminutowe przerwy. Po trzech miesiącach uciekł do Pekinu, gdzie został aresztowany i przewieziony z powrotem do wioski. Aż narodził się na nowo, zasmakował wiejskiego życia. Mieszkał w jaskini z chłopami, spał na kangu (tradycyjnym łóżku z cegieł i gliny), znosił ukąszenia pcheł, przerzucał obornik, budował tamy i naprawiał drogi. Pod koniec siedmioletniego zesłania polubił marynowane warzywa, chłopskie smakołyki.

Pokoleniowe doświadczenie prześladowań podczas rewolucji kulturalnej buduje więź przewodniczącego z narodem. Podobnie doświadczenie skrajnej biedy, które pomogło mu docenić wysiłki partii, aby nędzę wykorzystać. Był poniewierany jak wszyscy, tyle że on wykorzystał trudny czas lepiej niż inni, jak przystało na urodzonego lidera. Nie tylko przetrwał, ale zrozumiał potrzeby biedniejszych Chińczyków i zdobył wiedzę, jak im pomóc. Niczym Budda, który dzięki doświadczeniu skrajnego wyczerpania doznał oświecenia i odkrył sposób ratowania wszystkich czujących istot.

Nie wszyscy byli tacy twardzi. Starsza przyrodnia siostra Xi po dziesięciu latach prześladowań powiesiła się na drążku prysznicowym. Ten szczegół mitologia pomija.

Po powrocie do Pekinu Xi zdecydował się dołączyć do partyjnej Ligi Młodzieży. Ze względu na kontrrewolucyjny status ojca podanie odrzucano mu siedem razy. Dopiero gdy Xi zaprzysiął się z odpowiednio umocowanym urzędnikiem, został przyjęty.

Nie była to oczywista ścieżka. Po koszmarze rewolucji kulturalnej wielu potomków elity komunistycznej desperacko uciekło od polityki. Włóczyli się, pili, czytali literaturę zachodnią. Niektórzy wyjechali na Zachód, gdy nadarzyła się możliwość. Rodzeństwo Xi też się rozproszyło: jego brat i siostra zajęli się biznesem w Hongkongu, druga siostra osiadła w Kanadzie.

Tymczasem Xi metodycznie inwestował w karierę w partii, do której został przyjęty w 1974 r., za dziesiątą próbą. Rok później dostał się na Wydział Technologii Chemicznej pekińskiego Uniwersytetu Tsinghua. Przyjęto go z puli „robotnik-chłop-żołnierz”, co oznaczało, że nie musiał zdawać testów, wystarczyło odpowiednie pochodzenie klasowe lub zasługi polityczne.

Tej wiosny jego ojciec został uwolniony po 16 latach prześladowań. Kiedy zobaczył swoje dorosłe dzieci, nie mógł ich rozpoznać. Ale jego wiara w partię nigdy się nie zachwiała. W listopadzie 1976 r. napisał do Hua Guofenga, który zastąpił Mao po jego śmierci, prosząc o zmianę przydziału, aby mógł „poświęcić partii resztę życia i starać się zrobić więcej dla ludzi”. Po dojściu do władzy Deng Xiaopinga Xi Zhongxun został sekretarzem prowincji Guangdong (Kanton), gdzie z zapalem liberalizował gospodarkę. Na koniec raz jeszcze postawił na złego konia, broniąc w 1987 r. liberalnego przywódcę KPCh Hu Yaobanga. Śmierć Hu była zacznym protestów na placu Tiananmen dwa lata później. Xi senior został odsunięty na emeryturę. Pozwolono mu żyć w komfortowym zapomnieniu aż do śmierci w 2002 r.

• **„Moje podejście polega na podgrzewaniu garnka na małym ogniu i dolewaniu zimnej wody, aby się nie wygotowała”**

Xi JINPING

Xi Jinping zrobił na wydziale prawa doktorat z teorii marksistowskiej i edukacji ideologicznej. W 1979 r. został doradcą Geng Biao, członka partyjnej komisji obrony i bliskiego towarzysza broni ojca z czasów rewolucji.

Niedługo po studiach poślubił Ke Xiaoming, córkę ambasadora Chin w Wielkiej Brytanii. Małżeństwo rozpadło się po kilku latach, Ke wyjechała do Londynu. Obecną żonę poznał w 1987 r. Peng Liyuan w wieku 24 lat była jedną z najslawniejszych śpiewaczek operowych. Wspominała, że na pierwszym spotkaniu, zaaranżowanym przez przyjaciela, Xi powiedział jej, że nie ogląda telewizji. „Jakie piosenki śpiewasz?”, zapytał. Peng pomyślała, że wygląda na niekulturalnego i znacznie starszego (miał 33 lata), ale zadawał jej pytania dotyczące techniki śpiewania, co uznała za przejaw inteligencji. Xi po 40 minutach postanowił poprosić ją o rękę. Peng porzuciła karierę i została żoną swojego męża, chociaż jeszcze długo Chińczycy jego kojarzyli jako męża Peng.

Jeszcze przed trzydziestką Xi ukuł ambitny plan wejścia do władz centralnych. Uznał, że musi wykazać się w terenie. Partia wysłała go do sąsiadującej z Pekinem prowincji Hebei, został zastępcą sekretarza jednego z okręgów. Było to poniżej jego ambicji, a lokalny szef partii blokował mu awans, więc Xi przeniósł się do południowej prowincji Fujian, gdzie jeden ze starych przyjaciół jego ojca był sekretarzem. Wkrótce został wiceburmistrzem półmilionowego wówczas miasta Xiamen, a w 1999 r. doszedł do stanowiska gubernatora prowincji.

Na zjeździe partii w 1997 r. Xi został zastępcą członka Komitetu Centralnego, choć otrzymał najmniej głosów spośród 151 wybranych. Dekadę później namaszczonego na pierwszego w kolejce do tronu po Hu Jintao, który po kolejnych pięciu latach w 2012 r. miał opuścić stanowisko pierwszego sekretarza KPCh – zgodnie z limitem dwóch kadencji, jaki narzuciło sobie przywództwo partii. Dopiero Xi zniósł tę zasadę.

Przed zjazdem w 2007 r. oczekiwano, że w wyścigu do Stałego Komitetu Politbiura – kilkusobowej grupy najważniejszych przywódców partyjnych – Xi przegra z Li Keqiangiem, ekonomistą bez rewolucyjnego rodowodu. Ale partyjnej wierchuszcze to Xi wydał się bardziej godny zaufania. Powodów można się jedynie domyślać – partia nie tłumaczy swoich decyzji, prawie nie nie wycieka do prasy.

Po pierwsze, Xi najwidoczniej nikomu nie zagrażał. Odchodzący przywódcy wolą słabo umocowanych następców, aby sami mogli pociągać za sznurki zza kulis. Słynął z tego 96-letni dziś Jiang Zemin, którego uznawano za szefa „frakcji szanghajskiej” i ojca chrzestnego „książąt”, czyli potomków prominentnych towarzyszy Mao. Jiang formalnie oddał władzę w 2002 r., ale jeszcze długo wpływał na najważniejsze decyzje w państwie poprzez lojalnych podwładnych. Jednak protegowani Jianga raz za razem potykali się na korupcji. Xi w międzyczasie dwukrotnie w ważnych prowincjach przybrzeżnych zastąpił skompromitowanych przywódców i posprzątał po nich. Można powiedzieć, że na walce z korupcją elit zbudował swoją obecną pozycję. Sam miał aurę człowieka skromnego: w Szanghaju zrezygnował z przydzielonej mu willi i stwierdził, że lepiej zrobić tam dom starców dla weteranów. Nadawał się na odnowiciela – i to mógł być drugi powód, dla którego został wybrany na gensęka.

Po trzecie, jego biografia pozwalała widzieć w nim kompromisowego kandydata, który załagodził tarcia we władzach KPCh – między dwoma głównymi frakcjami: książąt i Ligi Młodzieży, między regionem przybrzeżnym a prowincjami wewnętrznymi oraz między zaawansowanymi sektorami gospodarki a grupami społecznymi, które mniej skorzystały na reformach. Z perspektywy czasu można powiedzieć, że Xi te nadzieje spełnił. Im bardziej autorytarna władza, tym mniej przestrzeni na manewry frakcyjne.

Przed zjazdem w 2012 r. jego największym rywalem do przywództwa partii, czyli państwa, był Bo Xilai, „książę” z Chongqingu. Ale kilka miesięcy wcześniej jego żona Gu Kailai została oskarżona o otrucie obywatela Wielkiej Brytanii, który pośredniczył w jej biznesach z zachodnimi inwestorami.

Od czasu upadku bandy czworga nie było w partii większej afery. Nie dało się jej zamieść pod dywan, bo hałas narobiła ucieczka byłego szefa policji Chongqingu do konsulatu USA. Ten niedawny ausznik Bo twierdził, że ma dowody na udział jego i jego żony w morderstwie. Schronił się w konsulacie, gdyż bał się o swoje życie i chciał dostać azyl, lecz po 24 godzinach „z własnej woli” oddał się w ręce kamratów. W następstwie skandalu Bo został usunięty z partii, dostał zarzuty korupcji, sprzeniewierzenia funduszy publicznych oraz nadużycia władzy. On i jego żona usłyszeły wyroki dożywocia, chociaż dowody były wątpliwe.



➤ Tuż przed kluczowym zjazdem osłabił też odchodzący sekretarz Hu Jintao: szef jego sztabu został nagle zdegradowany, a później oskarżony o próbę ukrycia śmierci syna, który rozbił się w ferrari podczas seksu z prostytutkami.

● **„Jeśli nie wypłenimy z obecnych struktur takich zjawisk jak korupcja, nadzieje dzień, kiedy wybuchnie rewolucja taka sama, którą sami wzniciłiśmy przeciw Mandżurom”**

CZANG KAJ-SZEK

● **O**koliczności sprzyjały szybkiemu budowaniu przez Xi Jinpinga silnej pozycji, gdy tylko 15 listopada 2012 r. został sekretarzem generalnym KPCh. Od razu skupił się na zdobyciu jak największej kontroli nad partią. Burząc zastały układ frakcji, otoczył się zaufanymi ludźmi i ruszył do walki z korupcją pod hasłem „Polowania na tygrysa i łapania much”. Muchy to kadry niższego i średniego szczebla, tygrysy to skorumpowani przywódcy partii i państwa. Zadbał też o wizerunek: jednym z pierwszych dekretów zakazał urzędnikom państwowym wystawnych bankietów, mieli się ograniczyć się do „czterech dań i jednej zupy”.

Najważniejszym pomocnikiem Xi jest Wang Qishan, stary przyjaciel postawiony na czele Centralnej Komisji Dyscypliny i Kontroli. Śledczy Wanga, którym przyznano szerokie uprawnienia, wzięli na widelec urzędników innych agencji rządowych, które mogły przeciwstawiać się decyzjom Xi, oskarżając ich o spiski, nadużycia i łapówki. Aresztowano m.in. Zhou Yongkanga, byłego barona naftowego i ministra bezpieczeństwa publicznego, a także generała Gu Junshana, szefa logistyki, z którego domów policja wywozła cztery ciężarówki pełne wina, dzieł sztuki, gotówki i innych luksusów.

Do końca 2014 r. partia ogłosiła ukaranie ponad 100 tysięcy urzędników oskarżonych o korupcję. Skala kampanii nie miała precedensu i nie miała też końca – nawet bajeczny majątek ani miliony fanów nie ochronią biznesmena czy celebrytę przed karzącą ręką partii, jeśli się narazi. Bezpieczna jest tylko wąska grupa członków najwyższych władz – tak długo, jak długo pozostają lojalni wobec Xi.

● **„Ci, którzy wiedzą, nie rozmawiają. Ci, którzy mówią, nie wiedzą”**

LAO TZU

● **X**i Jinping oczywiście nie jest tak barwną postacią jak Mao – bo temu nikt nie dorówna – ale też nie jest pozbawiony właściwości, jak jego poprzednik Hu Jintao. Jednak, choć znamy jego biografię, nie wiemy, co myśli. Nie licząc wywiadów udzielanych na temat trudnej młodości, „Wujek Xi” – jak jest nazywany w chińskich mediach – nie prezentuje ludzkiego oblicza, jedynie cesarskie. Badaczom do studiowania pozostaje zbiór drętwych dzieł zwanych zbiorczo „myślą Xi Jinpinga”, które wkrótce każdy Chińczyk będzie musiał znać na wyrywki. Przywódca największego narodu świata nigdy nie zwołał konferencji prasowej, nie ma rzecznika, jest niemal nieobecny w mediach społecznościowych. Jego ważne przemówienia są zazwyczaj publikowane kilka miesięcy po tym, jak Xi wygłosił je na zamkniętych forach. Agencja Xinhua reklamuje je wtedy jako gorące newsy, ale opublikowane wersje mogą być mocno przeredagowane w stosunku do oryginałów. Nie jest łatwo przez nie przebrnąć. Można przyjąć, że chińscy przywódcy świadomie wygłaszają nudne przemówienia i piszą nudne książki, żeby nikt nie pomyślał, że chcą się komuś przypodobać, co byłoby uznane za oznakę słabości. Unikają konkretów, żeby nie dało się ich cytować poza kontekstem, błędnie interpretować lub użyć w wewnętrz-

nych walkach o władzę. Pozostaje analizować czynny.

Xi Jinping rozczarował zachodnich ekspertów, którzy widzieli w nim kandydata na chińskiego Gorbaczowa. Żywi on szczególnie pogardę dla ostatniego przywódcy ZSRR zwłaszcza za to, że „nie obronił partii przed jej przeciwnikami”, co pokazuje jego partiocentryczny ogląd rzeczywistości. To upadek partii miał pograżyć sowieckie imperium. Tamto wydarzenie od czterech dekad pozostaje dla chińskich przywódców dowodem na konieczność utrzymania pod kontrolą życia politycznego, ale dopiero Xi zrobił z tego bezwzględny priorytet.

Za jego poprzedników można było dyskutować o zachodnich ideach politycznych, o ile nikt nie próbował ich urzeczywistniać. Dziś nawet to jest zabronione. Słynna fraza „góry wysoko, a cesarz daleko” jest już nieaktualna. Władza robi wszystko, co może – a może coraz więcej – aby kontrolować słowa i myśli 1,4 miliarda Chińczyków. Miała się gęsto oplecione kamerami rozpoznającymi twarze i podsłuchującymi, ale najlepszym narzędziem szpiegowskim pozostają smartfony, bez których da się funkcjonować tylko na zapadłej wsi. Zapora sieciowa ogranicza użytkowników internetu do treści zatwierdzonych przez rząd. Cenzura jest coraz sprawniejsza, także w mediach społecznościowych, które w krótkim okresie między ich zaistnieniem a okrzepnięciem reżimu Xi były wentylem niezadowolenia społecznego. Nie wolno używać zabronionych słów i zwrotów. Opozycja umarła wraz z uwięzionym noblistą Liu Xiaobo. Krytyka partii uchodzi na sucho jeszcze tylko z pozycji ultralewicowych, ale do czasu.

Rozwój gospodarczy – rozumiany jako wzrost PKB – nie jest priorytetem Xi Jinpinga, choć zdaniem zachodnich ekspertów na utrzymaniu wzrostu opiera się jego władza. Ale zachodni eksperci nieraz się mylili co do Chin. Xi wie swoje. Dla niego ważniejsze jest zacieśnienie kontroli i uformowanie nowego chińskiego obywatela: zdyscyplinowanego, ślepo kochającego partię, wolnego od nalogów społecznych.

● **„Słaby lud – to silne państwo”**

GONGSUN LONG

● **D**la niewielu rządów na świecie ideologia odgrywa dziś tak istotną rolę jak w Chinach – chyba tylko w Korei Północnej i Afganistanie talibów. Bogdan Góralczyk w książce „Nowy Długi Marsz. Chiny ery Xi Jinpinga” pisze, że Xi „próbuje ponownie wznicić ideologiczny żar i wiarę w system, która tak mocno się zachwiała na przełomie lat 80. i 90. poprzedniego stulecia. Wie, że w społeczeństwie pojawiła się mentalna i ideowa próżnia, jakże często zastępowana tylko jedną nową wartością – bezgraniczną wiarą w pieniądź”.

Xi kultem mamony gardzi. Jest gotów zwalczać wszechogarniającą komercjalizację chińskiego społeczeństwa i towarzyszącą temu zjawisku grzechy: nowobogackich, celebrytów, korupcję, narkotyki, prostytucję, uzależnienie młodzieży od gier komputerowych, ale też narodową obsesję płatnych korepetycji. Jeśli tylko pasuje mu to do jakiegoś fragmentu politycznego planu, potrafi uderzyć regulacjami w największe cerny technologiczne, będące znakami firmowymi Chin XXI w., powodując gwałtowny spadek ich wartości. Jak zadekretuje „zero tolerancji dla COVID-u” i nakaze zamknięcie w bezwzględnej kwarantannie całe metropolie, to nie odpuści, choćby wskaźniki gospodarcze od tego migały na czerwono.

Co proponuje zamiast wiary w pieniądź? Czołowymi hasłami ery Xi są „chiński sen” i „wspólny dobrobyt”. Chiny mają być krajem egalitarnym, trzeba wykorzystać ostatnie ogniska nędzy, zmniejszyć różnice między miastem a wsią oraz regionami z gospodarczej awangardy i tymi z głębokiej prowincji. Nie są to tylko puste hasła, to się naprawdę dzieje.

Trzecim – obok socjalizmu oraz podporządkowania Chińczyków celom wyzna-

czanym przez partię – fundamentem ideologicznym tej ery jest pielęgnowanie narodowej dumy z wyjątkowości Chin. Xi uważa, że historia i struktura społeczna Państwa Środka nie pasują do wielopartyjnej demokracji, monarchii lub jakiegokolwiek innego niekomunistycznego systemu. Przyjęcie takich rozwiązań, powiedział, mogłoby doprowadzić do „katastrofalnych konsekwencji”. Xi nie odrzuca globalizacji, która w krótkim czasie wzbogaciła – i dalej bogaci – Chiny, ale krok po kroku pracuje nad zwiększeniem samowystarczalności kraju w kluczowych dziedzinach: obronności, energetyki i nowoczesnych technologii z wyłączeniem rozrywki, którą ma w pogardzie.

Chiny mają być wielkie i zjednoczone pod przewodem partii: Xi wymazał niezależność Hongkongu, przymierza się do Tajwanu. Jego priorytetem w polityce zagranicznej jest obrona przed próbami powstrzymania przez USA „rozwoju” (wersja

Jednym z pierwszych dekretów zakazał urzędnikom państwowym wystawnych bankietów, mieli się ograniczyć się do „czterech dań i jednej zupy”

Pekinu) albo „ekspansji” Chin (wersja przeciwników Pekinu). Od czasu Deng Xiaopinga chińscy przywódcy przestrzegali zasady „Ukryj swoją siłę, poczekaj na swój czas”, ale Xi uznał, że czas nadszedł. Rosnącą potęgę oraz apetyt na podporządkowanie innych państw chińskim interesom ukrywa co najwyżej za parawanem dobrych intencji. Powiedział Biuru Politycznemu, że zamierza „uczynić głos Chin słyszalnym i wprowadzić więcej chińskich elementów do międzynarodowych zasad”. Należy domniemywać, że kryje się za tym budowa sojuszu państw przychylnie nastawionych do Pekinu, powiązanych z nim interesami gospodarczymi lub politycznymi, bloku konkurencyjnego wobec budowanego przez USA.

● **„W Chinach można poczuć się jednocześnie jak w Korei Północnej i Stanach Zjednoczonych”**

YAN LIANKE

● **N**ie ze względu na powrót do socjalizmu Xi Jinping jest coraz częściej porównywany do Mao Zedonga. Walka z biedą nie była istotą maoizmu – w tamtym czasie nie istniała inna droga, a realizacja była fatalna. Xi otwarcie i aktywnie hołubi Wielkiego Sternika, odpowiedziałnego za śmierć dziesiątek milionów Chińczyków. Poszedł znacznie dalej niż jego poprzednicy, którzy uznali tylko, że z potępiania Mao będzie więcej szkody niż pożytku, i pozostawili jego portret i zabalsamowane truchło na centralnym placu stolicy. To także jest nauka z upadku Związku Radzieckiego: Xi uważa, że błędem moskiewskiego kierownictwa nie było odejście od tyranii Lenina i Stalina, lecz niezdolność do utrzymania szacunku dla tych przywódców jako głównych założycieli partii i państwa.

Nie czyni go to maoistą. Ekscentryk Mao uważał, że „im więcej książek ktoś przeczyta, tym jest głupszy”. Xi jest czytany i opanywany. Wypowiada się w marksistowskich kategoriach walki klasowej i stosu-

je taktyki maoistyczne, takie jak samokrytyka i kampanie reedukacji, ale promuje także Konfucjusza i e-handel. W przeciwieństwie do Mao nie jest rewolucjonistą, bliżej mu do dawnych imperatorów. Jest legalistą w tradycji Han Feizi, filozofa, który nauczył pierwszego cesarza Chin, że ludzie są kapryśni i samolubni i muszą być dyscyplinowani przez prawo i karę. Xi jest etnicznym nacjonalistą z wizją odrodzenia kraju do potęgi z czasów dawnych imperiów. Uważa, że jeśli Chiny będą silne, scentralizowane, zdyscyplinowane i nowoczesne, to będą szanowane. Wezmą odwet za upokorzenia z XIX w. i dokona się „wielkie odrodzenie rasy chińskiej”, które, jak stwierdził, jest „największym marzeniem narodu chińskiego”.

W Mao podoba mu się kult jednostki. To zrozumiałe, skoro zmierza do jednoosobowych rządów: władza dyktatora oparta tylko na strachu nie jest tak silna, jak władza oparta na wierze. Naród powinien go

czcić jak boga albo przynajmniej jak Mao. W duchu „Czerwonej książeczki” wydano osiem tomów przemówień i pism Xi, które mają być nauczane od przedszkola. Ministerstwo obrony wypuściło obrazy olejne przedstawiające przewodniczącego w heroicznym pozach. Tysiące studentów sztuki ubiegających się o przyjęcie na uczelnię w Pekinie zostało ocenionych pod kątem umiejętności naszkicowania jego podobizny. Gazeta „Beijing Wanbao” doniosła, że jedna z kandydatek tak bardzo podziwiała prezydenta, że „z trudem powstrzymywała drżenie rąk”.

● **„Czy orzech może mieć kilka rdzeni? Nie, ma tylko jeden”**

MAO ZEDONG

● **Z**daniem australijskiego eksperta od Chin Rowana Callicka kluczowym źródłem siły Xi jest to, że nie jest pragmatykiem, tylko prawdziwie wierzącym. W partię. „Xi uważa, że partia zawiera w sobie wszystko, co najlepsze w Chinach, terazniejszość i przyszłość, a on sam zawiera partię. Partią stały się Chiny. A ludność Chin odpowiada przed partią i przed nim, nie odwrotnie. Najbardziej troszczy się o integralność samej partii, o jej wiarę w siebie”.

W Chinach to partia komunistyczna jest suwerenem. Ludowi nigdy nie pozwolono przejąć suwerenności teoretycznie przekazanej mu przez abdykującą dynastię mandżurską. Próby demokratyzacji samej partii też się nie powiodły, bo górę nad interesem kolektywnym brały rywalizacje, ambicje i partykularne interesy. Dlatego trzeba było ją uczynić bardziej asertywną i leninowską.

„Rząd, wojsko, społeczeństwo i szkoły, wschód, zachód, południe, północ i środek, partia kieruje wszystkim”, rzekł Xi. A jak powiedział, tak zrobił. Wedle jego planu na stulecie ChRL w 2049 r. Chiny znówu maja być wielką, kwitnącą cywilizacją – nie jak za Mao, tylko jak w złotych wiekach. Xi miałby wtedy 96 lat. Czy będzie jeszcze rządził? ●

Decydująca konfrontacja naszej ery

Ambicją Xi jest zająć w panteonie narodowych bohaterów miejsce obok Mao. Do tego potrzeba mu odzyskania Tajwanu. To oznacza nieuchronną kolidację z Ameryką. Pytanie brzmi nie „czy” do niej dojdzie, ale „kiedy”.

Andrzej Lubowski

Gdy 10 lat temu Xi Jinping obejmował ster w Pekinie, Zachód upatrywał w nim chińskiego Gorbaczowa. Przewodniczący Xi szybko dowiedział, że znacznie bliżej mu do Mao. Jako pierwszy lider Chin odrzucił maksymę „Skrzyj swój czas” zalecaną przez Deng Xiaopinga, który 40 lat temu otworzył komunistyczne Chiny na świat. Xi nie chce być skromnym, cichym i cierpliwym. Czego chce? Po pierwsze, utrzymać i utrwalić monopol władzy partii komunistycznej. Po drugie, odzyskać każdą pigęł utraconego terytorium przodków. Po trzecie, zapewnić Chinom pozycję niekwestionowanego hegemonu w Azji. Po czwarte, osiągnąć globalny prymat w świecie. A dodatkowo ambicją Xi jest zająć w panteonie narodowych bohaterów miejsce obok Mao. Do tego potrzeba mu odzyskania Tajwanu.

Przynajmniej na papierze Xi ma już dziś do dyspozycji gospodarkę większą od amerykańskiej. Wprawdzie w wyrażeniu nominalnym PKB Chin wciąż jest o 23 proc. niższe niż PKB USA (wedle danych Banku Światowego), ale jeśli mierzyć je w kategoriach siły nabywczej (PPP – Purchasing Power Parity) Chiny już prześcignęły Amerykę. Xi ma pod bronią więcej ludzi niż Biden i supernowoczesny sprzęt, a w przypadku niektórych rodzajów broni – np. łodzi podwodnych – ma go więcej niż Ameryka. Coraz częściej i głośniejsze mówi o szczególnej roli Chin w procesie rozkwitu Wschodu i zmierzchu Zachodu.

Gdy Waszyngton topił biliony w Iraku i Afganistanie, tnąc wydatki na badania i rozwój, Pekin inwestował gigantyczne nadwyżki w handlu z Ameryką w modernizację gospodarki i armii. Między rokiem 1990 a 2020 chińskie wydatki na zbrojenia wzrosły 10-krotnie! To we współczesnej historii tempo niespotykane. Tylko w latach 2014-18 Pekin zbudował więcej okrętów wojennych, niż mają ich łącznie Wielka Brytania, Indie, Hiszpania, Niemcy i Tajwan. Chiński program modernizacji sił zbrojnych ma być zakończony do 2027 r. – siedem lat wcześniej, niż zakładano. Szacuje się, że do końca bieżącej dekady Chiny zrównają się z potencjałem nuklearnym Ameryki.

Nic zatem dziwnego, że świat postrzega rozwój Chin jako nie-



• Xi Jinping podczas inspekcji hongkońskiego garnizonu Armii Ludowo-Wyzwoleńczej

FOT. KIN CHEUNG/AP

przerwany ciąg sukcesów – potęgą rosnąca nieustannie w siłę i coraz bardziej pewna siebie. Ale to obraz uproszczony i fałszywy. Przez ponad 40 lat Chinom wiatr wiał nieprzerwanie w plecy. Niedawno zmienił kierunek.

Dramatycznie na niekorzyść zmienia się sytuacja demograficzna Chin. Wiele się mówi o polityce jednego dziecka, zaś niewiele o tym, że wprowadzono ją dopiero w 1979 roku, a przez 40 lat demografia była dla Chin ogromnym

od 1961 r., kiedy kraj doświadczył największego głodu w swej historii, a miał mniej niż połowę obecnej liczby ludności. Próby poprawy tej sytuacji, na razie, nie dają oczekiwanych rezultatów.

Zaczyna też brakować surowców. Trzeba więc za nie płacić więcej. Kraj rośnie w zawrotnym tempie, nie oglądając się na środowisko naturalne. Dziś połowa wody w chińskich rzekach i prawie 90 procent wód gruntowych nie nadaje się do picia. Wzrostowi spo-

Chin, twierdzi, że „cesarz jest nagi”, a jego przekonanie o własnej nieomyślności będzie potęgować błędy i izolować Chiny od reszty świata.

Xi buduje kult jednostki. Od niedawna w chińskich mediach nazywany „Wielkim Nawigatorem i Sternikiem”, poddał represjom Hongkong, Tybet i Mongolię Wewnętrzną, stworzył obozy koncentracyjne dla Ujgurów i tamsi jakiegokolwiek załączki fermentu wśród intelektualistów, artystów i organizacji religijnych. Przykręcił tak-

sza, praktycznie cały wzrost gospodarczy Chin od 2008 r. jest napędzany pompowaniem kapitału w gospodarkę przez rząd. Bez tej stymulacji nie byłoby żadnego wzrostu. Bank Światowy właśnie ogłosił, że większość krajów Azji po raz pierwszy od 1990 r. rośnie szybciej niż gospodarka Chin. Wedle jego prognoz chińskie PKB wzrośnie w tym roku o 2,8 proc. Człkawką odbijają się antycovidowe restrykcje, zaś efektywność rządowych zastrzyków jest mizerna, i to nie od wczoraj. Według Reutersa już w końcu 2014 r. chiński rząd szacował, że tylko w okresie 2009-14 zmarnowano co najmniej 6 bln dolarów. Rośnie dług – w pierwszym kwartale bieżącego roku dług Chin wzrósł o 2,5 bln dolarów, czyli o bilion więcej niż wzrost zadłużenia Ameryki. Banki państwowe siedzą na górach kredytów, które zapewne nigdy nie zostaną spłacone. Połowa nowo zaciąganych pożyczek służy jedynie obsłudze istniejącego zadłużenia. Chiny zbudowały ponad 50 miast widm – metropolii wypełnionych biurowcami, dzielnicami mieszkaniowymi, centrami handlowymi i lotniskami, które stoją puste.

Wielkie geopolityczne katastrofy zdarzają się często tam, gdzie ambicje przecinają się z desperacją

atutem i jednym z motorów wzrostu. W latach 1950 i 1960 władze skutecznie zachęcały do rodzenia dzieci i w ciągu 30 lat – od 1960 do 1990 r. Chinom przybyło pół miliarda ludzi! W pierwszej dekadzie XXI wieku na każdego Chińczyka w wieku powyżej 65 lat przypadało dziesięciu w wieku produkcyjnym.

Później proporcje zaczęły się odwracać i demograficzną dywidendę zastąpił demograficzny kryzys. Zaczyna brakować ludzi w wieku produkcyjnym, zaś do połowy wieku na każdego emeryta przypadać będzie tylko dwóch zatrudnionych. Wprawdzie w 2016 r. władze zapaliły zielone światło dla dwójki dzieci, a potem podniosły limit do trójki, ale wskaźnik urodzin spadł niemal o połowę i w 2020 r. urodziło się najmniej Chińczyków

życia żywności – co zrozumiałe, zważywszy na rosnącą zamożność społeczeństwa – towarzyszyła i towarzyszy dewastacja ziem uprawnych – w 2014 r. Xinhua podała, że 40 proc. ziem uprawnych Chin cierpi na degradację z powodu nadmiernego użytkowania. W 2011 r. Chiny stały się największym na świecie importem produktów rolnych.

Pod przewodnictwem Xi nasilił się autorytaryzm. W „Foreign Affairs” ukazał się tekst pod tytułem „Słabość Xi Jinpinga. Jak arogancja i paranoja zagrażają przyszłości Chin”. Jego autor Cai Xia, od 1998 do 2012 r. profesor Centralnej Szkoły Partijnej Komunistycznej Partii

że śrubę krajowym przedsiębiorcom. A gdy partia znów miesza się do wszystkiego, tłumi to innowacje. Trudniej się nagle zrobiło z dostępem do zagranicznych rynków kapitału i technologii, bo świat po prostu stał się mniej Chinom przyjazny.

Z tych wszystkich powodów spadło tempo wzrostu. Według oficjalnych danych PKB Chin, które w 2007 r., przed kryzysem roku, wzrosło o 15 proc., w 2019, przed covidowym rokiem, już tylko o 6 proc., co było najniższym wskaźnikiem w trzydziestolecie. To jednak wciąż tempo wysokie – gdyby było prawdą. Tymczasem nawet wysocy urzędnicy rządowi, łącznie z byłym szefem narodowego urzędu statystycznego, w oficjalne statystyki nie wierzą. Co gor-

Projektem stulecia nazwał Xi Jinping tzw. Belt and Road Program (jeden pas i jedna droga). Aby zwiększyć swe wpływy w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej, Chiny pożyczyły krajom tych kontynentów bilion dolarów na finansowanie infrastruktury. Dziś okazuje się, że wiele z tych projektów ugrzęzło lub okazało się kłapą i trudno liczyć na zwrot pożyczek. Blisko 60 proc. wszystkich kredytów udzielonych przez



Chiny zagranicą przypada na kraje, które mają kłopoty z wypłacalnością. Sektor bankowy znalazł się zatem w tarapatkach i na rodzimym podwórku, i za granicą.

Krótko ujmując, wyczerpują się proste rezerwy i łatwe rozwiązania. O wzrost gospodarczy coraz trudniej, a jego cena jest coraz wyższa. Sprawy mają się znacznie gorzej, niż wynikałoby z enuncjacji chińskich liderów, którzy zresztą za kulisami są dalecy od entuzjazmu. W 2007 r., w apogeum wieloletniego boomu, premier Wen Jiabao ostrzegał, że chiński model wzrostu stał się „niepewny, nie-zrównoważony, nieskoordynowany i nie do utrzymania”. Jego następca, od 2013 r. po dziś kierujący rządem Li Keqiang, ponowił tę ocenę w zeszłym roku.



Mięśnie napęczniały Chinom za sprawą zachodnich sterydów – chińska modernizacja nie byłaby tak szybka, gdyby nie masowe inwestycje zagraniczne, kopowanie, a niekiedy ewidentna kradzież zachodniej, głównie amerykańskiej technologii. W ekspresowym tempie Zachód wyhodował autorytarne mocarstwo, którego ambicje napędza nacjonalizm i żądza rewanżu za upokorzenia historii. Tyle że świat, kiedyś kibicujący Chinom wygrzebującym się z okropności maoizmu, wreszcie przejrzał na oczy i zaczął się bać Chin prężących mięśnie, kipiących pewnością siebie, przekonanych o swej wyższości i słuszności swych żądań, eksploatujących słabszych, bezwzględnych, sięgających po coraz bardziej wyrafinowane środki inwigilacji własnego społeczeństwa i kradzieży intelektualnej własności innych. Keith Alexander, czterogwiazdkowy generał i przez dziewięć lat, do 2014 r., dyrektor Narodowej Agencji Bezpieczeństwa USA, nazwał masową kradzież własności intelektualnej Ameryki przez Chiny „największym transferem bogactwa w historii”. Od kilku lat Zachód wydaje się lepiej pojmować chińskie wyzwanie i jest gotów stawić mu czoła. To z kolei podpowiada kierownictwu w Pekinie, że coraz trudniej będzie mu osiągnąć cele, jakie sobie postawił drogą wyłącznie pokojową.

Po raz pierwszy od czasu Deng, po przeszło czterech deka-

dach spektakularnego wzrostu, Chiny zderzyły się z przeciwnymi wiatrami i dlatego chiński ekspres gwałtownie przyhamował. Co ważniejsze, wbrew obowiązującej w Chinach i rozpowszechnionej na całym świecie narracji czas niekoniecznie pracuje na rzecz Chin.

Położenie geograficzne Chin z punktu widzenia gospodarki, handlu i potencjału dla budowy wpływów wydaje się błogosławieństwem – bo w pobliżu wielkie i chłonne rynki. A jednocześnie sąsiadzi są wyzwaniem – Chiny graniczą z Afganistanem, Bhutanem, Indiami, Kazachstanem, Kirgistanem, Laosem, Mongolią, Mjanmą (Birmą), Nepalem, Pakistanem, Koreą Północną, Rosją, Tadżykistanem i Wietnamem. Mają granicę morską z Brunei, Filipinami, Indonezją, Japonią, Malezją, Koreą Południową i Tajwanem. Niewiele z tych krajów może Pekin zaliczyć do grona sojusz-

ne obawy o przyszłość. Świadomość, że czas niekoniecznie działa na korzyść Chin, może popchnąć go do podejmowania ryzykownych działań. Nie byłby to pierwszy w historii przypadek, gdy rewizjonistyczna potęga, uzmysłowivszy sobie, że zbliża się do apogeum swych możliwości, tworzy niebezpieczeństwo dla otoczenia.

Zawładnięcie Tajwanem otworzyłoby Chinom całą gamę możliwości. Ich flota mogłaby spokojnie operować na głębszych wodach – łatwiej byłoby jej realizować inne cele takie jak panowanie nad całym rejonem Pacyfiku. Po swych ostatnich wystąpieniach Xi nie może sobie pozwolić na rezygnację z aneksji Tajwanu. Ameryka natomiast nie może sobie pozwolić, aby wrogi autorytarny reżim zapanował nad tak strategicznym obszarem i aby w drzazgi zamieniła się jej wiarygodność.

Xi zakłada, że głębokie wewnętrzne podziały w USA unie-

tyków różni nie tylko przewidywany kalendarz chińskich działań, ale także źródła pośpiechu Pekinu. To nie poczucie rosnącej wciąż siły, ale obawa, że czas działa na niekorzyść Chin, popycha, ich zdaniem, Xi do przyspieszenia nieuchronnej konfrontacji. I ma powody, aby się śpieszyć. Bo przyszłość nie rysuje się przed Chinami tak różowo, jak uważa większość świata i co promuje bez ustanku przewodniczący Xi. Co więcej, powiadają, sam Xi ma wątpliwości co do tego różowego scenariusza. I tu jest pies pogrzebany. Bo skoro czas niekoniecznie pracuje na rzecz Chin, to może lepiej uderzyć prędzej niż później. Na wstępie książki Brands i Beckley kreślą następujący scenariusz:

18 stycznia 2025 r. Dwa dni dzielą USA od inauguracji prezydenta, ale wynik wyborów jest wciąż kwestionowany. Kandydaci obu partii są gotowi złożyć przysięgę pre-

Chińscy spadochroniarze szykują się do zdobycia lotnisk i portów Tajwanu, aby utorować drogę setkom tysięcy żołnierzy komunistycznych Chin.

Prezydentowi Bidenowi brakuje czasu i dobrych opcji. Szef Pentagonu informuje go, że amerykańskie siły na zachodnim Pacyfiku nie są w stanie powstrzymać chińskiej inwazji. Dodatkowo lotniskowce, okręty wojenne i łodzie podwodne rozrzucone od Hawajów po Zatokę Perską mogą próbować przedostać się w stronę Tajwanu, napotykając po drodze chińskie rakiety, miny i obronę powietrzną. Ale to potrwa, pociągnie za sobą poważne straty i nie gwarantuje sukcesu. Alternatywą jest blokada dostaw energii i żywności, ale to wymaga miesięcy, a tych Tajwan nie ma. Co pozostawia tylko jedną możliwość, aby zatrzymać inwazję: zaatakować siły chińskie bronią jądrową niskiej wydajności. Oznaczałoby to jednak zniszczenie Tajwanu po to, aby nie oddać go Pekinowi, i skończyłoby się tragedią zarówno dla Ameryki, jak i dla Chin.



Wielkie geopolityczne katastrofy zdarzają się często tam, gdzie ambicje przecinają się z desperacją. Putin stoi dziś o krok od takiej sytuacji. Więc dlaczego pisać o nadchodzącym konflikcie Ameryki z Chinami dokładnie w tym samym czasie, gdy Rosja rozpoczęła brutalną wojnę w Europie o trudnych do przewidzenia konsekwencjach? Najprostsza odpowiedź na to pytanie brzmi: agresja Rosji na Ukrainę czyni powstrzymanie Chin tym pilniejszym imperatywem. Gdyby Xi poszedł śladem Putina i próbował agresji w swym regionie, cała Eurazja znalazłaby się w centrum cyklonu. Stanom Zjednoczonym znów, jak w 1941 r., zagrażałaby w oczy perspektywa walki na dwóch frontach, co może przekroczyć jej możliwości. Całe NATO byłoby wystawione na test o bezprecedensowej skali. Światowy porządek już nadwyżony rosyjską agresją zostałby zdruzgotany chińską ofensywą. Gospodarka Chin jest dziesięciokrotnie większa od rosyjskiej, a ich budżet wojskowy czterokrotnie większy od wydatków wojskowych Rosji. Przy całym zagrożeniu imperiaлизmem Rosji to rywalizacja Ameryki z Chinami będzie decydującą konfrontacją naszej ery. ●

Po przeszło czterech dekadach spektakularnego wzrostu Chiny zderzyły się z przeciwnymi wiatrami i dlatego chiński ekspres gwałtownie przyhamował



możliwą stworzenie narodowej strategii długofalowego rozwoju i dramatycznie utrudnią każdemu prezydentowi uzyskanie poparcia dla trwałej polityki wobec Chin. Jest także przekonany, że USA nie zaangażują się w wojnę, nie mając pewności, że ją wygrają, więc Chiny będą dążyć do uzyskania na tyle wyraźnej globalnej dominacji gospodarczej i przewagi militarnej w rejonie Pacyfiku, żeby Ameryka nie odważyła się uwikłać w konflikt, którego wyniku nie można z góry przesądzić.

Xi coraz częściej i bez ogródek zapewnia o gotowości do siłowego przyłączenia Tajwanu do „macierzy”. To zaś oznacza nieuchronną kolizję z Ameryką. Pytanie brzmi zatem nie „czy” do niej dojdzie, ale „kiedy”.

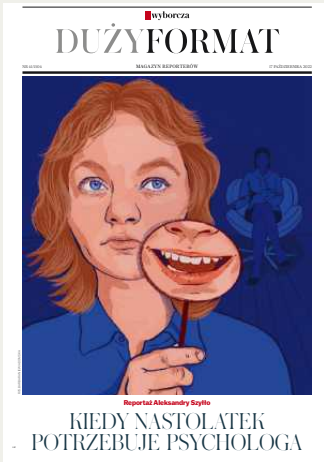


Wkrótce – powiadają Hal Brands i Michael Beckley, autorzy książki „Danger zone. The coming conflict with China” (Strefa niebezpieczeństwa. Nadchodzący konflikt z Chinami”), która ukazała się kilka miesięcy temu. Jej autorów od zdecydowanej większości anali-

zydencką. Po drugiej stronie Pacyfiku Chiny prowadzą gigantyczne manewry morskie w pobliżu Tajwanu. Satelity szpiegowskie sygnalizują wzmożoną aktywność wojsk chińskich. Ale amerykańscy analitycy uważają, że to kolejna runda pobrzękiwania szabelką w wykonaniu towarzysza Xi.

Mylą się. O 10.01 rano czasu waszyngtońskiego Chiny rozpoczynają masowany atak. Ich rakiety uderzają w pasy startowe, budynki rządowe i instalacje wojskowe na terenie całego Tajwanu i główne regionalne bazy USA na Okinawie i Guam. USS „Ronald Reagan”, jedyny amerykański lotniskowiec w regionie, zostaje trafiony balistyczną rakietą. Siły specjalne Chin, wcześniej rozlokowane na Tajwanie, niszczą infrastrukturę, próbują mordować władze i sieją panikę wśród ludności. To preludium do głównej ofensywy. Amfibie floty chińskiej dokonują desantu na najbardziej dostępne zachodnie brzegi Tajwanu. Z handlowych promów tradycyjnie obsługujących ruch w cieśninie nagle wydobywają się małe amfibie ze sprzętem wojskowym.

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”

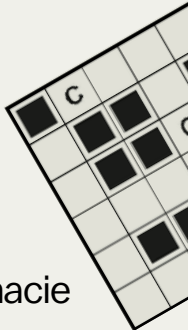


1 NASTOLATEK W KRYZYSIE. Czy szkolny psycholog jest godny zaufania?

2 KAMRACTWO RODAKÓW. PiS to dla nich zdrajcy, opozycja - Żydzi.



3 Krzyżówka co tydzień w Dużym Formacie



CO MNIE URZEKŁO?

Sześćdziesięciolatek
na xanaksie

Nowy tomik Jarosława Mikołajewskiego to podsumowanie tego spartolonego świata.

JĘDRZEJ SOLIŃSKI DO POETY JAROSŁAWA MIKOŁAJEWSKIEGO

W

W „Życiu na xanaksie” widzę Poetę, przez którego przepływają różne czasy. Czas współpasażerów metra, czas ukrywających się w mariupolskich piwnicach, czas zamarzających na granicy, czas sześćdziesięcioletniego mężczyzny, który odkrył, że jest sześćdziesięcioletnim mężczyzną (i odkrycie to przyjmuje z całym dobrodziejstwem inwentarza). Czas „małej mamy”, który łączy dawne z obecnym. I od tego zacznę.

„Moja mała mama” jest refrenem, sercem, pulsem Twojej, Jarku, książki. Pojawia się nagle w linii z; „mojej małej mamie śni się jej bezradność”, przejmujący w swej prostocie wiersz sen. Czy Poeta współnił go z matką?

Czy boi się, że i on będzie zostawiony w: miejscu, gdzie nie ma niczego i ludzi nie ma których zapytać i drzwi nie widać do których zapukać...?

Może jednak dochodzi do swoiste-go współśnienia, skoro zaraz w aetatis suae czytam:

uciekam w senne kołysanie wagonu na stacji docelowej wiem już co się zdarzy

Może. Ale ten osobisty dramat współprzemijania z rodzicem nie jest jedynym, który rozgrywa się z udziałem „małej mamy”. Oto nagle:

gdzieś w środku mojej małej mamy obudziła się w nocy mała dziewczynka

która słyszy krzyki matki, rozpaczliwe pytania, gdzie się podział świat? Anglicy? Francuzi? Mała dziewczynka w „mojej małej mamie” krzyczy teraz z młodą Ukrainką:

gdzie są obietnice gdzie amerykanie i gdzie europa

Czasy „małej mamy” i nasz, podwudziestoczwartolutowy czas wojennej grozy zlewają się w jedno z jeszcze innym czasem grozy, grozy nadgranicznej, bo już na kolejnej stronie szara dziewczynka „na starej wojennej fotografii mamy” staje na granicy (niechże każdy sobie dopowie, o jaką granicę tu chodzi). I jest to, jak czytam, „wciąż ta sama dziewczynka”. Pierwszy raz spotykam się w poezji współczesnej – ale zastrzegam, że nie jestem jej znawcą – z postawą „wszystkie dzieci nasze są” realizowaną à rebours. Poeta w młodej Ukraince i dziecku na polsko-białoruskiej granicy widzi swoją „małą mamę”. Intymny stosunek do „wciąż tej samej dziewczynki” Po-

eta podtrzymuje, przeplatając wojenno-humanistyczne wiersze osobistymi lirykami, w których matka znów staje się – o zgrozo, muszę tu użyć słowa „tylko” – jego matką:

bronię przed matką domowych przedmiotów żeby nie runął jej ostatni szaniec kiedy rozda wszystko i odejdzie sama

I kiedy już, już zostawiam Poetę sam na sam z jego matką, kiedy już nic mi do tego ich wspólnego szykowania się na jej odejście, czytam w mojej małej mamie:

moja mała mama ma tak wielką i kolczastą przeszłość że jej nogi coraz ledwie ją niosą

Ta „wielka, kolczasta przeszłość” pozwala Poecie na to swoiste rozlanie się „małej mamy” na wszystkie czasy przepływające przez niego – i przez nas. I domknięciem tego procesu, jak i całej książki, jest zajmujący ostatnią stronę wiersz na rocznicę powstania.

Nie może dziwić obecność wojny w książce drukowanej w drugiej połowie 2022 roku. Ale u Ciebie, Jarku, to nie jest li tylko publicystyka czy jakiś tam Zeitgeist, którego zresztą w poezji nie znoszę. To jest manifest, bo w moim przekonaniu „Życie na xanaksie” jest również manifestem wpływającym z najpiękniejszego wiersza tej książki, a więc pierwszego śniegu, w którym to, co wcześniej Poeta robił ze „swoją małą mamą”, tu robi sam ze sobą. Sam śni się

Pierwszy raz spotykam się w poezji współczesnej z postawą „wszystkie dzieci nasze są” realizowaną à rebours

sobie jako dziecko, „co ogląda siebie”, i „jako dziecko ze snu” otwiera buzię, do której wpada „rój świętych płatków”. Doświadczenie „tysiąca ląknień, które zostały nasycone”, kończy się nieuchronnie, kiedy „wstępujemy w życie”.

I do tego momentu wszystko jest po staremu, to znaczy tak jak w setkach, być może tyśnięciach innych wierszy... koniec dzieciństwa, niewinności, po którym zwykle kielkuje cynizm albo coś jeszcze gorszego. Tymczasem u Ciebie, Jarku, w tej chwili liminalnej zaczyna się lament, bo koda tego wiersza to lament nad sobą – człowiekiem doświadczającym nieszczęść rozgrywających się dookoła, ale i doświadczającym nieszczęścia własnej bezsilności i/albo bierności:

spojrzałem na dłonie ale były puste (...)

znów nie nakarmiłem ludzi na granicy i nie ocaliłem nikogo w kijowie nikomu z łódki nie rzuciłem koła

A więc końcowy lament:



śniegu mój śniegu czemuś mnie opuścił to podsumowanie tego spartolonego świata, ale spartolonego też i przez Poetę, bo przecież poprzedza go cytowany powyżej rachunek sumienia. Ta postawa z pierwszego śniegu jest konsekwentna, i owocuje właśnie pewnego rodzaju manifestem wiersza humanizm:

nie umiem odtworzyć jak weszła we mnie i przetrwała do dzisiaj pewność że jesteśmy wszyscy jednym człowiekiem rozłupanym na miliardy wcieleni o tym samym rdzeniu

I temu sobie, rozłupanemu na miliardy istnień, Poeta wyznaje miłość w ruchu anonimowych ludzi. To humanistyczna „ewangelia bez Boga”, z której wypływają wszystkie wiersze o Mariupolu, Lampedusie i polsko-białoruskiej granicy. I tu wracam do pierwszego śniegu; szansą na ocalenie „cudu manny na dziecięcej pustyni” jest przede wszystkim to spojrzenie na własne dłonie (Puste? Pełne? Jeśli tak, to czego?), a potem to ukochanie siebie w innych albo też – co wcale się z tym nie kłóci – ukochanie swojej „małej mamy” we wszystkich, którym tego ukochania brakuje.

A coś, Poeto, nawyczynał w genialnych wierszach późna łza i nisza pana modero-wa? Niech Ci prawdziwi krytycy piszą listy. Zaslugujesz na to.

Gratuluje, Jarku. ●

Jędrzej Soliński

• filolog klasyczny, rusycysta, wydał krótkie formy prozatorskie „Turysta” i „O Wschodzie” oraz powieść „Bóle fantomowe”. Związany z „Odrą”

Jarosław Mikołajewski zaprasza na prezentację „Życia na xanaksie”. Kiedy? 11 października na godzinę 19. Gdzie? Do Faktycznego Domu Kultury w Warszawie, ul. Gałczyńskiego 12. Tomik dostępny w księgarniach oraz w formie e-booka na Publio.pl.



Jarosław Mikołajewski, „Życie na xanaksie”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek, Tomasz Lebiada, Krzysztof Pietrasik

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



NASZA EUROPA

Chińczycy o Xi Jinpingu

Wódz, który je bułeczki z ludem

Lud wołałby jednak trochę bardziej urozmaicone menu



FOT. MARK SCHIEFELBEN/AP

Guillermo Abril

EL PAÍS

Kilka dni przed zjazdem partii komunistycznej, który ma przypieczętować trzecią kadencję Xi Jinpinga, na ulicach Pekinu zbieramy opinie Chińczyków o swoim przywódcy.

Z dala od samego centrum stolicy, ozdobionego w tych dniach setkami czerwonych flag, otwiera się zakurzona aleja. Tutaj, w Ma Ju Qiao, na południowych obrzeżach Pekinu, setki pracowników-migrantów, czyli jedna z najniższych kategorii w hierarchii populacji miasta, zbiera się o świącie, czekając, aż ktoś przyjdzie i ich zatrudni. Pochodzą bez wyjątku z obszarów wiejskich, tu najmują się do wszelkiej roboty, nie opuszcza ich dobry humor i palą papierosy, w zasadzie bez przerwy.

Jeden z nich, drobny i bardzo ruchliwy typ, ma przypiętą do koszulki plakietkę z podobizną Mao Zedonga. „Zrobił wielkie rzeczy dla kraju” – tłumaczy. Dalej wymienienia najważniejszych jego zdaniem przywódców Republiki Ludowej: najpierw Mao, potem Deng Xiaoping, architekt ery reform i otwarcia, a następnie Xi Jinping, obecny prezydent, sekretarz generalny partii komunistycznej. Wymienia listę osiągnięć Xi, takich jak Nowy Jedwabny Szlak, który – jakby cytując propagandowego gotowca – nazywa dalekowzroczną strategią, a nawet „matematycznym równaniem, w którym zawsze wygrywają Chiny”.

W PANTEONIE ZA ŻYCIA

Po 10 latach u steru jego postać stała się wszechobecna. Jego „myśli” zostały wpisane do konstytucji, studiuje się je na uniwersytetach, dzieci cytują jego słowa w szkole przy podnoszeniu sztandaru, or-

gany propagandowe rozpowszechniają niezliczone przemówienia.

Niektórzy analitycy twierdzą, że jest on dziś najpotężniejszym człowiekiem na planecie. I prawdopodobnie pozostanie nim co najmniej do 2027 r.: w przyszłym tygodniu ma zostać wybrany na trzecią kadencję podczas XX Zjazdu Komunistycznej Partii Chin, wielkiego, odbywającego się co pięć lat wydarzenia politycznego, które rozpoczyna się 16 października.

Oczekuje się, że podczas zjazdu Xi nakreśli wytyczne Pekinu na najbliższe dekadę w coraz bardziej burzliwym i szybko przebudowującym się świecie. Czy dopuści większą otwartość, czy postawi na rosnący nacjonalizm? Jak bardzo uda mu się docisnąć chińskich gigantów technologicznych? Co zdecyduje w sprawie Tajwanu? Wielu czeka też na oznaki końca strategii „zero COVID”, która nadal obowiązuje, nieprawdopodobnie utrudniając życie codzienne w kraju, a której Pekin broni jak niepodległości, mimo że reszta świata już się od niej odwróciła.

XI OFERUJE DUMĘ I ROZPAŁA FURIĘ

Podczas gdy Zachód jest ostrożny wobec rosnącego kultu jednostki i coraz bardziej autorytarnego dryfu, wielu Chińczyków postrzega Xi jako przywódcę, który podniósł morale narodu. „Czułem się dumny” – mówi Deng Libo, 45 lat, kolejny z pracowników-migrantów z Ma Ju Qiao, o swoim doświadczeniu na linii frontu w walce z pandemią. Deng, pochodzący z wioski w prowincji Jilin, był latem funkcjonariuszem dabai (po chińsku: większy cel), jak nazywana jest armia ludzi w kombinazonach ochronnych – egzekutywa surowej strategii antypandemicznej.

Deng jest postawnym mężczyzną, nosi koszulkę z heavymetalową czaszką, a kiedy się śmieje, pokazuje żółte zęby, które wyglądają jak ziarna kukurydzy. Mieszka w domu przy nieutwardzonej alejce, w po-

koju, w którym jest tylko łóżko i komoda, otoczonym dziesiątkami podobnych klatek. Prosi, by mówić cicho, aby nie obudzić pracowników nocnej zmiany.

Kiedy zarządza się lockdown, co może się zdarzyć w każdej chwili, najpierw zjawiają się właśnie dabai, ludzie z zasłoniętymi twarzami, którzy coraz częściej spotykają się wręcz z furją Chińczyków – jako symbol władzy, która nakazuje zamknięcie całych dzielnic lub miast i wysyła zdagnozowanych pozytywnie do spartańskich ośrodków kwarantanny.

Nazywa się ich również „białymi diabłami”, mówi Deng, który przyznaje, że doświadczył momentów agresji. Został zatrudniony za 500 juanów (ok. 72 euro) dziennie do pracy w zamkniętym bloku w Pekinie na początku lata: fala omikronu, która wtedy na długo zamknęła Szanghaj, groziła także paraliżem stolicy. Deng broni jednak tej strategii: „U nas jest inaczej niż w reszcie świata”.

Ale nie wszyscy się z tym zgadzają. Im wyższy status społeczny, tym większe wymagania wobec władzy. A dotyczy to szybko rosnącej klasy średniej, czyli blisko ćwierć miliarda ludzi.

KOMU DRAKOŃSKIE ŚRODKI SĄ NA RĘKĘ

W pekińskim barze gra jazz, barman potrząsa shakerem do koktajli, a 37-letni publicysta z Szanghaju, który spędził ponad 70 „koszmarnych” dni zamknięty w swoim mieszkaniu w 37-piętrowym bloku, pali papierosa, mówiąc: „Wszyscy wiemy, kto nam spieszył życie”. Nie wymawia jego nazwiska, mówi za to o „człowieku, którego wszyscy znamy”, lub używa podobnych sformułowań – jak Harry Potter o Voldemorcie. To typowy odruch każdego, kto mówi o nim w internecie: unikając jego nazwiska, mają większą szansę obejść cyfrową cenzurę. Publicysta woli także podać fikcyjne nazwisko, żeby nie narazić się na kłopoty: Celvin. „To po prostu głupie” – kwituje krótko strategię „zero COVID”. I nie sądzi, że sytu-

acja zmieni się w najbliższym czasie: „Nie chodzi już tylko o koronawirusa. Restrykcje antypandemiczne dały pewnym ludziom pewne przywileje. A jak się już tego posmakuje, to trudno jest odpuścić sobie tę władzę”.

Celvina można zaliczyć do elity: studiował za granicą, dobrze mówi po angielsku, zarabia znacznie powyżej średniej. Narzeka na stan gospodarki, który według niego jest wynikiem izolacji Chin trwającej od 2020 r. Jest jednak coś, co zdaje się go jeszcze bardziej martwić. 18 września, jak wspomina, autobus wiozący pasażerów do ośrodka kwarantanny uległ wypadkowi. Zginęło 27 osób. Żadna z nich oczywiście nie znalazła się tam z własnej woli. Wydarzenie to wywołało falę gniewu, który znajdował upust w sieci – bo kraj jest naprawdę wyczerpany restrykcjami.

Dla Celvina był to kolejny przykład bezbronności jednostki wobec państwa: „Jesteś tu tylko numerem – mówi. – Zastanawiasz się, czy to samo może przydarzyć się tobie. Jeśli ktoś ma zapukać do twoich drzwi w środku nocy, by powiedzieć ci, że musisz zabierać manatki i nie wiadomo kiedy, a nawet czy wrócisz, to przypominam mi to sytuację z nazistami. Boję się, że ktoś zapuka do moich drzwi. Nie mam kontroli nad swoim życiem”.

Jego zdaniem tamten rozbity autobus to dobra metafora: „Wszyscy podróżujemy tym autobusem. Wiemy, że jest z nami kierowca, ale prowadzi nie tam, gdzie chcemy. Nie możemy jednak przejąć kierownicy i nie da się wysiąść. Podróżujemy wszyscy autobusem o nazwie Chiny”.

Na szczęście, jak mówi, są tacy, którzy zaczęli „budzić się” właśnie z powodu sytuacji związanej z pandemią. „To wręcz jak rewolucja kulturalna naszego pokolenia” – podsumowuje. A potem robi mi krótki wykład o genezie różnych przydomków netowych Xi.

Jeden z nich, „Bun”, to efekt wizyty Xi w popularnej restauracji typu fast food w Pekinie, gdzie podają baozi, czyli nadziewane bułeczki. Prezydent pojawił się tam w 2013 r., tuż po objęciu urzędu. Zamówił standardowe menu i przysiadł się do stolika ze zwykłymi ludźmi.

A potem m.in. rozpętał ostrą kampanię antykorupcyjną przeciwko, jak sam ich nazywał, „tygrysom i muchom” – partyjnym elitom i kadrom niskiego szczebla. Skuteczne rozprawienie się z korupcją miało przycisnąć ekscesy ludzi władzy z poprzednich lat, a jednocześnie posłużyć jako narzędzie odsunięcia na bok wielu rywalizujących ze sobą – i z Xi – frakcji w partii. Liczby robią wrażenie: od końca 2012 r. chińskie służby prześledziły działania ponad 2,7 mln funkcjonariuszy publicznych i w jakiś sposób ukarały 1,5 mln z nich.

W 2012 r. Xi ubolewał, że partia „straciła kontakt z ludźmi”. Wizyta w popularnej restauracji była jego sposobem na powiedzenie, że różni się od tych, którzy byli przed nim, i podkreśliła koncepcję „chińskiego snu”, na którym opiera się wiele z działań Xi i który ma na celu, zgodnie z oficjalną narracją, szybką poprawę standardu życia wszystkich, a nie tylko elit.

Ta restauracja nadal działa przy obsadzonej drzewami ulicy w Pekinie. W środku dnia jest sporo klientów. „Menu prezydenckie”, jak nazywa je sprzedawca, kosztuje równowartość czterech euro i zawiera pół tuzina baozi, gotowane warzywa oraz rodzaj flaków – zupę z wątroby i jelit.

Przy jednym ze stolików 79-letni Zhao Yumin, emerytowany pracownik uczelni, je samotnie. Jest stałym bywalcem, mówi, że po wizycie Xi kolejki były długie. Pytany o dekadę prezydenta, odpowiada z kciukiem wzniesionym do góry: „Z prezydentem Xi moje serce jest spokojne”. Podkreśla jego „determinację”, by wykorzystać skorpumpowanych urzędników i „służyć ludziorom”, walkę z degradacją środowiska i dążenie do przywrócenia „zaufania Chin” dzięki rozwojowi, który przynosi wszystkim równe korzyści. „Partia jest dziś silniejsza niż dziesięć lat temu” – dodaje, ale zaprzecza, że jest to „tyrania”. I uważa, że krytykowana strategia „zero COVID”, mimo ekonomicznych szkód, w dłuższej perspektywie będzie korzystna: „W Chinach oszczędzaliśmy życie wszystkim”.

Liczyby dowodzą, że ma częściowo rację: krajowi udało się utrzymać liczbę zakażeń i zgonów na poziomie znacznie niższym w porównaniu z UE czy USA, ale kosztem izolacji i uderzenia w gospodarkę. Wiele osób zarówno w kraju, jak i poza nim przestrzega absolutną kontrolę stanu zdrowia obywatela jako kolejny wymiar wielopłaszczyznowej inwigilacji ery Xi, od zwiększonej obecności państwa w biznesie po surowe represje wobec muzułmańskich Ujgurów w Xinjiangu, które według raportu ONZ mogą stanowić „zbrodnie przeciwko ludzkości”.

BEZ KODU QR NIE POJEDZIESZ NIGDZIE

„Mamy przywódcę, który aspiruje do kontrolowania wszystkiego i który zmienia konstytucję, aby utrzymać się u władzy” – skarży się pracownik naukowy po czterdziestce, który woli pozostać anonimowy, aby nie stracić pracy. Jego zdaniem XX Kongres będzie tylko kolejnym krokiem w tym kierunku, w stronę mniejszej wolności, a większej ilości autorytaryzmu, napędanego coraz bardziej szowinistycznym nacjonalizmem – mówi, popijając kawę w pekińskim Starbucksie. Kawa jest dobra, ale on daje do zrozumienia, że nie lubi tego miejsca: przypomina mu ono, że rewolucja została wypaczona; w latach 80. Chiny otworzyły się na kapitalizm tak szeroko, aż stały się „drugą imperialistyczną potęgą” na planecie, częścią bloku sprzymierzonego z Rosją, w kontrze do Zachodu.

Ten profesor jednego z najlepszych pekińskich uniwersytetów określa się jako „prawdziwy marksista”, co dziś w Chinach jest również formą dysydencji. Jego zdaniem „biurokracja kontroluje już wszystkie zasoby gospodarki” opierającej się na „wyzysku pracowników najemnych”, którzy nie mają nawet prawa posłać dzieci do szkoły w mieście, w którym się osiedlają.

Zdaniem profesora, mając za sobą erę hiperwzrostu, Chiny stoją w obliczu potencjalnych turbulencji związanych ze spadkiem zysków, czyli kleju, który spajał pakt między partią a obywatelami. Jakie mamy opcje? – pyta. „Kraj może pójść drogą socjaldemokratyczną, z większymi swobodami – co jednak nie jest prawdopodobne – lub pójść w kierunku większego autorytaryzmu i kontroli nad ludnością, którą teraz będzie spajała ideologia wstawania z kolan”. „Nie mogę poprawić twojego życia, ale mogę zmienić twój umysł” – określa tę strategię.

Kody QR, które trzeba skanować telefonem komórkowym, aby dostać się transportem publicznym do dowolnego miejsca w Chinach, są tylko jednym z przejawów tego państwa nadzoru, które wykorzystuje technologię „do kontrolowania przez cały czas” – kontynuuje. W dzisiejszych czasach nawet studenci uniwersytetów muszą prosić o pozwolenie na opuszczenie kampusu – protestuje. „Władza chce utrzymać społeczeństwo zatamizowane, a pandemia daje pretekst, by kasować relacje między ludźmi”.

Potem profesor bierze ostatni łyk kawy i znika w tłumie na ulicach Pekinu. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

„The New York Times”

Rosja traci kontrolę nad swoją strefą wpływów w Azji

Gdy Kreml jest całkowicie pochłonięty wojną z Ukrainą, dominacja Rosji w Azji Środkowej i na Kaukazie rozpada się jak domek z kart.

Andrew Higgins, „The New York Times”

Rosja koncentruje się na atakowaniu Ukrainy, tymczasem jej wpływ w azjatyckim obszarze dawnego imperium radzieckiego szybko się kurczą. Moskwa straciła swoją aurę i siłę, tworząc chaotyczną próżnię, którą chcą teraz po swoim wypełnić posłuszni wcześniej postsowieccy satrapowie, a przy okazji także Chiny.

Na otoczonym górami stepie południowo-zachodniego Kirgistanu rezultat nagłej eskalacji lokalnego konfliktu w jednej tylko miejscowości, którą widziałem, jest przerażający: domy zamienione w kupę gruzów, spalona szkoła i dławiący fetor unoszący się z rozkładających się 24 tys. martwych kurczaków. Cała okolica stała się w zeszłym miesiącu ofiarą najgwałtowniejszego wybuchu przemocy na tym obszarze od czasu upadku ZSRR – konfliktu granicznego między Kirgistanem a Tadżykistanem, państwami należącymi zresztą wspólnie do wojskowego sojuszu pod przywództwem Rosji, który miał strzec pokoju, ale nie zrobił nic, aby powstrzymać ten chaos.

– Bo oczywiście Rosjanie są rozproszeni z powodu Ukrainy – mówi mi w Biszkeku prezydent Kirgistanu Sadyr Dżaparow.

Przed inwazją Putina na Ukrainę w lutym Rosja odgrywała kluczową rolę w Azji Środkowej, a także w niestabilnym Kaukazie, ustanowiwszy na tym obszarze swoisty Pax Russica. W styczniu skierowała wojsko do Kazachstanu, aby pomóc tamtejszemu rządowi w opanowaniu fali gwałtownych protestów społecznych. W 2020 r. wysłała na Kaukaz 2 tys. uzbrojonych „sił pokojowych”, aby wyegzekwować wynegocjowany przez siebie rozejm między Armenią a Azerbejdżanem.

Premier Armenii Nikol Paszynian w zeszłym miesiącu bezskutecznie apelował do Kremla o pomoc w powstrzymaniu ponownych ataków Azerów, wspieranych przez Turcję. Zbulwersowana bezczynnością Rosji Armenia grozi teraz opuszczeniem Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, czyli sojuszu wymyślonego przez Rosjan, by utrzymywać w swojej orbicie dawne sowieckie republiki.

Rząd Kazachstanu, ten sam, któremu Putin pomógł pozostać u władzy w styczniu, coraz bardziej dystansuje się od działań Rosji w Ukrainie i już całkiem otwarcie zwraca się ku Chinom w celu zabezpieczenia własnego terytorium, którego część jest zamieszkała w dużej mierze przez etnicznych Rosjan i które rosyjscy nacjonaści uważają za wręcz należące do Rosji.

Natomiast wzdłuż granicy między Kirgistanem i Tadżykistanem długotrwale spory o ziemię, wodę i szlaki przemytu przerodziły się w pełnowymiarowy konflikt z udziałem czołgów, helikopterów i rakiet. Ofiarami padło wielu cywilów, a 140 tys. ludzi musiało uciekać ze swoich domów. Wielu w Biszkeku, stolicy Kirgistanu, zadawało sobie pytanie, dlaczego Moskwa – od dawna przestrzegana jako skrupulatny strażnik stabil-

ności na zapalnych obrzeżach byłego imperium – tym razem nawet nie kiwnęła palcem. – Rosja mogła zatrzymać to wszystko w jednej sekundzie. Dlaczego na to pozwoliła? – pyta Zaynaddin Dubanajew, 75-letni nauczyciel rosyjskiego w spalonej dziś szkole w Ak-Sai, przy granicy z Tadżykistanem.

Organizacja Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym była przedstawiana przez Putina jako odpowiedź Rosji na NATO oraz sposób na zapewnienie jej roli dominującej siły na ogromnych obszarach byłego ZSRR. Ale teraz ten blok ledwo funkcjonuje. Pięciu z jego sześciu członków – Armenia, Białoruś, Rosja, Tadżykistan i Kirgistan – było lub nadal jest w tym roku zaangażowanych w wojny, a szósty, Kazachstan, doświadczył gwałtownego wewnętrznego konfliktu.

Chiny to dostrzegają i już intensywnie znaczą swoją obecność w regionie, a USA również próbują wykorzystać sytuację i naciskają na Kirgistan, by podpisał nową umowę o współpracy. Poprzednia została zerwana w 2014 r., gdy pod presją Moskwy Kirgistan zamknął amerykańską bazę lotniczą pod Biszkekiem, utworzoną dla samolotów operujących nad Afganistanem.

– Do czasu wybuchu wojny w Ukrainie Chiny i Rosja nie były zainteresowane otwartą rywalizacją w Azji Środkowej – mówi Asel Doolotkeldjewa, wykładowczyni Akademii OBWE w Biszkeku. – Obowiązywał niewypowiedziany głośno podział obowiązków: kwestie bezpieczeństwa to działka Rosji, lokalne gospodarki to obszar działania Chin. Ale Rosja już nie wypełnia swoich obowiązków. Okazało się, że nie jest już w stanie, lub nie chce, chronić regionu.

Rosja na papierze nadal dysponuje ogromnym potencjałem w Azji Środkowej. Jej największa zagraniczna baza wojskowa znajduje się w Tadżykistanie, utrzymuje także bazę lotniczą w Kirgistanie, kraju biednym i peryferyjnym, który pozostaje silnie uzależniony od rosyjskich dostaw energii, a także od przekazów pieniężnych od milionów kirgiskich migrantów pracujących w Rosji. Prezydent Dżaparow, świadomy słabości swojego kraju, jak dotąd zwlekał z podpisaniem nowego porozumienia ze Stanami. – W Moskwie byłoby to odebrane jako cios w plecy, i mieliby rację – mówi.

– Nadal wystarczy, że Moskwa zasugeruje, iż poważnie utrudni życie migrantom z Kirgistanu pracującym w Rosji, by Kirgistan się mitygował – uważa Peter Leonard z redakcji Eurasianet. – Natomiast czas, gdy Rosja dyktowała tym krajom swoją politykę militarnie, to już ewidentna przeszłość.

Najnowszy konflikt między Kirgistanem a Tadżykistanem ostatecznie zachwiał długoletnimi założeniami dotyczącymi rosyjskiej władzy. Wybuchł w momencie, gdy Putin przebywał w sąsiednim Uzbekistanie, na szczycie sponsorowanej przez Chiny Szanghajskiej Organizacji Współpracy, w którym uczestniczył prezydent Chin Xi Jinping, a także przywódcy Indii, Turcji, Azerbejdżanu i czterech krajów Azji Środkowej.

Przyćmiony przez chińskiego przywódcę Putin musiał tam znieść serię upokorzeń, poczynawszy od wpadek protokolarnych, które postawiły go w niezręcznej sytuacji, gdy musiał oczekiwać przed włączonymi kamerami, aż inni przywódcy, w tym nawet Dżaparow, dotrą wręcz na spotkanie z nim. – To nie było celowe – tłumaczy prezydent

Kirgistanu. Ale oglądane na całym świecie nagrania z ewidentnie świadomym lekceważenia swojej osoby Putinem, do tego publiczna reprimenda od premiera Indii, który stwierdził, że „dzisiejsza era nie jest erą wojny”, oraz przyznanie się rosyjskiego przywódcy, że Chiny mają pytania i obawy dotyczące wojny w Ukrainie – wszystko to wzmocniło obraz kurczącej się siły i ulatniającej się atrakcyjności Rosji.

– Putin nie jest już tym wielkim niezwykłym przywódcą, z którym wszyscy chcą się spotkać – mówi Emil Dżurajew z think tanku Crossroads Central Asia. – Połączmy wprost: stracił swoją aurę.

Dla kontrastu Xi Jinping stał się znacznie bardziej asertywny. Podczas wizyty w Kazachstanie w zeszłym miesiącu zobowiązał się do „zdecydowanego wsparcia tego kraju w obronie jego niezależności, suwerenności i integralności terytorialnej” – to uwaga powszechnie interpretowana jako ostrzeżenie dla Moskwy, aby nawet nie próbowała dyscyplinować władz Kazachstanu. Kilka dni później Chiny wydały podobną deklarację w stosunku do Kirgistanu, otwarcie wchodząc w dawną rolę Rosji jako strażnika granic Azji Środkowej.

W Samarkandzie Xi dokonał również innego afrontu wobec Putina, podpisując porozumienie z Kirgistanem i Uzbekistanem. Na jego mocy określono dokładną trasę nowej linii kolejowej, która ma dostarczać chińskie towary do Europy drogą lądową z ominięciem Rosji. Ten projekt, który ma kosztować 4 mld dol. i wciąż napotyka na przeszkody, był od dawna wstrzymywany głównie dlatego, że Chiny mają już połączenia kolejowe z Europą – przez Kazachstan i Rosję – i nie chciały ryzykować gniewu Moskwy z powodu budowy drogi alternatywnej, która osłabi kontrolę Rosji nad transportem lądowym w całej Eurazji.

Dżaparow, nacjonalistyczny polityk, który często mówi o potrzebie wzmocnienia suwerenności kraju, twierdzi, że „nie prosił Rosji o pozwolenie na budowę linii i nawet nie uprzedzono go, żeby tego nie robił”. – Nawet jeśli powiedzą mi, że nie wolno, to i tak, jeśli Bóg da, będziemy ją budować – dodaje.

Skarży się przy tym, że kiedy wybuchły walki graniczne z Tadżykistanem, rosyjski sojusznik „nie zrobił zupełnie nic, a Rosjanie zajmują się tylko własnymi problemami, których mają aż nadto”.

Niektórzy w Biszkeku uważają, że Rosja przymknęła oko na szarżę Tadżykistanu, bo to surowa dyktatura rządzona przez tego samego człowieka od 1994 r., czyli nawet dłużej niż Putin kontroluje Kreml. Kirgistan dla odmiany jest uważany za jedyny kraj Azji Środkowej z namiastkami prawdziwej demokracji i stosunkowo wolną prasą.

Pogląd, że Putin stoi po stronie Tadżykistanu – zamiast być bezstronnym rozjemcą między dwoma członkami swojego sojuszu – zyskał potwierdzenie w zeszłym tygodniu, kiedy Kreml oświadczył, że tadżycki dyktator Emomali Rahmon otrzymuje wysokie odznaczenie za wkład w stabilność regionu. MSZ Kirgistanu oświadczyło, że decyzja Moskwy „podjęta w czasie, gdy krew niewinnych ofiar jeszcze nie zdążyła wsiąknąć w kirgiską ziemię, musi budzić zdumienie”.

Na stepach Batkenu, regionu, gdzie wybuchły walki, od dawna rywalizują ze sobą różne grupy etniczne – rolnicy i pasterze sporadycznie prowadzili krótkie „wojny na łopaty”. Ale w zeszłym miesiącu przerodziło się to w prawdziwą wojnę. We wspomnianej już wsi Ak-Sai nie ma komu usunąć tysięcy gnijących kurczaków, które uduśliły się, gdy hala fermy została podpalona. Kirgiski właściciel, który według lokalnych urzędników zamiast uciekać, wołał pilnować swoich kurczaków, został zastrzelony przez Tadżyków w swoim biurze. Wszędzie dookola walają się ptasie pióra i łuski po nabojach.

Szef administracji obwodowej Dżorobajew Imamajewicz: – Rosja, zajęta w Ukrainie, już nie zwraca uwagi na nic innego. Po prostu już jej tu nie ma. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

Fajnie by było, gdyby prezes wreszcie wyszedł z szafy. Mógłby sobie jeszcze pożycć dobrych kilkanaście lat jako wolny i szczęśliwy człowiek

KOCHAM WOLNOŚĆ

IBALCEROWICZA

FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Z **KLAUDIĄ JACHIRĄ** ROZMAWIA
GRZEGORZ WYSOCKI

W pani posiadaniu znajduje się Jarosław Kaczyński. Jak się miewa?

– Lalka prezesa jest w dobrym stanie, ale od dłuższego czasu ukryta.

Na rozkaz Tuska? Powiedział: „Koniec tych wygłupów, Jachira”?

– Nie, sam się schował, na moją prośbę. Żeby mnie albo jego nie kusiło, tkwi we wrocławskiej szafie. Chociaż, kurczę, fajnie by było, gdyby prezes wreszcie wyszedł z szafy.

Rozumiem, że mówi pani teraz o co-ming oucie?

– Oczywiście. Mógłby sobie jeszcze pożycć dobrych kilkanaście lat jako wolny i szczęśliwy człowiek, przestać niszczyć życie osobom LGBT, kobietom i narzucać wszystkim konserwatywny model rodziny, którego sam nie przestrzega.

Wie pan, ja jestem za jak najszerzą wolnością. Życie prywatne to życie prywatne, kropka. Państwo nie powinno się interesować, kto, jak i z kim sypia. Dla mnie instytucja małżeństwa w ogóle mogłaby nie istnieć.

Notuję pierwszy tytuł wywiadu: „Jachira zamierza zlikwidować śluby w Polsce”.

– (śmiech) Śluby kościelne mogą zostać. Jeśli ktoś czuje taką potrzebę przed swoim bogiem, to może sobie taki ślub wziąć, ale państwa w ogóle nie powinno obchodzić, kto jest w jakim związku. Zarówno jeśli chodzi

o pary monogamiczne, jak i o poliamorię. Jak ktoś ma ochotę być z więcej niż jedną kobietą czy mężczyzną i wszystkie strony to akceptują, to też nie ma w tym nic złego.

Natomiast jeżeli ktoś wpięprza się z buciurami w tę sferę prywatną, to sorry, nie może być tak, że on może sobie mówić: „Ty nie możesz spać z tamtym, a ty musisz być czysta”.

I wtedy można takiego kogoś wyoutować, bez dowodów i bez jego zgody?

– A czy osoby LGBT, kobiety zgadzały się, by jakiś polityk wtrącał się w ich prywatne życie i mówił im, jak mają żyć?

Lalkę prezesa schowała pani, gdy dostała się do Sejmu. To miało być symbolicznie powitanie nowej, poważniejszej Jachiry?

– Ale co to znaczy „być poważnym” czy „być niepoważnym”? Dla mnie niepoważni są posłowie PiS, którzy rozpierd..., przepraszam, rozwalają nasze pieniądze.

A z lalką to jest droga. Zaczęłam od totalnej satyry, ale ten etap się skończył, bo rozpoczęłam kolejny, trudniejszy, w którym wyborcy oczekują trochę innego działania.

Na przykład rozrzucania pieniędzy w Sejmie?

– Jeżeli w ten sposób zobrazuję, na czym polega dorzucanie do publicznego budżetu pustych pieniędzy, to jak najbardziej.

W 2018 r. mówiła pani, że wyrzuca z pomocą lalki emocje wywołane rządami PiS. Rozumiem, że to nieaktualne?

– No jak?! Lalki nie ma, ale tych emocji jest jeszcze więcej, ogrom. Kiedy np. wracam z Sejmu, nie mogę spać i płaczę... Wie pan, Sejm to jeden z najpiękniejszych budynków, jakie w życiu widziałam, i dzieją się w nim tak straszne rzeczy...

Pierwszy raz płakała pani podobno po nieopublikowaniu wyroku Trybunału Konstytucyjnego, jeszcze w 2015 r. I od tego czasu często pani płacze przez PiS?

– Zdarza mi się. Ja, jak pan pewnie widzi, w ogóle emocje mam raczej na wierzchu. Ale myślę, że to lepiej, gdy płaczę, widząc ten ogrom zła w polskiej polityce, niż gdyby to zaczęło po mnie spływać.

A ten ogrom zła, przez który pani czasami płacze, to co konkretnie?

– Wprowadzenie „ustawy kagańcowej” kneblującej sędziów, niszczenie niezawisłych sędziów i sądów, uwłaszczanie się na państwowym, atakowanie mniejszości seksualnych, uchodźców, doprowadzenie do tego, że w XXI wieku w polskich lasach chorowali i umierali ludzie tylko dlatego, że mieli ciemniejszy kolor skóry. Masowa wycinka lasów, najbrudniejsze powietrze w Europie...

Mówi pani, że lalkę schowała sama. A na rozrzucanie banknotów musiała być zgoda Tuska?

– No gdzie?! Przecież dostałam mandat od ludzi, którzy na mnie głosowali. Dostałam od nich zgodę na działanie według moich zasad. Czy pan w ogóle wie, że ja nie jestem w PO? Należę do klubu KO.

Dla zwykłego człowieka to jedno i to samo.

– To niedobrze, bo dzięki koalicji zmieniła się sama Platforma, ale i tak dobrze mi z bezpartyjnością. Najbliższy kontakt z partią polityczną miałam w 2015 r.

I chodziło o Nowoczesną, w której pani chciała być, ale oni nie chcieli pani. I tak się pani tym odrzuceniem zraziła...

– ...a żeby pan wiedział! Ale do partii, a nie do ludzi, bo z ludźmi z Nowoczesnej przyjaźnię się do tej pory i dalej są mi najbliżsi programowo.

Z tą urazą do partii chodzi o to, co się dzieje wewnątrz. Te wszystkie gównoburze o nic. Szkoda mi na to czasu. Do partii tak się zraziłam, że nawet do KOD nie chciałam wstępować.

Byłaby pani chyba najmłodszą członkinią KOD w Polsce.

– Ludzie w KOD są bardzo młodzi duchem. Marzy mi się, by całe nasze społeczeństwo 50-60 plus było takie jak oni.

A dzisiaj najbliżej mi do Zielonych. Choć oczywiście też się różnimy, głównie gospodarczo, bo oni są bardziej lewicowi. Marzy mi się powołanie do życia większej liczby parków narodowych i doprowadzenie do tego, że na tej mapie Polski, która wisi za panem na ścianie, będzie dużo więcej terenów chronionych.

Skromnie.

– To pozornie małe rzeczy, ale w obliczu katastrofy klimatycznej ważne i niezbędne.

Bo jako opozycja w Sejmie działamy trochę jak pogotowie. Tutaj biją LGBT, więc trzeba brać legitymację, flagę i lecieć na Krakowskie Przedmieście bronić ich przed policją. Tu kryzys na granicy, to lecimy, bo dzieją się straszne rzeczy, aktywiści dzwonią i płaczą. Tu wojna z Ukrainą...

To wszystko jest ważne, ale cały czas takie doraźne...

A pani by wolala tworzyć te parki?

– Albo dobrą ustawę kaucyjną, którą PiS zapowiada chyba od trzech lat.

Czyli parki i śmieci.

– Zawsze można powiedzieć: „Aaaa, ta Jachira to się śmieciami zajmuj!”, ale przecież każdy z nas śmieci. To jest totalnie podstawowa rzecz.

Urodziła się pani we Wrocławiu. W jakim domu? O wychowanie pytam, nie o numer.

– W bardzo ciekawym, bo całe życie wychowałam się w dwóch różnych światach. Moi rodzice właściwie od mojego początku nie byli ze sobą. Tato był adwokatem i chodził ze mną na spacer...

...na których opowiadał pani piękne legendy o Geremku z kozią bródką.

– Tak! To było w kontekście „Polskiego zoo”, bo ja ubóstwiałam Koziołka Matolka i on mi się kleił z tym Geremkiem jako kozłem. Tata wpoił mi wdzięczność za to, że jestem pierwszym pokoleniem, któremu dane było dorastać w wolnej Polsce. I to, ile zawdzięczamy Balcerowiczowi, Geremkowi, Mazowieckiemu! O, widzi pan, nawet jak teraz o tym mówię, to mam dreszcze!

Pani jest na pewno młodsza ode mnie?

– (*śmiech*) Nie ma pan pojęcia, jak mi brakowało w szkole zająć o III RP, o tym, jakie mamy szczęście, że żyjemy w wolnym kraju. Pokolenie moich rodziców w większości uznało, że to taki oczywisty fakt. Że to naturalne, że ta wolność teraz jest, że każdy jej chce i że ona będzie, więc po co o tym przypominać.

Przez te polityczne legendy opowiadane przez ojca marzyła pani podobno o tym, by być PRL-owską opozycjonistką?

– Marzyłam o tym, żeby móc się przeciwko czemuś buntować. Bo nie było przeciwko czemu. Weszliśmy do NATO, do Unii, wszystko szło w dobrą stronę, było wręcz za dobrze. Do czasu.

Nie wiem, co pani czytała na temat Polski lat 90., ale nie wszystkim „było za dobrze”. O mamie coś pani opowie?

– Mama jest z wykształcenia nauczycielką, ale większość życia pracowała w ubezpieczeniach. Myśmy żyły bardzo biednie. Czasami do końca miesiąca był jeszcze tydzień, a miałyśmy tylko 20 zł i szłyśmy na jakiś obiad do baru, a potem jadłyśmy tylko to, co nam zostało w zamrażalniku, albo babcia podrzuciła jakąś zupę...

A pani mówi, że ludziom „było za dobrze”.

– Ale to był wybór mojej mamy, że zamiast pracować, wolala ze mną siedzieć w domu przez kilka lat. Nie można obciążać winą państwa za swoje niepowodzenia.

A potem jechałam do taty i robiliśmy zakupy w Epi. Zna pan Wrocław? To taka Alma. Łososie, halibuty. Dwa totalnie różne światy, ale bardzo sobie to doświadczenie cenię, bo dzięki temu wiem, jak to jest zupełnie nie mieć pieniędzy, i jak to jest je mieć.

Czego jeszcze nauczyła się pani od mamy?

– Mama miała wielki wpływ na to, że jestem tak niezależna. Jak miałam siedem lat, to jedna z sąsiadek z bloku naprzeciwko nakleiła butaprenem przy naszych drzwiach kartkę: „Ty bezwstydna kobieto, przestań mi męża deprawować i chodzić bez stanika!”.

Czyli pani mama wyprzedziła dzisiejsze trendy?

– Tak, tylko że mama chodziła bez stanika po swoim domu, a nie na ulicy.

Wbrew temu, co PiS mówi o rozbitych rodzinach, ja nie mam absolutnie żadnej traumy z tym związanej. Miałam bardzo równy kontakt i z tatą, i z mamą. Spędzałam trzy dni u taty, a cztery u mamy.

Jak PiS się dowie o tej „rozbitej rodzinie”, to już wszystko będzie jasne. O szkolnych czy nastoletnich czasach niech pani jeszcze mi zdradzi jakieś sekrety.

– Chyba jestem już stara, bo czasami przychodzą tutaj asystenci i oni mają po 18-19 lat i mówią, że ich rodzice mają 37-38. Ja wtedy od razu robię się taka młodzieżowa: „O hej, pamiętam jeszcze, jak to było w liceum!”. Oni się wtedy tak dziwnie patrzą... Ale ja w ogóle nie czuję tych upływających lat. Wydaje mi się, że to było przed chwilą.

Z lat szkolnych pamięta pani głównie brak lekcji o III RP? Inni chodzili ze sobą, pili alkohol, jarali itd.

– Też imprezowałam i też się zakochiwałam, ale byłam już totalnie zafiksowana na punkcie teatru. I co jeszcze za sekrety mogę panu wygadać? Jak miałam zły dzień w liceum, to uciekałam do biblioteki i tam płakałam nad Mickiewiczem. Na przykład nad „Wielką Improwizacją”!

Tak sobie teraz myślę, że trochę nam ta szkoła jednak robiła pranie mózgów. Przecież ja tak wierzyłam w ten romantyzm! Na jakieś dwa lata całkowicie mnie zdominował. Na szczęście potem przyszło „Wesele”, Tuwim i trochę mnie otrzęźwili.

Pan się śmieje, a mnie naprawdę do dzisiaj wkurza, że nas nie uczono np. o planie Balcerowicza.

Czyli pani się już wtedy marzył przedmiot historia i terażniejszość, tylko taki w drugą stronę?

– Bardzo czegoś takiego brakowało. Jeśli mam o coś straszne pretensje do PO i Komorowskiego, to o to, że nie zrobili 4 czerwca narodowym świętem. Ze świętami kościelnymi jest tak, że każdy może mieć swoje i każdy powinien sobie brać wtedy urlop na żądanie. Natomiast 4 czerwca to powinno być nasze wielkie powszechne święto.

Rozumiem, że sama je pani obchodzi i daje dobry przykład innym?

– Oczywiście! Wysyłam bliskim SMS-y: „Wszystkiego dobrego z okazji Święta 4 Czerwca”, wrzucam post na Facebooka, ale może to i tak za mało i powinnam zorganizować coś więcej, jakiś festyn, radosną paradę. Dobry pomysł, muszę o tym pomyśleć.

A kim pani chciała wtedy być?

– Aktorką oczywiście. Ale nie filmową, tylko teatralną. To marzenie pojawiło się bardzo szybko, miałam osiem-dziewięć lat. Innym to zwykle przechodzi, a mi zostało.

Przeskakujemy do roku 2008. Ma pani 20 lat i ukończone policealne studio aktorskie Lart w Krakowie.

– Bo nie dostałam się do szkoły teatralnej. Próbowалам od razu dostać się do wszystkich trzech PWST.

Na stronie Lartu mają coś takiego jak Orbita Marzycieli i tam wyliczają 34 swoich znanych absolwentów...

– (*śmiech*) I nie ma mnie? No nie zrobiłam wielkiej kariery jako aktorka.

Czyli lalkarstwo to z konieczności trochę?

– Nie no, jakbym nie chciała, tobym nie zdawała. W ogóle straszna awantura była o tę moją szkołę aktorską. Tato adwokat chciał, żeby córka poszła na prawo. Babcia inżynierka chciała, żeby szła na inżynierię.

nierka chciała, żebym szła na matkę. Działek to w ogóle się obraził, bo aktorki to u niego budziły najgorsze skojarzenia. Wariatki, rozpustnice... Więc wielka imba była w rodzinie.

Nic złego się w tej szkole nie działo?

– Pyta pan w związku z dyskusją na temat przemocy psychicznej w szkołach artystycznych? Bywało różnie. Bardzo intensywny trening aktorski. Chwilami bardzo przemocowy, jak patrzę z perspektywy czasu... Nie mieliśmy tej odwagi, którą mają dzisiejsi studenci... (*zerka na telefon*). Niech pan zaznaczy, że po godzinie zaczął do mnie dzwonić klub KO. Może wiedzą, że rozmawiamy, bo oni za często nie dzwonią (*śmiech*).

A czy pani jest dobrą aktorką?

– O matko! Gdyby pan starego Stuhra o to spytał, toby pana wystawił za okno. Uwagażam, że mam warsztat, dykcję i umiem animować lalki. Da mi pan marionetkę, to ją zaanimuję.

To może tak będzie łatwiej: jest pani lepszą aktorką czy polityczką?

– Obecnie lepiej się spełniam w roli polityczki, bo ważne jest to, co robię i o co walczę, a nie tylko czy wizualnie pasuję do jakiegoś reżysera.

Grała pani w pojedynczych odcinkach „Na Wspólnej”, „Przyjaciółek” czy „Pierwszej miłości”...

– No tak, byłam freelancerką, żyłam od castingu do castingu, od zlecenia do zlecenia. Później zrozumiałam, że dopóki mam te 10 kilo za dużo, to do reklam mnie nie wezmą, taka jest brutalna prawda.

To teraz cięższe działa: w 2015 r. zagrała pani w rosyjskim filmie propagandowym „Jedynka”. Rzecz o czerwonoarmistach ratujących polskie dzieci w czasie wojny.

– Oczywiście wziął pan te informacje z Wiadomości TVP?

Z programu „Skandaliści” na Polsacie.

– Jako freelancerka brałam wszystko, co dawała. Każda kasa była fajna, bo pozwalała przeżyć kolejny miesiąc. A bywało różnie, często to było powiązane z kalendarzem świąt kościelnych. Jak był karnawał, to miałam żniwa. Eventy, konferansjerka... A potem przychodziły gorsze czasy...

To już wiemy, skąd ta pani nienawiść do Kościoła.

– ...więc jak dzwonił agent, mówił, że jest epizod do zagrania, to się brało. Któregoś razu zadzwonił szef wrocławskiej agencji aktorskiej: „Jachirka, jest epizod do wzięcia, będziecie grać martwe zakonnice”. Dodał, że świetnie płacą za jeden dzień zdjęciowy.

Przeskakujemy do roku 2015. Ma pani 27 lat i ukończona szkoła aktorska. W tym czasie zagrała pani w rosyjskim filmie propagandowym „Jedynka”.

– Dłaczego ktoś, kto zarabia 20 tysięcy, ma dostawać od państwa dodatkowe pieniądze albo płacić w sklepie 50 groszy mniej za chleb czy mleko? Nawet bogata Norwegia nie wydaje tak głupio

Walizka rubli.

– Nie, złotych, umowa o dzieło. To była rola niema, rozstrzeliwane polskie zakonnice. Trudno powiedzieć nawet, że zagrałam, to było statutowanie. Plan niedaleko Wrocławia. Ci Rosjanie w ostatniej chwili się zorientowali, że wzięli za mało aktorów i statystów ze sobą. A my nawet nie wiedziałyśmy, o czym ten film będzie! Statystom przecież nikt nie daje scenariusza. Byłyśmy chyba w dziesięć dziewczyn od nas ze szkoły, niektóre to dzisiaj dość znane aktorki.

I teraz najlepsze. Bo nas miało nie być nawet w napisach. Ale nam się tam tak fajnie pracowało, że na koniec dnia podeszłyśmy do reżysera, żeby nas wpisał.

No to sama pani sobie sznur uknęciła.

– Ale absurd polega na tym, że TVP sobie tą informacją wycierało buzię przez całą kampanię wyborczą, a przez trzy lata nie potrafili mnie nawet w tym filmie zlokalizować! Dopiero niedawno znaleźli ten jeden jedyny kadr, gdzie mnie widać. Przez sekundę!

A dzisiaj, jak już jestem w polityce, wszystko sprawdzam dziesięć razy. Pana też sprawdzałam.

Rok 2015 to również start z list Nowoczesnej i początku kanału na YouTube. Skąd anonimowa lalkarka w polityce?

– Polityką, jak wiemy, interesowałam się od dziecka, więc temat cały czas był obecny. Teatr był na pierwszym miejscu, ale przyszedł rok 2015 i atmosfera w kraju stężała. Nie poznawałam ludzi – wskutek zmasowanej propagandy PiS w kilka miesięcy totalnie zmienił się np. stosunek do uchodźców, choć przecież ich w ogóle wtedy w Polsce nie było.

I doszłam do wniosku, że moje oddolne zaangażowanie – współpraca z miejskim ośrodkiem opieki społecznej, robienie spektakli o przemocy w rodzinie i tak dalej – to za mało. Nie można tylko narzekać z dziadkami przy niedzielnym obiedzie, jak jest źle.

I co, usłyszała pani o Nowoczesnej?

– Tak, nagle widzę, że powstaje partia, która ma prawie identyczne poglądy z moimi, lib-lib, coś takiego może się drugi raz nie powtórzyć. Jeszcze usłyszałam, że Frasiński weźmie w tym udział, że Balcerowicz jest blisko...

Pełnia szczęścia!

– (*śmiech*) Na początku poszłam, bo pomyślałam: „Może się na coś przydam”. Jak nowy ruch się tworzy, to każdy jest mile widziany i potrzebny. Chciałam wyjść z tego polskiego narzekactwa, że jest źle, a będzie tylko gorzej.

I zaraz zaczęła pani jeździć po Polsce z Petru i robić mu konferansjerkę.

– Tak, byłam taką zagrzewaczką, superportem. Najpierw mi zaproponowali jeżdżenie z Ryszardem, bo zobaczyli, że tryskam energią, że jestem po szkole, że mam doświadczenie, także w konferansjerce. A później były wybory 2015, gdzie byłam taką pchajdziurą, szóste miejsce na liście partii, która dopiero powstawała.

629 głosów pani dostała.

– I super! Bez tych 629 głosów nie byłoby mnie tu teraz. Te wybory były fajnym doświadczeniem, popełniłam wszystkie błędy, jakie można było popełnić. Szkoła polityki. Na kampanię wydałam 600 zł.

Czyli złotówkę za głos. A potem nie wzięli pani do Nowoczesnej. Powiedzieli, że ośmiesza pani wizerunek partii, i dali wybór: albo niepoważne filmiki, albo partia.

– No i wybrałam, że chcę robić filmiki.

Kolejne cztery lata: KOD, demonstracje, lalka Kaczyńskiego, kolejne filmiki...

– Działalność polityczno-satyryczna. Niesamowity czas, bo mogłam połączyć dwie pasje. Także rosnąca popularność, coraz większa liczba lajków. Oczywiście nie było z tego żadnej kasy...

To z czego pani żyła?

– Dalej z eventów czy konferansjerki. Później jeszcze z Patronite’a.

Tam to zbierała pani 700 zł miesięcznie.

– Czasami dochodziło do 1200! Mogłam odświeżyć lalkę, kupić jakiś sprzęt do studia, pojechać na demonstracje w Polskę. Nie mogłam być nigdzie na etacie, zresztą jestem zbyt niezależna na etat. W ogóle myślałam, że etat zniknie z rynku pracy, ale niestety idzie to w inną stronę...

Jak to?

– No tak, bo wydaje mi się, że etat strasznie upupia. Elastyczne i zadaniowe formy zatrud-



nienia są dużo ciekawsze dla człowieka, dają pole do rozwoju, przeprowadzek, w tym duchu jest przecież też praca z domu.

To interesujący pogląd na temat śmieciówek!

– Nie lubię, gdy umowy cywilnoprawne tak się nazywa, szczególnie w odniesieniu do artystów, gdyż to z myślą o nich powstały umowy o dzieło. I pamiętajmy, że etat jest najdroższą formą zatrudnienia dla pracodawcy, jeżeli pracownik np. zarabia 3,5 tys. na rękę, łączne obciążenie dla firmy to około 6 tys. Prawie 50 proc. łącznych danin z etatu, a poziom usług publicznych leży i kwiczy.

OK, ale nie każdy może być artystą czy projektantem wnętrz. Jak na śmieciówkach planować dzieci, dom, przyszłość?

– A czy teraz ludzie na etacie są o nią spokojni? Przecież pieniądze z miesiąca na miesiąc tracą na wartości, a raty kredytów szaleją. Za chwilę rząd tak dognie przedsiębiorców, głównie małe i średnie firmy, że po prostu będą zwalniać ludzi i zamykać biznesy.

Czy hejty na panią zaczęły się już wtedy, po wyborach 2015?

– Tak, wraz z pierwszym filmikiem. A pierwsza naprawdę wielka fala hejtu była wtedy, jak zrobiłam pogrzeb konstytucji. Zupełnie nie rozumiałam, o co chodzi. Można się z kimś nie zgadzać, ale ta gigantyczna fala czystego hejtu, łącznie z życzeniami śmierci, to było szokujące.

Pani ma twardą skórę?

– Tak myślę. Musimy się cofnąć do studiów teatralnych i wydarzenia, które mnie uodporniło. Nie robiliśmy rewolucji w teatralnej obyczajowości jak dzisiejsi studenci, ale jako pierwsza osoba na roku zrezygnowałam z fuksówki, czyli takiej fali, gdzie przez miesiąc trzeba starszym studentom robić śniadania, myć domy, samochody, stać na baczność. W wieku 20 lat jako pierwsza na roku się zbuntowałam. I dostałam olbrzymi hejt, w realu.

Od kogo?

– Przede wszystkim od wykładowców. Straszili, że nie skończę studiów, jeśli się nie ofukuję. Ale są też studenci, którzy do tej pory nie mówią mi „cześć” za to, że ją zerwałam.

A jak te filmiki i hejty doprowadziły panią na 13. miejsce warszawskiej listy KO?

– Filmiki miały coraz większe zasięgi, a jeżeli TVP chciała mi zaszkodzić, nasyłając prokuraturę i policję, to jej nie wyszło – tylko zwiększyła moją rozpoznawalność.

Udawala pani reporterkę TVP i dostała zarzut bezprawnego wykorzystania logo.

– Tak, ale sąd stwierdził, że mam prawo do takiego użycia w satyrze.

Są teorie, że znalazła się pani na listach KO, bo Schetyna potrzebował nowego Palikota. I to dlatego zdecydował się na „nieformalną córkę Urbana i Palikota”.

– A ja nigdy ani jednemu, ani drugiemu nie miałam okazji podać ręki... A przewodniczący Schetyna był za szeroką koalicją, dlatego zaprosił takie osoby bezpartyjne, zaangażowane w walkę z PiS na ulicy czy w internecie, jak ja czy Franek Sterczewski.

A po co pani w ogóle jest w polityce? Co chce pani osiągnąć? Co dla Polski, a co dla siebie?

– Zaczęło się od niezgody na to, co PiS zaczął robić z krajem. Od początku uczciwie mówiłam, że jeśli nie wygramy, to będę patrzeć władzy na ręce. I to jest absolutny plan minimum. Muszę informować o wszystkich bezceństwach.

A plan maksimum?

– Będzie patetycznie, ale trudno: chcę żyć w wolnej, w pełni europejskiej Polsce, w której każdy jest szanowany bez względu na to, kogo kocha, w co wierzy i jak żyje.



FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Katolicyzm obrabował nas z religii przodków. Z wierzeń pierwotnych, słowiańskich. Jeżeli pan mnie pyta, czy ja mam swojego boga, to moimi bogami są słońce, woda, drzewa

Klaudia Jachira

• ur. w 1988 r., aktorka, lalkarka, społeczniczka, satyryczka, posłanka Koalicji Obywatelskiej. Prowadzi popularny kanał polityczno-satyryczny na YouTube. Rozgłos zdobyła serią filmików z lalką Jarosława Kaczyńskiego

Chcę również żyć w zielonym kraju, w którym drzewa nie są wycinane na potęgę, gdzie nie ma smogu, gdzie jest czysta woda, gdzie ludzie nie wyrzucają śmieci do lasu i gdzie nie ma przyzwolenia na przekraczanie prędkości.

Czyli jest pani za wolną Polską i wolnymi samochodami. O co chodzi z tą prędkością? W stu wywiadach o tym pani mówi.

– Nienawidzę przekraczania prędkości! Kierowcy, którzy przekraczają prędkość, narażają cudze życie, a wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego człowieka. Pan mnie pytał przez telefon, czy ja może nie jestem libertarianką. No nie, bo mam właśnie bardzo mocną tę granicę. Że moja wolność jest super, dopóki nie zagraża innym ludziom.

Skoro nie lubi pani etatów i onnipotentnego państwa, to może chce pani spyratyzować straż pożarną i policję?

– Nie.

A co z likwidacją ZUS?

– Chciałabym ZUS tak zreformować, by dla jednoosobowych działalności nie był obowiązkowy. Znam przypadki, że przez te składki ludzie bankrutowali i mają długi do końca życia. Jakim cudem przedsiębiorca, który zarabia 4 tys., ma płacić 1,7 tys. do ZUS? To karanie za przedsiębiorczość.

A czego chce pani dla siebie? Sylwia Spurek chce być prezydentką, a pani? Może premierką?

– Mogę być kimś od ochrony środowiska, ministram, wiceministram albo dyrektorką departamentu, nieważne. Byłe robić konkretne rzeczy dla konkretnych ludzi i przyrody, to mi sprawia największą frajdę.

Pani się uważa za patriotkę?

– Oczywiście. Czy inaczej poświęcałabym całe życie, by w Polsce było lepiej? Tylko że jestem za unowocześnieniem tego sło-

wa. Patriotyzm to płacenie podatków, segregacja śmieci, szacunek dla przyrody, zielona energia.

Krążymy wokół, więc załatwmy to wprost. Jakie pani ma poglądy?

– Normalne. Jestem liberalna gospodarczo i liberalna obyczajowo.

Jednak wiele osób uważa panią za ostrą lewaczkę.

– Przecież dzisiaj lewicowy jest PiS. Kiedyś nagrałam filmik, że nie jestem lewaczką, bo to nie ja jestem za wysokim socjałem, za centralizacją państwa kosztem samorządów, nie ja mówię, że praca jest dla frajerów.

A aborcja, małżeństwa jedнопłciowe, adopcja dzieci przez te pary? Tu Zandberg, Jachira czy Biedroń mówią jednym głosem.

– Owszem, ale to oni są liberalni w tych kwestiach, a nie ja lewicowa, no helo!?

Czyli do Lewicy się pani nie wybiera.

– Nie, ale jak to dobrze, że pan do mnie przyszedł i próbuje mi znaleźć polityczny dom! Jak ja sobie bez pana radziłam przez te ostatnie lata?

Czyli nie ma pani problemu z tym, że PO jest bardziej konserwatywne od pani?

– Po ostatniej deklaracji Tuska na Campusie Polska Przyszłości myślę, że coraz mniej się różnimy w kwestiach aborcji czy rozdziału państwa od Kościoła. Platforma ostatnio bardzo się zliberalizowała pod względem światopoglądowym. Przekaz zdominowały takie posłanki jak Barbara Nowacka. Wszystkie posłanki, nawet te konserwatywne, masowo chodziły na Strajki Kobiet.

Ja mam inny problem z KO... O, już się panu oczy świecą! Uważam, że KO idzie za bardzo na lewo gospodarczo.

I co pani przeszkadza?

– Brak dyscypliny budżetowej. Ściganie się z PiS na socjalne obietnice. Hasła w rodzaju, że mieszkanie jest prawem, a nie towarem – coś strasznego!

A co w tym takiego strasznego?

– To zaklinanie rzeczywistości i oszukiwanie ludzi. Możemy dyskutować, czy państwo ma budować mieszkania socjalne, i jeśli tak większość zadecyduje, to OK, ale trzeba znaleźć na to środki w budżecie, więc te państwowe lokale nadal są towarem, kosztowały, nie wzięły się z nieba.

Gdyby była pani premierką, zlikwidowałaby pani 500+, prawda?

– Byłabym za przyznawaniem tego świadczenia osobom pracującym i nie dawałabym bogatym.

A co z argumentem, że przez powszechność tego świadczenia nie stygmatyzuje się najbiedniejszych?

– Jest mniej ważny niż zaoszczędzenie np. 10 mld zł, które można by przeznaczyć na bezpłatne żłobki, czyli pomoc systemową. Albo na podniesienie poziomu nauki języków obcych w szkołach. Albo na zasłużone podwyżki dla poniżanych przez obecny rząd nauczycieli.

I uważam, że 500+ bardzo źle wpływa na pozycję kobiet na rynku pracy. Ale nie, teraz mi pan nie będzie przerywać, teraz mi pan da skończyć! Sama mam dwie koleżanki, które zrezygnowały z pracy zawodowej, bo im się to nie opłacało.

Jan Gromadzki, ekonomista z SGH, który to przebadal, twierdzi, że „świadczenie bezwarunkowe nie wywołuje negatywnego wpływu na aktywność zawodową matek na rynku pracy”. A pani zdaniem 500+ rozleniwia?

– Każde bezwarunkowe świadczenie rozleniwia, bo nie zachęca do pracy. Gdybym już miała rozdawać publiczne pieniądze, to dawałabym premię za podjęcie pracy. Niemniej startując w 2019 r. z list KO, zgodziłam się na postulat: „Nic, co dane, nie będzie zabrane”.

Zatem myśli pani swoje, ale głosuje jak trzeba.

– Nie, nie! Proszę sprawdzić różne moje głosowania. Głosowałam przeciw 13. i 14. emeryturze, przeciw podwyżkom dla posłów, przeciw dodatkowi węglowemu, przeciw podwyższeniu zasiłków dla bezrobotnych. W głosowaniach absolutnie wyrażam siebie!

Tudzież Leszka Balcerowicza.

– Zaraz się na pana wkurzę! Ja wiem, że jestem w mniejszości. Gdyby pan spytał, ile osób w klubie jest za odebraniem 500+, to by się trochę znalazło – ale publicznie nikt oprócz mnie by nie powiedział – może z pięć osób. Więc muszę odpuszczać.

Nie brzmi to tak, jakby się pani pogodziła.

– (*śmiech*) Proszę zobaczyć, ile pustych pieniędzy wpłynęło na rynek. Inflacja to nie tylko 500+, ale też te trzynastki, czternastki, dosypywanie wszystkim, „tarcza antyinflacyjna”, a tak naprawdę proinflacyjna. Dłaczego

go ktoś, kto zarabia 20 tys. zł, ma dostawać od państwa dodatkowe pieniądze albo płacić w sklepie 50 groszy mniej za chleb czy mleko? Nawet bogata Norwegia nie wydaje tak głupio swoich pieniędzy. Jeśli chcemy mieć państwo opiekuńcze, to OK, idźmy w to, ale pamiętamy, jak wysokie podatki się z tym wiążą.

Gdy Sejm glosuje, czy dotować dekodery i telewizory dostosowane do nowego standardu telewizji cyfrowej za pół miliarda złotych, przeciw jest tylko kilka osób. Tak gigantyczne zadłużanie się doprowadzi nas do katastrofy, więc Balcerowicz będzie musiał wrócić. Nie mamy edukacji ekonomicznej, więc Polacy dali sobie wmówić, że możemy mieć socjał jak w Szwecji i podatki jak w najbardziej liberalnych krajach.

W ogóle myślę, że państwo mogłoby nagradzać ludzi za jakieś fajniejsze rzeczy niż rozmnażanie się czy małżeństwo, np. w postaci ulgi podatkowej za bezpieczną jazdę i brak punktów karnych, nagrody dla gminy z najwyższym procentem posegregowanych śmieci albo dotacji do rowerów.

Zatrzymajmy się jeszcze przy tym Balcerowiczu. Za co pani go tak uwielbia?

– Za odważne i konsekwentne reformy, dzięki którym poradziliśmy sobie z hiperinflacją, a nasza gospodarka mogła się tak szybko rozwijać. Jestem po stronie Balcerowicza, bo po prostu kocham wolność, tak jak i on umiłował wolność.

A jak by pani to wytłumaczyła mieszkańcom popegeerowskich wiosek albo np. moim głosującym na PiS wujom?

– A oni też nie lubią Balcerowicza? Myślę, że za mało się ludziom tłumaczyło, że zmiana całego ustroju nie będzie prosta. Ludzie są w stanie zaakceptować nawet niepopularne reformy, tylko trzeba im tłumaczyć i z nimi rozmawiać.

A z wyborcami PiS trzeba w ogóle rozmawiać i mieć dla nich jakąś ofertę?

– Modelowa odpowiedź jest taka, że jak najbardziej – trzeba rozmawiać, przekonywać. Ale ja nie wierzę w to, że da się dogadać z twardym pisowskim elektoratem. Mam przyjaciółkę, która jest bardzo wierząca, a jednocześnie jest wegetarianką, bardzo proekologiczną, wrażliwą na uchodźców itd.

I glosuje na PiS?

– Nie wiem. Boję się zapytać...

Przepraszam, czy pani płacze?

– Znamy się od 25 lat. To ciężki temat...

Ale dlaczego? Jeśli ktoś glosuje na PiS, to nie można się z nim przyjaźnić?

– Można, ale pod warunkiem że o tym nie rozmawiamy. Ale gdy pytam ją, co tam u niej w pracy, to naturalne jest też pytanie, co się dzieje u mnie...

A u pani w pracy Tusk, Balcerowicz, walka z PiS i Kościołem.

– No i te tematy przemilczamy, bo wiem, że się pokłócimy. Opowiadałam o rzeczach, co do których możemy się zgodzić – o ochronie środowiska, o brudnej Odrze, o pomocy uchodźcom.

Czyli pani rozmowy z wyborcami PiS generalnie odpadają?

– Przy tej propagandzie TVP, według której ja jestem anty-Polką? Tak.

Może osobom bardziej konserwatywnym obyczajowo, jak Pawłowi Zalewskiemu czy Kosiniakowi-Kamyszowi, jest łatwiej dotrzeć do pisowskiego elektoratu. Ja mogę co najwyżej mobilizować tych, którzy nie głosują, bo im się dotąd nie chciało wstać od telewizora. Myślę, że część osób, które w poprzednich wyborach odpowiadały mi na ulicy: „Mnie polityka nie interesuje”, teraz widzi, że polityka weszła do ich domów przez wyższe raty kredytów, drożyznę czy traktowanie kobiet jak inkubatory.

A kiedy była pani ostatni raz w kościele?

– Chyba na ślubie koleżanki dwa lata temu.

I co, stała pani pod kościołem?

– Tak. W kościele byłam tylko na samym składaniu przysięgi małżeńskiej. I ostatnio, jak mi ciocia zmarła, też stałam pod kościołem.

Jak Jaruzelski na pogrzebie swojej mamy. Pani przeżyła jakąś religijną traumę?

– Właśnie zupełnie nie. Normalnie pierwszą komunię przyjęłam, bierzmowana byłam. Przeszłam całe to pranie mózgu w podstawówce, nawet miło to wspominam. Miałam cudowną katechetkę, lubiłam czytać na głos Biblię w kościele, a najbardziej różne jasełka, występy, śpiewy – jako dziecko po prostu traktowałam to jako taki fajny teatr.

To o co poszło?

– O seks. Wszystko było super do momentu, kiedy przestałam być dzieckiem i okazało się, że oni coś mają z tym seksem i chcą, żeby ludzie się spowiadali z tego, z kim i jak się kochają. I jako ta nastolatka z totalnie otwartego domu, gdzie o seksie normalnie się rozmawiało, nie było żadnego tabu, również z nagością, nie mogłam tego zaakceptować.

Jest pani członkinią parlamentarnego zespołu Świeckie Państwo. To kiedy je w końcu zaprowadzicie? Bo na razie coś wam nie idzie.

– Coraz bardziej idzie, laicyzujemy się w bardzo szybkim tempie, niektórzy sądzą, że nikt tak szybko nie uwolni nas od wpływów Kościoła w Polsce, jak PiS i księża pokroju Jędraszewskiego.

Ale mam jeszcze coś, co nie wybrzmiewa w publicznej debacie. Uważam, że katolicyzm obrabował nas z religii przodków. Z wierzeń pierwotnych, słowiańskich. Jeżeli pan mnie pyta, czy ja mam swojego boga, to moimi bogami są słońce, woda, drzewa...

Czy pani jakoś praktykuje te wierzenia?

– W pewien sposób tak. Jadę do lasu, siedzę sobie, patrzę na słońce, na drzewa, przytulam się do nich. Natura daje siłę.

Krzyż w Sejmie się pani nie podoba. Może więc czas go zdjąć?

– Oczywiście, że nie powinno go tam być, ale są ważniejsze sprawy. Przyjdzie taki moment, że go zdejmiemy, ale nie na chama, tylko za pomocą ustawy. Bo w świeckim państwie nie powinno być żadnych symboli religijnych.

Cytat z pani: „Chcielibyśmy, żeby przesłtrzenie publiczne były neutralne. Sama

Państwo mogłoby nagradzać ludzi za jakieś fajniejsze

rzeczy niż rozmnażanie się czy małżeństwo, np. w postaci ulgi podatkowej za bezpieczną jazdę i brak punktów karnych, nagrody dla gminy z najwyższym procentem posegregowanych śmieci albo dotacji do rowerów

jakby nie wyznają akurat tej religii i czuje się w pewnym sensie dyskryminowana?”. W jaki sposób?

– Przeszkadza mi lekarz, który zasłania się religią i odmawia leczenia. Jeżeli mu zabrania czegoś religia, to nie powinien wykonywać tego zawodu. Albo np. w pandemii na granicy nie przepuszczali ratowników medycznych, a można było jechać do kościoła.

Nie powinno być paragrafu o obrażaniu uczuć religijnych. A jeśli już jest, to domagam się prawa, by można też było pozywać za naruszanie moich uczuć ateistycznych.

Co z wigiliami w Sejmie? Nie łamie się pani opłatkiem z posłami?

– Nie chodzę na te wigilie. Dlaczego jako niewierząca mam chodzić? Niech każdy wierzy, w co sobie chce, dopóki mnie do tego nie zmusza i nie każe żyć według jego zasad. Religie politeistyczne były dużo bardziej tolerancyjne. Ktoś przychodził i mówił: „A ja

wierzę w Jezusa”, to mu mówili: „Super, a my w Zeusa, Atenę i resztę”. W Kościele przeskadza mi ten ich obowiązek nawracania.

Marzec 2021 r.: „Wielkanoc to dobra okazja, żeby się wypisać z Kościoła”. Często mówi pani o apostazji i zachęca do niej innych.

– Bo przestałam żyć w hipokryzji. Mam koleżanki, które są za aborcją i chodzą na „czarne protesty”, a jednocześnie chrzczą dzieci czy posyłają je do pierwszej komunii. Nawet nie mam o to pretensji, ale nie ogarniam hipokryzji Kościoła, który daje chrzest dzieciom niepraktykujących rodziców.

Pani za to otwarcie mówi, że nie obchodzi świąt Bożego Narodzenia, a zamiast tego obchodzi przesilenie zimowe. Zapytana, w jaki sposób, odpowiedziała pani: „Cieszę się!”.

– (*śmiech*) Bardzo elokwentnie! Ale to prawda, bo to radosne święto. Jem fajne rzeczy. Spaceruję po lesie. Patrzę sobie na to słońce, które daje nam życie...

Na tego boga słońce...

– I myślę o tym, że od tej pory znowu dni będą dłuższe i wszystko idzie w dobrą stronę. Ale ja nikogo nie nawracam, nie uważam, że wszyscy muszą myśleć tak samo jak ja, choć akurat to, że słońce i woda są niezbędne do życia, a drzewa dają tlen, to fakty naukowe, a nie wiara.

Ale pan tak szuka kontrowersji, a wciąż nie spytał o akcję „Bób, hummus, włoszczyzna”...

Bo wiem, jak to by wyglądało. Ja powiem, że obraziło się wielu tych, dla których „Bóg, honor i ojczyzna” są ważne, a pani mi na to odpowie, że nikogo nie chciała urazić, że to zachęta do refleksji itd.

– (*śmiech*) Ma pan rację. Ale wciąż nie ogarniam, co w Polsce może wywołać tzw. skandal. Dlaczego słowa „bób, hummus, włoszczyzna”, które nawet nie są moje, tylko uczestniczka protestu i które były zachętą do większej walki o środowisko i są zabawną grą słów, mogły wywołać taki skandal. A nie wywołuje wielkiego skandalu to, że oszukali na respiratorach, że nie odpowiedzieli za „wybory kopertowe” albo za nieudaną elektrownię w Ostrołęce za 1,2 mld zł. Co komu zrobił złego bób albo hummus? A ile złego zrobili w historii ludzie działający w imię Boga czy ojczyzny? Dlaczego wielkiego skandalu nie wywołuje gwałcenie dzieci przez księży, papież Polak, który

i Macierewicz. Sama bym w życiu nie poruszyła tematu Smoleńska. Parówki smoleńskie gotował na podkomisji Macierewicz, a nie ja! Ja tylko pokazuję to, co robi PiS, w krzywym zwierciadle.

To inaczej: wyobraża pani sobie, że ktoś z kręgów PiS robi satyrę i filmiki wokół śmierci Adamowicza?

– Różnica polega na tym, że opozycja nie wykorzystuje śmierci Adamowicza do walki politycznej. Gdyby zginął prezydent miasta z PiS, to po chwili PiS by to grzał, że zabił go Tusk do spółki z Putinem.

Tylko czy te pani metody, formy są w ogóle politycznie skuteczne? Nie licząc zasięgów, rozpoznawalności i ilości hejtu.

– Satyra od zawsze służyła temu, by wywołać trochę refleksji.

A wyobraża sobie pani, że pani polityczni idole, Geremek czy Balcerowicz, używają takich narzędzi i form jak pani? Balcero-wicz rozrzuca pieniądze w Sejmie, a Geremek śpiewa piosenki na YouTube?

– A wie pan, że Leszek Balcerowicz często popiera moje wystąpienia i akcje, chwali i trzyma za mnie kciuki? Pisz publicznie: „Celnie”, „Gratuluję odwagi”. Różnica jest tylko taka, że ja zwykle długo i kwiecście, a on jednym słowem. Mamy te same wartości i nie wiemy, jak dzisiaj wyglądałaby polityka Geremka. Żyliśmy w innych rzeczywistościach. Wszyscy się zachłystywali wolnością i może wtedy takie metody nie były potrzebne.

Szybki quiz. Kto jest dla pani wzorcem w polskiej polityce, jeśli chodzi o narzędzia, formę, styl? A/ Janusz Palikot; B/ Sylwia Spurek; C/ Andrzej Lepper czy może D/ Krystyna Pawłowicz?

– Czulam, że pan uderzy w taki sposób. Z tej czwórki oczywiście wybrałabym Palikota. Bo najinteligentniejszy i miał ze swoją partią dużo fajnych pomysłów na zmianę Polski na lepsze, w 2011 r. głosowałam na nich.

Czy żeby wygrać z PiS, trzeba być jak PiS i stosować jego metody?

– Zło trzeba nazywać ostrym językiem, po imieniu. Takim, jak to robi Sikorski, jak robił Niesiołowski czy właśnie Palikot. Użycie mocniejszego słowa, porównania, ironii czy rekwizytu to nie jest przegięcie. Przegięciem jest to, co PiS robi z państwem. To nie ja „naruszyłam powagę Sejmu”, rozrzucając banknoty w Sejmie, tylko PiS, zaprzysięgając na kolejną kadencję Głapińskiego.

W ostatnim czasie tego hejtu na panią jest mniej?

– No tak, bo Tusk mnie odciążył! (*śmiech*) Od kiedy wrócił do Polski, to TVP i reszta zajmują się głównie nim, a trochę dali odsapnąć Trzaskowskiemu, Jachirze czy Nitrasowi.

Ale nadal ten internetowy hejt bywa naprawdę straszny. Znowu powiem o skali. Ja mówię, że PiS wprowadza złą ustawę. A oni piszą: „O, ty kurwo!”. Albo że mnie ogolą na lyso, bo wiedzą, gdzie mieszkam, albo: „Ona jest pierdolnięta, bezmózgowiec, tępa dzida, putinowskie dziewczę, pierdolnij się w leb”.

A pani nie usuwa tych wszystkich hejterskich komentarzy.

– Pokazuję w ten sposób, jak wygląda internet bez moderacji. Jak pełen jest ścieków i czystej nienawiści. I wie pan, co jeszcze robię? Jak już mam totalnie dość, to wrzucam publicznie imiona i nazwiska największych hejterów, wrzucam zdjęcia ich dzieci albo żony... Kilka razy taka żona do mnie pisała: „Strasznie panią przepraszam za męża, ale czy mogłaby pani usunąć moje zdjęcie?”. No sorry, ale takiego męża pani sobie wybrała.

A czy pani nienawidzi PiS?

– Nienawidzę tego, że połowie Polski odbiera prawo do bycia Polakami. ● **Rozmawiał Grzegorz Wysocki**

OPORNIK W KOŚCIELE

Księża mówią, że zmiany w Kościele przychodzą przez pokutę i modlitwę. Ale potrzebne są konkrety

Z PAWŁEM GUŻYŃSKIM,
DOMINIKANINEM, ROZMAWIA
JOANNA ŻARNOCH-CHUDZIŃSKA

Wciąż ojciec wierzy, że Kościół się nawróci?

– Tak, bo znam jego historię, a mówię tak pomimo ciężkich przeżyć, dla wielu gorszących, które bołą także mnie.

Zakon dominikański powstawał w początkach XII w., gdy w Europie wszystkim się wydawało, że Kościół musi się rozsypać. Choć nam trudno to sobie wyobrazić, degrengolada była jeszcze większa niż dziś.

A jak to widać z perspektywy Holandii?

– Niedawno w muzeum diecezjalnym w Utrechcie oglądałem wystawę stawiającą pytanie, czy Bóg wyprowadził się z Holandii. Opowiada o fermencie, jaki powstał po Soborze Watykańskim II i rewolucji 1968 r., kiedy pękła uporządkowana struktura konserwatywnego społeczeństwa holenderskiego. Było tam zdjęcie z festiwalu Woodstock w Kralingen, na którym widać hipisa ubranego w przedśoborowy ornat. Bo wtedy masowo wyrzucano szaty liturgiczne na śmietnik albo za bezcen sprzedawano je na bazarach. To pokazuje, z jaką zmianą mieliśmy do czynienia w Niderlandach.

Ale też holenderscy katolicy radykalnie odrzucili skostniałą strukturę Kościoła, hieratyczną instytucjonalność i chcieli ją zastąpić spontanicznymi formami działania wspólnoty – w dużej mierze świeckich. To okazało się utopią, ale pewne rzeczy należy uznać za udane, np. udział świeckich w zarządzaniu codziennym życiem Kościoła.

Dzisiaj w Polsce także wielu kwestionuje instytucjonalną stronę Kościoła jako z gruntu złą, bo wiecznie skorumpowaną. Ale nie tędy droga do sensownej reformy. Odrzucenie instytucjonalności jako takiej oznacza w praktyce wprowadzenie do Kościoła anarchii. Ten problem dotyczy zresztą każdej ludzkiej społeczności. Człowiek w życiu społecznym nie obejdzie się bez instytucji. Mądrość polega na ich właściwym kształtowaniu i kontrolowaniu, a nie na negacji. Instytucje stale muszą mieć co najwyżej rangę in statu nascendi (w trakcie powstawania). Zabetonowane stają się zmorą ludzkości.

Buntownik – mówiono o ojcu. I że ten wyjazd do Holandii jest po to, by ojca utemperować. Udało się?

– Nie o to chodziło. Prowincja holenderska poprosiła prowincję polską o obsadzenie funkcji magistra, który pracowałby z ich studentami. Polski prowincjał wskazał mnie, ale miałem całkowitą wolność decyzji.

Jednak – przyznaję – wpłynął na nią fakt, że miałem szczerze dosyć tego, co wokół mnie dzieje się w Polsce, tego ciągania, karaniania i piętnowania za rozmaite wypowiedzi. Pomyślałem, że to nowe doświadczenie i wyzwanie. Po blisko trzech latach widzę, że wielu spośród tych, którzy mnie krytykowali, teraz mówi tym samym głosem, np. Tomasz Terlikowski, nazywający mnie podówczas łomiarzem i kościelnym bandytą.

Wnioski z synodu, który na polecenie papieża odbył się we wszystkich katolickich diecezjach, to krytyka duchownych ze strony wiernych. Wytknęli abp. Markowi Jędraszewskiemu upolitycznienie, homofobię. Ojciec mówił o tym przed laty.

– Trudno o satysfakcję. Mam dużą dozę zrozumienia dla decyzji, które wobec mnie wtedy podejmowano, a ja nie mogłem spodziewać się czegoś innego. Tylko że to nikogo nie usprawiedliwia.

Nikt z księży wciąż nie potępia wybraków abp. Jędraszewskiego, a on sam nie zamierza za nie przeproszać.

– We wszystkich społecznościach zdarzają się przypadki osób dożgonnie opornych na pozytywną zmianę, do których moim zdaniem należy ten arcybiskup. Ale mamy wśród duchownych tych, którzy wiedzą, że muszą rozmawiać z wiernymi, choć tego wewnętrznie nie akceptują, i takich, którzy są już do tego przekonani.

Najważniejsze, że zapowiadając synod, papież Franciszek oddał głos wiernym. Z jednej strony serce rośnie, a z drugiej myślę sobie: Jezus Maria, przecież to podstawowa sprawa!

Uczestnicy synodu zarzucają księżom traktowanie ludzi z wyższością. Ale też przyznają, że dzieje się to za przyzwoleniem świeckich. Wierni wstają z kolan?

– Robią to dopiero teraz, co oznacza, że my, księża, zdławiiliśmy ducha Ewangelii. To jest nasz wielki grzech, że relacje z wiernymi przez ostatnie stulecia nie funkcjonowały w sposób właściwy. Wierni muszą odzyskać – i utrzymać – podmiotowość w Kościele.

„Biskupi (ale też księża) nie znają codzienności i realnych problemów ludzi” – to kolejny z posynodalnych wniosków.

– Rozmawiamy o tym podczas spotkań Kongresu Katoliczek i Katolików. Niedawno, gdy podczas jednego z nich padały pesymistyczne stwierdzenia, rzuciłem: „Co prawda nie jestem z was najstarszy, ale jestem z tych, którzy dolożyli cegielkę do rozmontowania ustroju, w którym nasz kraj tkwił przez 50 lat. Wtedy się nam nie śniło, że z PRL-owską władzą można rozmawiać i coś od niej uzyskać. Daliśmy radę! I z tym się też uporamy. Tylko żeby ta nasza łódka z podwójną ósemką wioślarzy i sternikiem szła do przodu, nie możemy się zatrzymać. Trzeba ostro wiosłować, żeby zmienić Kościół”.

Ale potrzebny jest porządny sternik.

– Bywało już tak, że sternikami nie potrafili być biskupi, a nawet papież. Ale pojawiali się inni. Dominikańska święta Katarzyna ze Sieny, niepiśmienna, dyktowała listy do papieża, by wracał do Rzymu z Awinionu. I swoje zrobiała.

Od jednego z księży usłyszałem, że zmiany w Kościele przychodzą przez pokutę i modlitwę. To jedno z tych haseł, którymi księża próbują wszystko upupić! A tutaj potrzebne są konkrety, ciężka praca, nieuciekanie w wymówki lub przerost pobożności nad kompetencjami.

Co najpierw należy zmienić?

– Na forum „Obecni w Kościele”, które odbędzie się w ramach Kongresu, szykujemy kilka pomysłów. Podam pierwszy postulat – realna, demokratycznie wybierana rada w każdej parafii, która ma wpływ na podejmowanie decyzji. Do tworzenia ich zobowiązemy hierarchię, po czym zaczniemy sprawdzać w każdej diecezji, czy to działa.

Uczestnicy synodu poszli dalej, proponując kadencyjność proboszczów i po każdej z nich ocenę księdza przez parafian: jeśli jest pozytywna – pozostawić, mało zadowolająca – określić plan naprawczy, zła – odwołać.

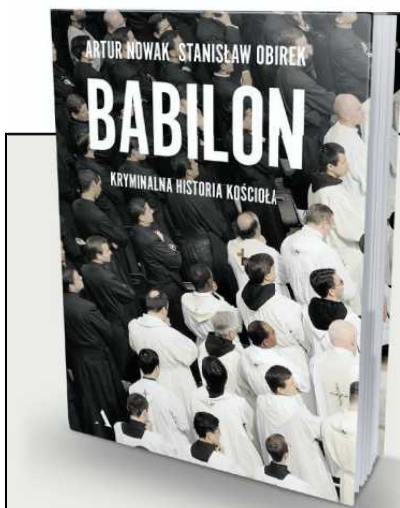
– To dobry postulat. Ksiądz ma swoje umocowanie – poprzez święcenia – w namaszczeniu od Boga, ale to nie oznacza, że jest niekrytykowny. Każdy z nas, jeśli pełni



O. Paweł Gużyński

• W przeszłości technik budowy dróg i mostów, piłkarz Elany Toruń, działacz antypeerelowskiego Ruchu Wolność i Pokój. Od 30 lat w zakonie dominikańskim, mieszka i pracuje w Holandii, teraz jako duszpasterz akademicki

FOT. PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



„Babilon. Kryminalna historia Kościoła”

To historia Kościoła katolickiego żywiącego się poczuciem winy wiernych, załęknionego wizją, w której – na równi z kapłanami – to oni decydowałiby o jego kształcie.

Opierając się na faktach, autorzy pokazują mafiijną naturę instytucji, która uparcie chce stać na straży jedynej słusznej recepty na życie. Wbrew pozorom to nie jest książka antykościelna ani antyreli-gijna.

„Babilon. Kryminalna historia Kościoła” Stanisława Obirka i Artura Nowaka już w księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl

jakaś funkcję społeczną, powinien podlegać ewaluacji i kontroli. Ich brak jest źródłem wielu problemów Kościoła. Przykładem może tu być np. prasa katolicka, która nie odgrywa takiej roli wobec Kościoła, jaką odgrywają media publiczne wobec rządu i instytucji państwowych. Pamiętam konferencję zorganizowaną przez episkopat na temat reagowania na sytuacje kryzysowe. „Jakie prawo mają te Polsaty i TVN-y, by nas moralnie oceniać?” – pytał kanclerz pewnej kurii. Odpowiedziałem mu: „Jeżeli żadne z mediów katolickich nie może nic sprawdzić, o niczym donieść, niczemu zapobiec, to co się ksiądz dziwi, że robią to inne media?”.

A drugi postulat?

– To może być kwestia relacji państwo – Kościół. Kluczowym problemem jest tutaj przepaść pomiędzy stanem prawnym, który w 90 proc. jest bardzo dobry, a stanem rzeczywistym. Trzeba więc zmienić obyczaj polityczny, zestarzałą mentalność duchowieństwa oraz wzmocnić świadomość obywatelską i kulturę prawną społeczeństwa.

Jeśli to zrobimy, niedopuszczalną moralnie, społecznie i politycznie rzeczą będzie zaproszenie abp. Głódzia na uroczystość państwową, jak to było w przypadku otwarcia przekopu Mierzei Wiślanej. Bo obyczaj polityczny jest taki, że lepiej robić deale pod stołem, niż szanować literę prawa, która mówi o rozdziale Kościoła od państwa. W ciągu ostatnich 35 lat wszystkie rządy od prawa do lewa przyjmowały taką taktykę.

Przeglądałam program konferencji, którą organizuje wasz Kongres. Wśród prelegentów zauważyłam tylko jednego duchownego – to ks. Mirosław Tykfer, którego w ubiegłym roku abp Gądecki odwołał z funkcji redaktora naczelnego „Przewodnika Katolickiego”. Wydawało mi się, że po tym, jak wierni ocenili księży podczas synodu, na takim spotkaniu będą ich tłumy.

– Będzie z nami ks. Arkadiusz Lechowski z Łodzi, ks. Kazimierz Sowa, dominikanie Maciej Biskup i Wojciech Jędrzejewski...

Metropolita łódzki abp Grzegorz Ryś?

– Jest zaproszony, ale do tej pory nie odpowiedział. Nasi biskupi, mówię to z wyrzutem, ignorują nas. A ja wciąż podkreślam: nie trzeba się nas bać, my nie chcemy demolować Kościoła, nie grzebiemy w dogmatyce. Jesteśmy oburzeni na sposób sprawowania władzy w Kościele, dlatego mówimy o krytycznej lojalności. ●

Kongres Katoliczek i Katolików forum „Obecni w Kościele”

22 i 23 października w Centrum Dialogu im. Marka Edelmanna w Łodzi odbędzie się forum „Obecni w Kościele”. Organizuje je Kongres Katoliczek i Katolików, który skupia kilkaset osób chcących reformować Kościół w Polsce. Na Kongresie działają grupy tematyczne dotyczące np. władzy w Kościele, stosunków państwo – Kościół, edukacji kościelnej, roli kobiet w Kościele. Kongres przygotował dziewięć raportów odnoszących się m.in. do funkcjonowania parafii, stosunku Kościoła do osób LGBT czy stanowiska Kościoła w sprawie przemocy wobec kobiet.

Do poprawy kodeks marny

Trzeba zasypać lukę w dostępie do prawa, by ludzie wiedzieli, że sądy są dla nich

Adam Bodnar



Wielu oczekuje, że po wyborach wygranych przez opozycję będzie możliwy powrót na ścieżkę praworządności. Dyskutuje się na temat przyszłości Trybunału Konstytucyjnego, ustroju sądów powszechnych, składu Krajowej Rady Sądowictwa czy statusu neosędziów. Rozważane są opcje czasu przejściowego – roli niezależnej prokuratury, Trybunału Stanu, powołania Komisji Sprawiedliwości i Prawdy (pomysł Lewicy) czy 100 dni rozliczeń (pomysł Donalda Tuska).

To dobry kierunek myślenia, bo trudno sobie wyobrazić dalszy rozwój Polski z pogłębiającą się degrengoladą systemu prawnego oraz brakiem odpowiedzialności władzy, która dokonała nadużyć, ale równie ważne jest przeprowadzenie zmian dotyczących funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości i jakości jego funkcjonowania.

Prof. Jan Winczorek w wywiadzie dla OKO.press sformułował pogląd, że Polacy nie uczestniczyli konsekwentnie w protestach w obronie wymiaru sprawiedliwości, bo mamy ogromną

lukę w dostępie do prawa: „Jeżeli nasze prawo i instytucje prawne są niefunkcjonalne, jeżeli nie udaje się w określonym czasie lub w określonych kosztach jakiegoś problemu prawnego rozwiązać, to po co się tym prawem właściwie ekscytować?”.

To jest równie poważne wyzwanie czasu przejściowego – jakie podjąć działania, aby właśnie lukę w dostępie do prawa zasypać, a jednocześnie uzyskać akceptację społeczną dla przeprowadzanych reform. Jak przekonać obywatela, że te zmiany służą właśnie jemu i mają polepszyć jego sytuację prawną oraz zwiększyć szacunek do prawa?

Zastanówmy się nad sytuacją pracownika, który został oszukany przez pracodawcę, a kwota roszczenia wynosi 1,5 tys. zł. Czy taka osoba pójdzie do sądu? Chyba tylko w poczuciu desperacji. Albo pomyślimy o osobie dochodzącej odszkodowania za śmierć bliskiego w wyniku pandemicznych zaniechań. Czy zdecyduje się na wieloletnie postępowania, zainwestuje w koszty sądowe i wynagrodzenia dla prawników? Zrobi to tylko wtedy, kiedy będzie ją na to stać.

O to właśnie chodzi – droga sądowa nie może być traktowana jak fanaberia, kaprys czy walka o honor, tylko jak zwyczajny mechanizm dochodzenia tego, co nam się należy. Niestety, ci słabsi, mniej zamożni czy gorzej ustosunkowani na luksus wymiaru sprawiedliwości często nie mogą sobie pozwolić. Co więcej, nawet te osoby, które na sądy się zdecydowały, czekają wiele lat na prawomocny wyrok. Przykładowo po

ponad pięciu latach od obniżenia emerytur przez ustawę represyjną z 16 grudnia 2016 r. do tej pory sprawy prawomocnie wygrało ok. 20 proc. skarżących.

W debacie na temat poprawy tej efektywności powtarza się jak mantrę, że należy dążyć do informatyzacji sądów oraz do zmniejszenia obciążenia sądów sprawami, które mogłyby być załatwiane polubownie czy przed notariuszem. Już sam proces reformy w tym zakresie jest trudny. Konieczne są jednak dalsze zmiany legislacyjne, które będą poprawiały sprawność postępowania. Dla przykładu pomimo licznych postulatów ekspertów od lat nie została w Polsce uchwalona ustawa o biegłych sądowych. A brak biegłych, czasami ich nierzetelność to jedna z większych barier w przyspieszeniu postępowania są-

Czy pracownik oszukany przez pracodawcę na 1,5 tys. zł pójdzie do sądu? Tylko w akcie desperacji

dowych. Trzeba dokonać reformy postępowania grupowych, aby osoby poszkodowane przez korporacje mogły skutecznie i szybko dochodzić swoich praw, nawet jeśli są to niewielkie kwoty. W sprawach rodzinnych trzeba rozważyć, jak uprościć niektóre postępowania, a także jak wzmocnić tych najbardziej poszkodowanych, czyli dzieci. Trzeba się zastanowić nad kosztami sądowymi, racjonalnymi stawkami urzędowymi dla adwokatów i radców prawnych oraz systemem zwolnień dla mniej zamożnych. Warto wreszcie dokonać przeglądu wszystkich głównych kodeksów,

które przez lata były poprawiane (a może raczej psute i latane) przez kadry Ministerstwa Sprawiedliwości, a nie najlepszych prawników w kraju. Już teraz warto zastanowić się nad stworzeniem komisji kodyfikacyjnych prawa cywilnego, prawa karnego, prawa rodzinnego czy prawa pracy, działających na zasadzie „gabinetu cieni”.

Ale nawet najlepsze zmiany legislacyjne nie wystarczą. Fundamentem musi być wzmocnienie kadr wymiaru sprawiedliwości. W sądach brakuje setek sędziów, a proces weryfikacji neosędziów może stworzyć dalsze braki kadrowe. W sądownictwie potrzebni będą nowi, niezależni sędziowie. Ponadto trzeba zrezygnować z systemu delegacji sędziów do Ministerstwa Sprawiedliwości. Nie dość, że tworzy to niejasne re-

mować tak ważnymi sprawami i nie mieć nawet do pomocy jednego asystenta! Dlatego każdy sędzia powinien mieć pełne wsparcie w profesjonalnych kadrach, składających się z urzędników sądowych, asystentów, protokolantów i referendarzy, tak aby mógł się skupić na czynnościach orzeczniczych. Asystentów jest obecnie ok. 4 tys., a powinno być co najmniej dwa razy więcej. Ponadto są oni w ciągłej rotacji, bo cały czas nie stworzyliśmy dla nich docelowego modelu zawodowego.

Konieczne jest także odpowiedzialne podejście do ławników sądowych. Orzekanie w sądzie to powinien być największy zaszczyt. Tymczasem w Polsce niektórzy politycy chcą budować sądy pokoju, a nie zastanawiają się, jak wzmocnić instytucję prawną, która ma swoje tradycje i doświadczenia. O tym, że funkcja ławnika może się wiązać z godnością obywatelską, świadczy niedawna akcja Komitetu Obrony Demokracji. Senat RP wybrał niedawno 30 ławników do Sądu Najwyższego, z czego większość to byli kandydaci zgłoszeni przez KOD.

W wymiarze sprawiedliwości musi się dokonać transformacja 2.0, bo pierwszy etap transformacji, w latach 1989-2015, nie był udany. Ale nie stanie się to ani w 100 dni, ani w rok, tylko raczej w kilka lat. Nie obiecujmy obywatelom gruszek na wierzbie. Jeśli mamy zdobyć ich zaufanie, jeśli mamy doprowadzić do rzeczywistej równości obywateli wobec prawa, to czeka nas ciężka, wytrwała i cierpliwa praca.

Adam Bodnar – dr hab., prof. Uniwersytetu SWPS, rzecznik praw obywatelskich VII kadencji

• KRÓL DYNAMITU,
O KTÓREGO BOGACTWIE
KRAŻYŁY LEGENDY

• ZBIŁ FORTUNĘ
NA WOJNIE, ALE
PRAGNAŁ POKOJU
NA ŚWIECIE

• NAPISAŁ WIĘCEJ
WIERSZY NIŻ DZIEŁ
NAUKOWYCH

• MARZYŁ O LITERACKIEJ
SŁAWIE, ALE NIGDY
NIE ODWAŻYŁ SIĘ
WYDAĆ KSIĄŻKI

WP
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

Joanna Klimowicz

Gosia z Martą chodziły tam, gdzie nikt inny nie chciał. Tam, gdzie zamknięta przygraniczna strefa naszpikowana była checkpointami i mundurowymi różnej maści. Szły na przelaj, lasem, omijały patrole. Od 1 lipca, od otwarcia strefy, dojeżdżały do dawnego majątku rodziny Marty. Dziadek po wojnie z oflagu już tu nie wrócił, resztę wyrzucono stąd w '57, ona po latach wróciła z Wybrzeża w te okolice.

– Widzisz tamte zadrzewienia? – wskazuje Marta. Stoimy w błocie po kostki, przed tablicą z zakazem wstępu. Po lewej stronie 5,5-metrowy płot, po prawej Świsłocz. – Rzeka jest tam płytka, można ją przejść. Piękne miejsce, jak na pikniki impresjonistyczne: przyjechać z koszami, jeść ciasto i popijać wino. Ale teraz nawet nie podejdziesz i czasem trup jest w wodzie.

Tędy uchodźcy przechodzą najczęściej (zaraz po bagnistym odcinku Puszczy Białowieskiej, gdzie też nie ma płotu). To tutaj 29 lipca wyłowiono zwłoki pana Mahmouda z Egiptu. Która to ofiara granicy? Według oficjalnych statystyk – siedemnasta.

Niedawno Straż Graniczna podała, że 1 października funkcjonariusze zauważyli leżącą po białoruskiej stronie osobę. Po kilkunastu godzinach monitów przyjechały służby i telewizje. Migranci mieli potwierdzić informacje o śmierci czarnoskórego mężczyzny. Byłby osiemnastą ofiarą. Jednak prawdziwej liczby nikt nie zna. Według Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka zaginionych na granicy jest około 200 osób.

Małgorzata Orzechowska współpracowała w Kaliszu z rodzinną firmą, a do letniego domu pod granicą przyjeżdża, kiedy może: – Miało być sielsko i fajnie...

– Powinno być... Ale Wschód zawsze rzuca ludzi w jakieś sytuacje skrajne – wtrąca Marta Kurzyniec. Od 10 lat prowadzi w Krynkach antykwariat tuż przy „paryskim” rondzie, od którego odbiega promieniście 12 ulic. – Gapa jestem, dosyć długo nie widziałam, że przez moje miasto przechodzą ludzie – wspomina sierpień ubiegłego roku. – Dopiero jak o 6 rano wyszłam z pieskiem do sklepu po chleb, a grupa młodych chłopaków stała na rynku, obstawiona ludźmi z bronią. Wychodzisz w szlafroku przed własny dom, a tam niebieskie światła i kogoś ciągną po trotuarze, będą wywalać na Białoruś. Jak można jeść, spać, kąpać się? Krynki są miejscem do dzisiaj okaleczonym przez II wojnę – przecież myśmili stracili trzy czwarte populacji. I co, teraz znowu to samo? Trzeba było iść do tego lasu, bo wszystko smakowało jak tektura.

Od ponad roku mieszkańcy przygranicznych terenów albo organizują się w patrole, albo w struktury, takie jak Grupa Granica, albo sami chodzą z plecakami do lasu. Taszczą wodę, jedzenie, lekarstwa, ubrania i śpiwory. Wiosną i latem kryzys nieco przycichł. Teraz znowu wezwali przybywa.

Niedawno, razem z Fundacją „Wolno Nam”, miejscowi i zaprzyjaźnieni przyjeźdźni powołali Podlaskie Ochotnicze Pogotowie Humanitarne. Ustalają dyżury w gotowości na pinezkę – lokalizację wysłaną przez ludzi wzywających pomocy oraz dwuosobowe patrole przeczesujące lasy. Gosia z Martą chodzą razem.

Mają do dyspozycji magazyn, w nim równiutko poukładane: zawekowane zupy od „Zupy na granicę”, środki opatrunkowe,

namioty, buty. Trochę jedzenia i woreczki strunowe dostali od PCK. Czajnik i mikrofalówkę – od Fundacji „Wolno Nam”. Najwięcej rzeczy przysłały osoby prywatne.

– Brakuje jeszcze ciepłej męskiej odzieży w dużych rozmiarach, glukometrów i termometru, który pomaga szybko stwierdzić, czy ktoś jest w hipotermii, noszy – wylicza Kasia dbająca o magazyn. Wyspecjalizowała się w sprzątaniu koczowisk i odzyskiwaniu porządných, ale przemoczonych ubrań, które w pośpiechu porzucają uchodźcy, pushbackowani czasem po kilkanaście razy. Pierze je, suszy, segreguje.

– zwiesza głowę Gosia. – Przez ten płot będzie mniej przejść, ale więcej trupów. Bo już nie ma bezpiecznych przejść – można tylko przez rzekę albo przez ogrodzenie.

W pustawej Gospodzie pod Modrzewiem w Krynkach młodzi ludzie grają w bilard. Jeden wita kolegę: – Ty, a nietoperza z Podlasia widziałeś?

Rechoczą.

Chodzi o zdjęcie z takim opisem, które dzień wcześniej opublikował jeden z fascyzujących podlaskich portalików. Więcej

Syryjczyk: – Nie możemy stąd zawrócić. Nie wiemy, co robić.

Strażnik rozmawia przez krótkofalówkę. Po chwili odpowiada: – Wracajcie do domu.

– Nie możemy, Białorusini nas biją. – To wasz problem. Dlaczego przyjechałście na Białoruś?

– Bo w naszym kraju jest wojna.

– Nie, wy chcecie pieniędzy od Niemiec, tak?

– Nie chcemy pieniędzy, tylko chcemy mieć normalne życie, jak ty i inni ludzie.

W Syrii życia nie ma.

– Macie polską wizę?

– Polska nie da mi wizy, bo jestem z Syrii.

Mur zbudowany, a przez granicę przenika nawet 116 uchodźców dziennie.

OFICJALNIE

MNIEJ LUDZI,



FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL (6)



Kilka dni temu POPH dostaje pinezkę z okolicy Łapiczy. Zgłoszono cztery osoby, wolontariusze zastają kilkanaście. Z ranami po pogryzieniach przez psy, w poszarpanych ubraniach, jeden chłopak ze złamaną ręką. W okolicy krąży helikopter. Wolontariusze nie mogą wezwać karetki, bo skończy się kolejną wywózką. Skradając się, wracają kilka razy. Kiedy inni opatrują rany, Marta patroluje szlak, by sprawdzić, czy ktoś nie odpadł. Bo jeśli stracił telefon, nie wezwie pomocy.

Ponad tydzień temu na numer POPH dzwoni brat młodego Jemeńczyka: – Wszyscy z grupy się odnaleźli, a z nim nie ma kontaktu! Wysła pinezkę – brat był w rejonie Gobiata. Wieś objęta zakazem przebywania, dookoła pola, ludzi widać jak na dłoni. Natychmiast przyjeżdża patrol na quadzie i wojskowa ciężarówka.

– Proszę policjantów o wspólny patrol albo o zgodę, żeby wpuścili mnie na ten 200-metrowy pas, sama poszukam. Nie ma mowy, mają to w dupie – relacjonuje Gosia.

Ludzie z POPH chcą złożyć na policji zawiadomienie o zaginięciu. Ale przez telefoniani w rozmowie z patrolami nie da się. Jadą na komisariat w Gródku – zamknięty, jadą do Zabłudowa. I tam funkcjonariusze piętrzą trudności – twierdzą, że muszą mieć imię ojca zaginionego, bo inaczej „program nie przyjmie”.

– Może Jemeńczyk jest na Białorusi, ale wtedy jakoś by się z rodziną skontaktował

światła rzuca film, który zdobył Piotr Czaban – do niedawna reporter TVN 24, teraz dziennikarz obywatelski prowadzący na YouTube kanał „Czaban robi raban”. Noc z 5 na 6 października, okolice Białowieży. Na płocie wisi głową w dół mężczyzna, zaplątany nogą w concertinę. Co najmniej trzech żołnierzy oświetla go latarkami i heheszkują:

– Wait!

– Jeb...nie.

Człowiek w końcu spada, prosto im pod nogi, leży z rozrzuconymi rękami.

– No i się k...wa udało.

– Zaj...bisty jest.

Film do sieci musieli wrzucić sami mundurowi. MON zapewnia, że chcieli pomóc. POPH i Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych składają do prokuratury wiele zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa – w tym nieudzielenia pomocy i nawoływania do nienawiści. Straż Graniczna przyznaje, że migrant został od razu „cofnięty do Białorusi”.

W tzw. pasie śmierci między polską zaporą a białoruską sistiemą Białorusini zgromadzili około 800 osób, w tym kobiety i dzieci. Nie mają wody, jedzenia, schronienia. Syryjczycy, którzy są w kontakcie z Mariuszem Kurnytą znanym jako Człowiek Lasu, wysłali mu film. Nagrali, jak potraktował ich polski strażnik, gdy poszli pod płot prosić o wodę. Rozmawiają po angielsku.

– W Polsce jesteś nielegalny, rozumiesz? Wracaj do domu.

– Nie mogę, potrzebuję wody, ledwo chodzę. Nie? Nawet wody?

– Zawracaj – ucina strażnik.

Polski MSZ odradza podróże na Białoruś, wysoka komisarz narodów zjednoczonych ds. praw człowieka stwierdza, że nasz sąsiad nie jest bezpiecznym krajem, polskie sądy uznają pushbacki za bezprawne. A Straż Graniczna nadal je stosuje. Także wobec kobiet, dzieci, osób po hospitalizacji.

1 października Mariusz Kurnyta odbiera prośby o pomoc medyczną od bliskich Syryjczyka, który po przejściu przez płot doznał urazu nogi, może być złamana. Jest w rejonie działania placówki SG w Czeremsze. Mariusz jest w drodze po odbiór Nagrody im. Abduldadira Gabeire Farah za działania na rzecz migrantów, zasięg mu się rwie, prosi mnie o pomoc, ale koordynuje akcję.

Z selfie z rezygnacją spogląda mężczyzna w pasiastą welnianą czapkę, z dowodu wynika, że ma 47 lat, a na imię Muhannad. Lokalizację przekazują zespołowi ratownictwa medycznego, koordynator natychmiast wysyła ekipę z karetką, znajdują Syryjczyka i zabierają na SOR w Hajnówce.

Noga jest tylko zwichnięta, wraca groźba pushbacku. Pełnomocniczka Syryjczy-

ka, działaczka stowarzyszenia Egala i Grupy Granica, walczy, by mógł złożyć wniosek o azyl. Po paru godzinach mężczyzna jest po białoruskiej stronie. Rodzina przekazuje, że nie umożliwiono mu kontaktu z tłumaczem.

Pełnomocniczka: – W szpitalu był w przemoczonych ubraniach. Czy zdołał założyć obuwie na opatrzoną stopę? Nie wiem, czy funkcjonariusze przekazali środki przeciwbólowe. Czy dostał posiłek i wodę. Wiem, że nie jadł i nie pił od kilku dni.

Po paru dniach Straż Graniczna oznajmia w tweecie, że Syryjczyk „zadeklaro-
wał, a następnie potwierdził pisemnie, że nie chce ochrony międzynarodowej w Polsce”. Piętnuje aktywistów: „Przekazując cudzoziemcom po stronie białoruskiej swoje numery telefonów, w pewien sposób zachęcają ich do nielegalnego przekraczania granicy”.

kobietom i jednemu dziecku). Aż 49 osób informowało o przemocy ze strony polskich służb. 26 – o przemocy doświadczanej na Białorusi.

– W większości przypadków osoby spotykane w lesie są wycieńczone, wygłodzone. Prawie każda interwencja jest związana z opatrywaniem ran, otarć czy zwichnięć. Coraz więcej osób cierpi w wyniku obrażeń po upadku z muru, w tym głębokich i zakazanych ran – informuje Grupa Granica. – W związku z polityką wywózkową Straży Granicznej nie do wszystkich udało się dotrzeć z pomocą. Między 2 a 29 września udokumentowano 63 wywózki, w tym 18 kobiet.

W październiku ruch przy granicy jeszcze się wzmógł.

– Ostatnio zgłasza się do nas sto kilkadziesiąt do dwustu osób tygodniowo – mówi mi Aleksandra Gulińska z Grupy Granica. – W różnym stanie fizycznym, często ze śladami pobicia czy pogryzień przez psy funkcjonariuszy białoruskich, z ranami od drutu żyłkowego. To ludzie przede wszystkim z Syrii, Jemenu i Konga. Ale także z Erytrei, Etiopii, w tym z pacyfikowanego Tigraju, Nigerii, Mali, Kuby, Egiptu.

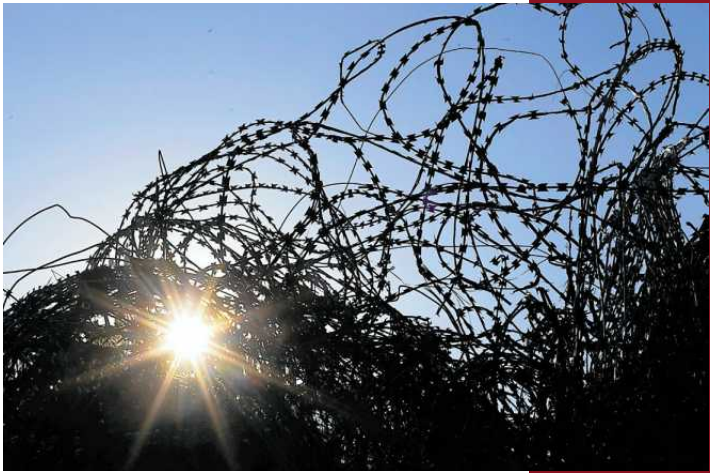
Irakijczyków i irackich Kurdów już prawie nie ma. Z Bagdadu lotów bezpośrednich się nie znajduje, a i przez Turcję jest o wiele trudniej.

– Turcja wprowadziła dla Irakijczyków wizy, długo się na nie czeka i nie każdy je dostaje – mówi mi dr Arsalan Azzadin, wicedyrektor szpitala w Bielsku Podlaskim, Kurd. Odegrał niebagatelną rolę w ograniczeniu „wycieczek” do Miń-

Beata Siemaszko z Grupy Granica podsumowuje w mediach społecznościowych wzrost przejść i zatrzymań: – Wiercie mi, że jeszcze większej liczbie udało się uniknąć zatrzymania. Bo przecież zbudowano płot za miliardy złotych. Premier z Kamińskim i Wąsikiem odrąbili sukces i... zaczęto zbroić i wcielać nowych, dużo nowych. Dlaczego, jak myślicie? Dlatego, że płot działa? Nie działa. Komunikaty SG mówią o zatrzymanych po polskiej stronie, także w miejscach, gdzie sztachety miały uniemożliwić przejścia. Jednym słowem, SG informuje, jak nie działa płot zbudowany za miliardy.

Koszt zapory to 1,565 mld zł. SG kilka tygodni temu informowała, że do listopada potrwa budowa bariery elektronicznej. Już

WIĘCEJ TRUPÓW



I dodaje, że „aktywiści zadzwonili na nr alarmowy z informacją, że są przy rannym cudzoziemcu przy granicy. Strażnicy graniczni znaleźli tego mężczyznę. Nie było przy nim nikogo”.

To ja dzwoniłam. Z informacją, że Syryjczyk jest przy granicy sam, nikogo przy nim nie ma.

Z tweetów SG wynika, że codziennie granicę próbuje przekroczyć lub przekracza około 100 osób. 5 października – 116, 6 października – 118, 7 października – 107, 8 października – 92 (w tym 25 obywateli Egiptu, którzy przekroczyli Świsłocz), 9 października – 108, 10 października – 53 osoby (15 przez Świsłocz, w tym ośmiu Syryjczyków na pontonie).

To część prawdy. Wciąż dużej liczbie udało się sforsować mur za pomocą podkopów albo związanych z drągów i gałęzi drabin, a sprawne osoby po prostu się wspinają. Przechodzą dalej niezauważone, docierają do czekających aut przemytników, jadą na zachód.

Tego samego dnia, gdy usiłowaliśmy uratować Muhammada, Stanisław Żaryn, zastępca ministra koordynatora służb specjalnych, napisał na Twitterze: „Polska skończyła budowę bariery ochronnej na granicy z Białorusią. Polska granica jest dziś najlepiej chroniona w Europie”.

Skąd w takim razie w podlaskich lasach cierpiący cudzoziemcy? Grupa Granica podaje, że między 2 a 29 września mieszkańcy strefy oraz osoby niosące pomoc odebrały prośby od 249 osób (w tym 49 kobiet i dziewięciorga dzieci). Udało się dotrzeć do 163. Specjalistyczna pomoc medyczna została udzielona 10 osobom (w tym czterem

Sukcesy służb na granicy

200

• mniej więcej tyle osób już zaginęło na granicy polsko-białoruskiej

800

• już tyle osób, w tym kobiety i dzieci, zgromadzili Białorusini w tzw. pasie śmierci między polskim murem a białoruską системою

25

• Egipcjan tylko jednego dnia dostało się do Polski przez rzekę Świsłocz

63

• osoby, w tym 18 kobiet, wypchnęła na Białoruś Straż Graniczna tylko we wrześniu

ska z Bliskiego Wschodu, wypowiadając się w kurdyjskich mediach, ostrzegając, opowiadając o dramatycznych przypadkach ze swego szpitala, apelując do ludzi, by nie ryzykowali życia, a do władz – aby nie stawiali się współnikiem w tym procederze.

– Teraz dominującą drogą są loty z krajów afrykańskich do Mińska i Moskwy. Ludzie próbują się też dostać przez kraje byłego ZSRR, Kazachstan czy Kirgistan – dodaje doktor. – A ostatnio słyszałem, że usiłują też przez Słowację i Czechy.

Aleksandra Gulińska: – Nadal przylatują do Mińska, ale zdarza się, że wędrują przez Moskwę. To zarówno ludzie, którzy niedawno przylecieli, zwabieni rzekomo łatwością przekroczenia granicy białorusko-polskiej, jak i tacy, którzy mieszkali w Rosji jakiś czas. Mamy studentów z rosyjskich uczelni i mężczyzn, którzy żyli w Rosji kilka lat, założyli rodziny i teraz dostali powołanie do wojska. A jeśli chodzi o tych, którzy dopiero przylecieli, to są ludzie, którzy wiedzą, że o ochronę międzynarodową można starać się dopiero na granicy danego państwa i że wizy do krajów UE obywatel Egiptu czy Somalii nie dostanie, niezależnie, jak by dokumentował, że ma do czego wracać. Zatem szansą jest płynięcie przez Morze Śródziemne lub właśnie przylot na Białoruś czy do Rosji i piesze przejście przez granicę. Zieloną, bo próśb o ochronę SG na przejściach granicznych najczęściej „nie słyszy”.

kładzone są kable zasilające i transmisyjne, trwa montaż słupów, wkrótce mają być uruchamiane czujniki i kamery.

Właśnie w montażu systemu elektronicznego ludzie niosący pomoc upatrują przyczyn wzmożonego ruchu na granicy: – Zanim skończą, białoruski reżim próbuje jak największą liczbę migrantów zgromadzić pod granicą i w dogodnym momencie przeprchnąć na polską stronę.

Dyskutują między sobą:

– Musimy po prostu czekać na zakończenie wojny z Rosją. Gdy Ukraina wygra, zabiją Łukaszenkę i wszystko się skończy.

– Nigdy się nie skończy. Skoro już raz ten kanał się odblokował, to znajdą się tacy, którzy będą ich tędy dalej transportować.

– A u nas są jeszcze możliwości. Może być tak, że ustawią wieżyczki strzelnicze. Najlepiej byłoby mieć dobre programy integracyjne, bo to w znakomitej większości wypręgnięci ludzie, którzy chcą żyć normalnie.

Opowieści o płocie, co zatrzymał migrację, kwituje Mirosław Miniszewski, filozof i pisarz, mieszkający za Krynkami, tuż przy granicy: – Jeżeli nie patrzysz, to nic nie widzisz. Wystarczy za bardzo nie zagłądać.

Jego brawurowe „Opowieści ze wsi obok” zyskują rzesze fanów. Niektórzy mówią, że literatura Miniszewskiego ma walor terapeutyczny, zwłaszcza opisy tego, co spotyka pograniczników. On sam na początku mocno zaangażował się w pomoc, zimą wycofał się, dla dobra swojego i rodziny. Teraz wrócił do lasu: – Prędejszy czy później ci ludzie przyjdą. Mam tego dosyć, ale tak czy inaczej ich spotkam. Nie umiałbym się odwrócić. ●

Z WŁADIMIREM GELMANEM
ROZMAWIA WIKTORIA
BIELIASZYN

WIKTORIA BIELIASZYN: Przewodniczący Dumy Władimir Wołodin powiedział kiedyś: „Jest Putin – jest Rosja. Bez Putina Rosji nie ma”. Zważywszy na chaos, jaki ogarnia armię i administrację, i na prognozy możliwego rozpadu Federacji Rosyjskiej, to wciąż aktualne?

WŁADIMIR GELMAN: Przeformułowałbym to: „Jest Putin – jest Wołodin. Bez Putina nie ma Wołodina”. A jeśli poważnie, to wyobrażenie, że istnienie Rosji warunkuje życie jednego człowieka, jest bardzo naiwne. Nawet w systemach autorytarnych. Czy Chiny nie przetrwają bez Xi Jinpinga?

Ale temat rozpadu Rosji powraca w analizach ekspertów.

– To myślenie życzeniowe. Zachodni obserwatorzy liczą, że podział Federacji zlikwiduje odwieczne zagrożenie, bo pojedyncze państewka, niezależnie od tego, jaki przybrałyby ustrój, nie zdołałyby budzić takiego strachu ani szkodzić całemu światu. Problem w tym, że dziś wielu specjalistów i zwykłych ludzi zaczyna traktować życzenia czy analizy jako realny scenariusz.

A dlaczego miałyby być nierealny?

– Rosja wbrew pozorom jest krajem stosunkowo jednorodnym kulturowo. Jest powiązana wewnętrznie gospodarczo, nie występuje w niej nacjonalizm gospodarczy, charakterystyczny dla republik bałtyckich w późnym ZSRR. No i w Rosji nie ma drastycznych różnic na poziomie etnicznym. Ponad 80 proc. społeczeństwa to Słowianie, etniczni Rosjanie. W niektórych republikach, zwłaszcza na terenach azjatyckiej części Rosji, ta proporcja wygląda nieco inaczej, ale biorąc pod uwagę wielkość kraju i liczbę ludności, to bez szczególnego znaczenia.

A przede wszystkim nie słychać silnych głosów ani nie widać działań, które wskazywałyby, że regionalne elity czy nawet pojedynczy obywatele chcieliby niezależności. U schyłku ZSRR te ruchy były bardzo wyraźne, zwłaszcza w republikach bałtyckich, ale też Mołdawii, Gruzji i Armenii.

Właśnie tak wyobrażamy sobie rozpad Rosji: na poszczególne republiki.

– Tylko że większa część Rosji to nie republiki, ale administracyjne części etnicznej Rosji. Nie widzę powodu, dla którego obwody pskowski czy nowogrodzki miałyby się stać państwami.

Ogromna część świata pamięta rozpad ZSRR i nadzieje, jakie się z tym wiązały, więc projektuje wyobrażenia na dzisiejszą Rosję.

Jakie warunki powinny być spełnione, by rozpad Rosji był możliwy?

– Społeczeństwo powinno przejawiać usilną chęć utworzenia niezależnego państwa. Za pierestrojki zależało na tym nie tylko przedstawicielom narodowych elit, ale też dużej części zwykłych ludzi, np. Estończykom czy Mołdavianom. Dzisiaj tego nie ma.

I, uprzedzając pytanie, nie widzę też, by w istotnym stopniu przejawiał się w Rosji separatyzm. Przeciwnie. Elity federalne, i lokalne, i zwykli obywatele chcą żyć

WYBACZCIE, ALE SIĘ NIE ROZPADNIEMY

Dlaczego ktoś miałby uważać, że bycie obywatelem małego państwa nowogrodzkiego będzie lepsze od bycia obywatelem wielkiej Rosji?



• „100 narodów w jednym kraju” – radziecki plakat z lat 70.

w Rosji, a nie w jakimś nieistotnym państwie.

General Ben Hodges, do niedawna jeden z najważniejszych amerykańskich wojskowych, uważa, że tendencje odśrodkowe wzmagają się, gdy ubywa ludności, a gospodarka się sypie.

– Czy w ciężkim kryzysie mieszkańców regionu nowogrodzkiego przyjdzie do głowy, że utworzenie małego państwa rozwiąże ich problemy, czy raczej uznają, że powiązania biznesowe, administracyjne, handlowe z resztą Federacji ułatwią wyjście z zapaści? We wpływ demografii też wątpliwe. Jest sporo krajów, w Europie też, w których ludzie migrują z peryferii do centrum albo regiony się wyludniają – i państwo się nie rozpada.

Czy ta chęć mieszkania w dużym kraju wynika z czysto praktycz-

nych względów, czy również z pobudek imperialistycznych? Duma z wielkiego kraju, która rekompensuje osobiste niedostatki, to charakterystyczna cecha Rosjan odziedziczona po ZSRR.

– W większości przypadków nie nazywałbym tego od razu imperializmem. Dlaczego ktoś z etnicznych Rosjan miałby uważać, że bycie obywatelem państwa nowogrodzkiego będzie lepsze od bycia obywatelem Rosji? Nowogród i każde inne nowe państwo musiałoby zawierać porozumienia celne z sąsiadami, jego mieszkańcy musieliby załatwiać wizę, żeby pojechać na weekend albo do pracy do Petersburga. Takich konsekwencji są setki.

I jest jeszcze coś takiego jak kultura czy tożsamość. Estonii było łatwiej wyjść z osłabionego ZSRR, bo tamtejsi mieszkańcy czuli, że są

narodem estońskim. Mieszkańcy obwodów nowogrodzkiego, kostromskiego czy leningradzkiego nie zainspirują się ideą, że są osobnymi narodami i różnią się od mieszkańców obwodów pskowskiego albo twerskiego.

Michail Chodorkowski uważa inaczej. Z jego obserwacji jako niegdyś najpotężniejszego oligarchy, a dziś dysydenta wynika, że mieszkańcy Rosji, również etniczni Słowianie, w pierwszej kolejności czują się np. powołzaniami, a dopiero później – Rosjanami.

– Chodorkowski zapewne interpretuje po swojemu badania, z których wynika, że regionalna tożsamość jest dla ludzi ważna, ale nie w równym stopniu, co tożsamość narodowa. A na pewno nie stawiają tych pojęć w opozycji. Mieszkańiec Federacji nie zastanawia się,

czy jest pskowiecem, czy Rosjaninem. On jest jednym i drugim.

Mówimy o „etnicznych Ruskich”. Ale Jakucja, Buriacja czy Dagestan to chyba inna historia.

– Większość republik etnicznych jest poddawana rusyfikacji. W zależności od ich stażu – jako składowych imperium od stuleci, od dekad – ale nieustannie. Teraz również. Nie tylko przymusowej. Czy się to komuś podoba, czy nie, w dużych krajach z atrakcyjną i silną „centralą” to naturalny proces, bez związku z autorytaryzmem. W XIX wieku na jednoczących się ziemiach niemieckich hochdeutsch wprowadzano z takim naciskiem, że wykarczowano języki mniejszościowe. Niemcy stały się krajem, w którym występują dialekty, ale wszędzie króluje hochdeutsch. To samo wydarzyło się w XIX wieku we Francji. W regionach pielęgnuje się lokalne tradycje i języki, mieszkańcy lubią podkreślać odmiennność, ale na co dzień wszyscy czują się Francuzami i mówią po francusku.

Oczywiście każdej rosyjskiej władzy zależało i będzie zależało na tym, by rosyjska tożsamość dominowała pozostałe. Ale większości nie-Rosjan to nie martwi, bo w codziennym życiu albo łączą obie tożsamości, stapiają swoje obyczaje i specyfikę z rosyjską, albo rosyjska okazuje się atrakcyjniejsza. Kiedy kilka lat temu Moskwa wprowadziła w republikach etnicznych możliwość rezygnacji z języka narodowego w szkołach, aktywiści alarmowali, że to grozi asymilacją, ale nie porwali ogółu rodaków.

Może dlatego, że państwo represjonuje działaczy etnicznych, a kary za działalność separatystyczną są surowe. Dopiero co badaczka z jednej z republik etnicznych odmówiła mi komentarza, tłumacząc, że rozmowa na temat rozpadu Rosji byłaby dla niej bardzo niebezpieczna.

– Jasne, strach jest obecny, ale kiedy przepisy nie były jeszcze tak surowe, silnych nastrojów separatystycznych w republikach też nie było.

A protesty przeciwko mobilizacji w Dagestanie?

– To nie są protesty przeciwko Rosji, tylko przeciwko temu, żeby ginęli nasi bliscy czy znajomi. Czy ktoś na tych manifestacjach nawołuje do niezależności? One są lokalne, nie obejmują nawet całego Dagestanu, nie mówiąc o wszystkich republikach etnicznych. Mieszkańcom Dagestanu wszystko jedno, czy na wojnę trafią Buriaci, czy Jakuci, i vice versa. Dla nich jest ważne, by nie znaleźli się na niej mąż, syn, ojciec i brat.

Spotkałam się z opinią, że wysyłając na front mieszkańców etnicznych republik, a nie Rosjan o słowiańskim typie urody, Putin przeprowadza czystki.

– Władze boją się mobilizować Rosjan z dużych miast, więc starają się wypełniać plan kosztem tych regionów, w których masowy protest jest mało prawdopodobny. Dlatego zabierają do armii głównie mężczyzn z wiosek i miasteczek. Ale wymiar etniczny to tylko część obrazu, bo biorą też z peryferyjnych regionów „ruskich”. Po prostu z miejsc, w których trudno jest uciec przed policjantem. Aktywiści z etnicznych republik podnoszą alarm, bo mają świadomość, kompetencje i możliwości, a w peryferyjnych najczęściej nie ma kto zaprotestować. Dlatego wiele osób uważa, że to problem etniczny.

A więc stwierdzenie, że Rosjan bardziej boli śmierć niebieskookich moskwan niż Jakutów czy Buriatów i że może to zrodzić w nie-Rosjanach gniew, jest nieprawdziwe?

– Stolica zawsze jest w centrum uwagi. Prowinca nikogo specjalnie nie interesuje. Dziennikarze piszą o niej, kiedy wydarzy się coś niebywałego, kiedy jest spokój, nie poświęcają jej uwagi. Są takie regiony, które zawsze, niezależnie od tego, co się dzieje, będą peryferiami. To naturalne, nie tylko w Rosji.

Nie daję mi spokoju wypowiedź Dordziego Mandżijewa z partii Jabłoko z Kalmucji: „Okazuje się, że kiedy jest wojna, to »wszyscy jesteśmy braćmi«, a kiedy jej nie ma, jesteśmy »czurkami« albo słyszymy, że wynajmujecie mieszkania »tylko Słowianom«. Kreml ma nas za mięso frontowe. To wszystko przerodzi się w samoświadomość republik narodowych, będziemy domagać się od Kremla realnej federalizacji, nie tylko na papierze”.

– To mówi jeden człowiek, działacz i polityk. Zgoda, nie możemy stwierdzić, jakie dokładnie są nastroje w republikach, ale też nie możemy opisywać ich na podstawie opinii aktywistów. Ja też jestem pojedynczym obserwatorem, ale nie tak zaangażowanym – i nie widzę masowości.

Aktywiści rozpatrują wszystko w relacjach centrala – peryferia, Rosjanie – republiki etniczne w negatywnym świetle, zakładają świadomą politykę Moskwy wymierzoną w mniejszości, bo są aktywistami. Są uwarunkowani swoją sprawą.

A w wielu przypadkach chodzi o zwykły rasizm, nie o celową politykę. Ludzie po prostu ulegają stereotypom. Są rasistami, gdy wolno być rasistami albo kiedy nikt nie pokazuje, że stereotypy są fałszywe. A w Rosji nie ma żadnych ograniczeń, nie potępia się rasizmu, nie ma programów afirmacyjnych, edukacji, więc mieszkańcy republik etnicznych są przez wielu Rosjan traktowani jako obywatele drugiego sortu w sposób organiczny.

I znów, z podobnymi problemami mierzyły się też inne państwa, choćby Stany Zjednoczone na przełomie XIX i XX wieku.

Ale sam Putin uważa, że rozpad jest możliwy. Ogłaszając mobilizację jako alternatywę dla zwycięstwa, opisywał „dużą liczbę walczących między sobą na śmierć i życie regionów”.

– Czyli chciał nastraszyć społeczeństwo. I nie chodzi nawet o to, że w genach mamy traumy smuty i rewolucji. Wielu mieszkańców Rosji – nie tylko Rosjan – pamięta konflikty, starcia etniczne i zwykłe bandyckie porachunki z końca lat 80. i początku 90., więc boi się podobnego scenariusza, nawet jeśli jest bardzo mało prawdopodobny.

Okej, rozpad terytorialny Rosji jest niemożliwy. Ale rozpad putinowskiej Rosji chyba tak.

– Ma pani na myśli rozpad systemu? To co innego. Zazwyczaj reżimy personalne nie przeżywają swoich twórców. Ale też nie liczyłbym od razu na demokrację zachodnią. Bardzo prawdopodobne, że jeśli Putina zastąpi inny lider, stworzy własny system. ● **Rozmawiała Wiktoria Bieliaszyn**

Przecież wyrządzam mniej zła niż kolega

Człowiek sowiecki nie nauczył się, jak rozpoznawać i opanowywać instynkty tkwiące w każdym z nas.

Andriej Archangielski

Kiedy ktoś zajmuje się procesami kulturowymi, musi sobie ciągle zadawać pytanie: w jakim stopniu jesteśmy odpowiedzialni za nowe barbarzyństwo XXI wieku – masowe mordowanie ludzi przez rosyjską machinę wojenną?

Najpierw przypominają się konkretne dzieła kultury masowej, które ulegały elementarnym instynktom i rozpały obecną w nas nienawiść (np. filmy „Brat” i „Brat 2”). „Sztuka nie jest winna; dzieła mogą być straszne, ale to nie sztuka zabija” – mówi się nam w takich przypadkach. Spróbujmy postawić pytanie inaczej: co zrobiła kultura rosyjska, aby zapobiec temu horrorowi?

„Jedno państwo, wielokrotnie silniejsze, zdradziecko atakuje drugie, usprawiedliwiając się mało istotnymi przesłankami; posyła rakiety na cywilów, nazywając ich jednocześnie »bratnią ludnością« i rzekomo chcąc ich »ratować«. Wszystko to jest jawnym i obłudnym aktem zła” – tak mniej więcej to, co się dzieje dzisiaj, opisałby Lew Tolstoj.

Tolstoj często patrzył na wydarzenia z punktu widzenia rozumu, a zarazem z punktu widzenia dobra i zła. Uczono nas tego w szkole; cóż może być prostszego niż zastosowanie tej formuły wobec barbarzyńskiej wojny z Ukrainą?

Jednak zdecydowana większość ludzi w Rosji nie jest zdolna do takiego postrzegania rzeczy bez ideologicznych podstaw, nie tylko dlatego, że zostali słabo wykształceni w szkole, chodzi też o to, że nasza kultura przez dziesiątki lat, a nawet przez wieki, ignorowała sam problem istnienia zła.

Zło istnieje, i to w każdym z nas; człowiek musi być odpowiednio wcześniej ostrzeżony o tym niebezpieczeństwie, musi być gotowy na spotkanie ze złem, musi umieć odróżnić dobro od zła – to także jest zadanie kultury. Nasza kultura ignorowała te kwestie.

W ideologii sowieckiej problem istnienia zła był rozwiązywany prosto: zło miało pochodzenie społeczne, więc w „społeczeństwie sprawiedliwości społecznej” problem rozwiązywał się sam. Zło zostało przeniesione za żelazną kurtynę.

Przewyciężenie zwierzęcych instynktów pozostawiono zbiorowemu wychowaniu, ignorując metafizyczny poziom zła. Człowiek sowiecki nie nauczył się więc, jak rozpoznawać i opanowywać gwałtowne instynkty tkwiące w każdym z nas.

Nadal panuje przekonanie, że sowiecka kultura masowa „uczyla dobra”. To mit: to nie „świat dobra”, ale sztucznie skonstruowany infantylny świat wiecznego dzieciństwa pozbawił człowieka realnej wiedzy o świecie. Człowiek sowiecki nie był przyzwyczajony do pracy ze złem, które w nim tkwiło.

Gdy upadła totalitarna ideologia i zniknęły cenzuralne ograniczenia, postsowiecka jednostka znalazła się twarzą w twarz ze złem. Ale nie została uwolniona od traumy totalitaryzmu, uwolniło się jedynie to, co kryło się w otchłaniach nieświadomości; nieprzepracowane zło wydostało się na światło dzienne.

Kultura postsowiecka najpierw odzegnała się od rozwiązania „problemu zła”; potem nieprzepracowane zło przybrało formę samo-

powagi. Człowiek postsowiecki postrzegał postmodernizm w duchu Dostojewskiego: „wszystko wolno”.

To nieprzepracowany problem relacji ze złem doprowadził do demoralizacji społeczeństwa obywatelskiego w Rosji, gdzie elity, współpracując z reżimem Putina, usprawiedliwiały się formułą „mniejszego zła”. – Muszę iść na kompromisy, ale przynajmniej kultura żyje! Instytucje działają! A idę na nie zdecydowanie w mniejszym stopniu niż kolega czy szef – mówiono. A szef czy kolega myślał tak samo o tych, którzy stali wyżej: – Wyrządzam mniej zła niż oni.

I tak do samego szczytu drabiny samooszustwa. Klasyczna pułapka moralna; to nasz brak doświadczenia spowodował, że w nią wpadli-

Idąc za wzorem Hollywoodu, kino rosyjskie, zamiast ostrzegać przed złem, pograżyło się w zachwycie nad przemocą, śmiercią, złem

zadowolenia jako unikatowego „kodu kultury”, uosobienia prawa i sprawiedliwości.

Postsowiecka kultura w końcu nauczyła ludzi przemocy „w imię sprawiedliwości, w imię samej prawdy”. Idąc za wzorem Hollywoodu, kino rosyjskie, zamiast ostrzegać przed złem, pograżyło się w zachwycie: nad przemocą, śmiercią – a więc i złem. „Słabych biją, silni biją pierwsi” – takie wskazówki płynęły z samego Kremla.

Bezradność w rozwiązywaniu kwestii egzystencjalnych zbiegła się w społeczeństwie z fałszywym rozumieniem istoty postmodernizmu, który otrzymaliśmy nie w wyniku refleksji i poszukiwań, ale „w prezencie”, w ramach dołączania do cywilizowanego świata.

Postmodernizm stał się w Rosji symbolem „względności wszystkiego”, w tym pojęcia dobra i zła. Rozumiano to nie jako apel o większą odpowiedzialność osobistą każdego, ale wręcz przeciwnie – jako samouwolnienie od sumienia, od odpowiedzialności, od

my. Praktyka preferowania „mniejszego zła” doprowadziła do jego pomnożenia.

Brak rozpoznania zła w nas samych prowadzi do braku rozpoznania zła w działaniach naszego państwa. Do niezrozumienia, że państwo pozbawione kontroli społecznej jest jedynie narzędziem zła. Do nieprzygotowania do konfrontacji ze złem wreszcie.

Historia ukarała nas za tę obojętność, dając nam najgorszą z możliwych lekcji: skonfrontowała nas z wojną Putina, czystym złem. Z gorzkim chichotem uczy nas tylko jednego: zło nigdzie nie zniknęło, niezależnie od tego, jakie szaty nosi. Naszą winą – winą kultury między innymi – jest to, że nie rozpoznaliśmy tego w porę. ●

Andriej Archangielski

• rosyjski dziennikarz i analityk kultury. Tekst ukazał się 6 sierpnia na stronie Radia Swoboda

CZY ORLEN WYMYŚLI TECHNOLOGIE WODOROWĄ

Unijny Plan Odbudowy to żaden plan Marshalla

Witold Gadomski

Europejski program Next Generation EU, zwany Planem Odbudowy, porównuje się do planu Marshalla. Porównania tego używał Mateusz Morawiecki już w kwietniu 2020 r., gdy mówił, że „plan Marshalla na miarę XXI wieku to plan, który ma pozwolić nie tylko ocalić miejsca pracy, ale też wznieść się na wyższy poziom gospodarczy po kryzysie”.

W Polsce mit amerykańskiego planu, który ominął nasz kraj, a ustawił na lata Europę Zachodnią, jest żywy. Tyle że unijny program ma z nim niewiele wspólnego.

PLAN MARSHALLA – WĘDKA ZAMIAST RYBY

W 1943 r. rząd USA powołał United Nations Relief and Rehabilitation Administration (UNRRA), organizację mającą dostarczać pomoc krajom zniszczonym przez wojnę. W 1945 r. UNRRA stała się agendą ONZ, ale nadal finansowali ją głównie Amerykanie. Łączna pomoc wyniosła ok. 4 mld dol. (dziś to byłoby ok. 50 mld), które zostały zamienione na żywność, lekarstwa, ubrania, narzędzia rolnicze i przemysłowe. Najwięcej na pomocy UNRRA skorzystały Chiny – 518 mln, Polska – 478, Włochy – 418, Jugosławia – 416, Grecja – 347, Czechosłowacja – 261, Ukraina (jako część ZSRR) – 188 i Austria – 136 mln.

UNRRA była ofiarowaną rybą, pragmatyczni Amerykanie chcieli jednak dać przede wszystkim wędkę. Jej przygotowanie prezydent Truman powierzył sekretarzowi stanu generałowi George'owi Marshallowi.

Wiosną 1947 r. Europa Zachodnia pogrążyła się w kryzysie, który mógł być groźny dla gospodarki USA. W 1948 r. deficyt Europy w handlu ze Stanami wyniósł 4,25 mld dol. Mimo to kraje Europy Zachodniej miały ogromne aktywa, tyle że z powodu zniszczeń trudne do uruchomienia. Miały instytucje rynkowe, fabryki, częściowo zniszczone, ale dysponujące dużym majątkiem, inżynierów i wykwalifikowanych pracowników, sieci wzajemnych powiązań między firmami, znane marki i kulturę pracy. Ich gospodarki były gotowe do szybkiego wzrostu pod warunkiem,

że poszerzone zostaną wąskie gardła. Sytuację można porównać do gotowej, ale nieczynnej fabryki, która dla uruchomienia wymaga jeszcze kilku milionów na opłacenie surowców i komponentów.

To miał zapewnić plan Marshalla. Aby wypełnić lukę w handlu zagranicznym, Europa potrzebowała dolarów, których nie mogły jej pożyczyć ani banki prywatne, ani utworzony w 1944 r. Bank Światowy. Po prostu nie miały dość pieniędzy.

W maju 1947 r. podsekretarz stanu Dean Acheson oszacował, że Europa potrzebuje 5 mld dol. rocznie, by sprowadzać niezbędne surowce i półfabrykaty. Inni eksperci, którzy byli w Europie i zobaczyli, jak straszliwie jest zniszczona, uznali, że raczej 6-7 mld. To były naprawdę duże pieniądze – dość powiedzieć, że dochody budżetu USA wyniosły 38,5 mld dol., a wydatki – 34,5 mld.

W marcu 1948 r. Kongres przyjął Economic Cooperation Act. 90 proc. pomocy stanowiły bezzwrotne dotacje, z których większość była bezwarunkowa i służyła do płacenia za rachunki, głównie za dostawy towarów i usług z USA. Plan Marshalla był elastyczny i nie wymagał, by pieniądze szły na konkretne cele. Brytyjczycy na przykład swoje 2 mld przeznaczyli na spłatę długów. Natomiast pieniądze z dotacji warunkowych musiały iść na zakup towarów i usług z innego kraju europejskiego – chodziło o wsparcie handlu wewnątrzeuropejskiego. Początkowo Europejczycy wyda-

wali amerykańskie pieniądze na żywność lub środki do jej produkcji, czyli nawozy sztuczne, maszyny. Z czasem rósł udział maszyn i surowców.

Wiele inwestycji finansowanych było i z planu Marshalla, i przez krajowy kapitał – dolar z pomocy amerykańskiej wymagał dolara wydatków z funduszu współpracującego. Podobieństwo do funduszy unijnych, które wymagają krajowego współfinansowania, jest pozorne, bo rządy z własnych funduszy mogły wydawać na dowolny cel. Pieniądze ostatecznie docierały do prywatnych przedsiębiorstw.

Inną formą pomocy były pożyczki na 35 lat z 2,5-proc. rocznym oprocentowaniem. Jeszcze inną – pomoc techniczna. Warta tylko 40-50 mln dol., ale specjaliści z oceanu okazali się niezwykle przydatni przy odbudowie fabryk i uruchamianiu produkcji. Ponad 6 tys. inżynierów i techników z Europy zostało przeszkolonych w USA, a w europejskich fabrykach pracowało kilkuset amerykańskich ekspertów. Pomoc techniczna była elementem rozpoczętej przez Amerykanów „kampanii produktywności” – jak zauważył pewien urzędnik senacki, produktywność w przemyśle francuskim jest wyższa niż w innych krajach europejskich, ale i tak wyprodukowanie renaulta wymaga czterech razy więcej roboczogodzin niż wyprodukowanie chevroleta.

Dzięki strumieniom dolarów luka w bilansie płatniczym Europy z USA została za-

sypana. Stopa inwestycji w krajach objętych planem USA wynosiła 20 proc., czyli była wyższa niż przed wojną, a PKB wzrósł o 25 proc. w ciągu czterech lat jego trwania. Ekonomisci związani z Economic Cooperation Administration liczyli, że Europejczycy zwiększą produkcję przemysłową o 30 proc. w porównaniu z czasami przedwojennymi. Do końca 1951 r. produkcja wszystkich krajów europejskich przekraczała o 41 proc. poziom przedwojenny. Łącznie w ramach planu Marshalla Stany przekazały Europie 13 mld dol., ekwiwalent 115 mld dolarów z roku 2021. A że gospodarki krajów beneficjentów były wielokrotnie mniejsze niż dziś, efekt wstrzyknięcia miliardów był ogromny. Ale od sum ważniejszych było to, że pieniądze trafiały tam, gdzie przynosiły największy efekt.

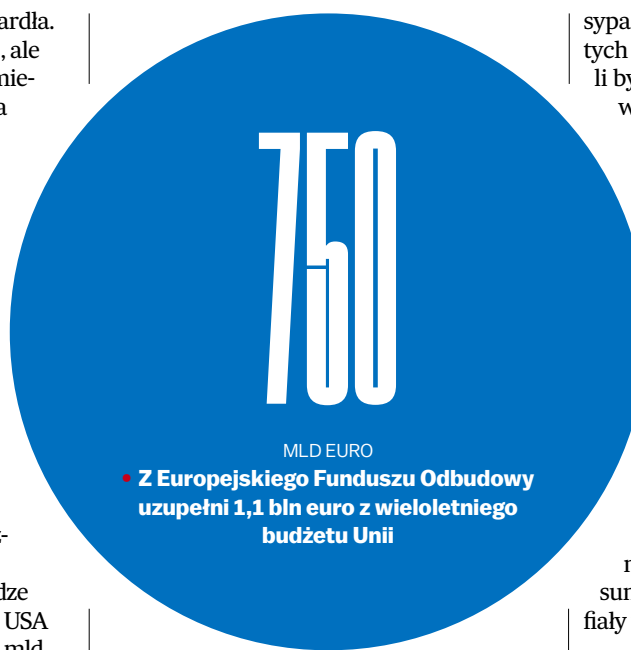
URZĘDNICY WIEDZĄ LEPIEJ

Logika Next Generation EU jest zupełnie inna. Program miał być odpowiedzią na recesję spowodowaną pandemią. Plan Marshalla zwiększał moce produkcyjne, Plan Odbudowy ma zwiększyć popyt poprzez wydatki na cele dość sztywno określone przez instytucje unijne.

To pierwszy program finansowany przez emisję wspólnego długu, ale nie pierwszy program wydatków ogłoszony przez Unię. Przypomnijmy, plan Junckera z 2014 r., który był odpowiedzią na spadek inwestycji w UE po dwóch falach recesji. Przewidywał utworzenie nowego funduszu, którego środki, przy wykorzystaniu dźwigni, pozwoliłyby sfinansować inwestycje wartości 315 mld euro. Jakież efekty przyniósł. Unia wydzwignęła się z recesji, ale jej dynamika gospodarcza nie była oszalamiająca – w latach 2015-19 wyniosła średnio 2,2 proc., a w strefie euro – 2,0 proc.

Zarys Next Generation EU przyjęto podczas zdalnego szczytu w czerwcu 2020 r. Punktem wyjścia do negocjacji była propozycja Komisji Europejskiej, przewidująca wykorzystanie wieloletniego budżetu Unii w wysokości 1,1 bln euro do ożywienia gospodarek i uzupełnienia go o Europejski Fundusz Odbudowy w wysokości 750 mld. 500 mld ma być rozdysponowane w postaci dotacji, a 250 w pożyczkach dla krajów członkowskich.

Rada Europejska, czyli spotkanie wszystkich premierów Unii, uzna-



ła, że kryzysowa sytuacja wymaga środków nadzwyczajnych, w tym zaciągnięcia przez Unię pożyczki na rynkach finansowych. Miała to być pierwsza wspólna pożyczka na tak dużą skalę, co niektórzy publicyści określili jako „moment hamiltonowski”. Alexander Hamilton, jeden z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych Ameryki, był zwolennikiem federacji stanów, wspólnej waluty emitowanej przez bank federalny i wspólnej odpowiedzialności za długi poszczególnych stanów. Wspólny europejski dług ma być zatem ważnym krokiem ku Europie bardziej zjednoczonej – dotychczas pieniądze na fundusze unijne pochodziły ze składek. Pożyczone na rynku pieniądze zostaną zwrócone w latach 2027–58. Z uwagi na wysoką wiarygodność instytucji unijnych obligacje otrzymają najwyższy rating, więc będą nisko oprocentowane. Ponieważ dług jest wspólny, podniesiono składkę do unijnego budżetu, by stworzyć narzędzie spłaty.

Według wyliczeń unijnych ekspertów Europejski Fundusz Odbudowy może, przy zastosowaniu dźwigni, sfinansować inwestycje w wysokości 3,1 bln euro. Dźwignia to kredyty zaciągnięte w bankach, których zabezpieczeniem jest fundusz. Pozwoliłoby to zrównoważyć spadek inwestycji wywołany pandemią, w tym spadek inwestycji prywatnych wynoszący 831 miliardów.

Z góry określono, na co państwa mają pieniądze przeznaczać. W każdym planie krajowym co najmniej 37 proc. ma być wydane na cele związane z klimatem, a co najmniej 20 proc. na cyfryzację. Pozostałe pieniądze mają iść na zwiększenie spójności społecznej, czyli zmniejszenie nierówności, zdrowie, odporność gospodarki na kryzysy. Cele są dość ogólne, więc rozmaite inwestycje można do nich dopasować. Niemniej Next Generation EU jest znacznie bardziej sztywny niż plan Marshalla.

CZY ORLEN WYMYŚLI TECHNOLOGIĘ WODOROWĄ

Efekt może być taki, że rządy występując o kolejne transze, będą się koncentrować nie na efektywności wydatków, ale na tym, by je uzasadnić. Polski rząd w ramach Krajowego Planu Odbudowy chce na przykład wydać kilka miliardów złotych na technologie wodorowe, co jest zgodne z priorytetem klimatycznym. Ale technologie te są mało zaawansowane i niewykorzystane, że okazały się ślepą uliczką. Pieniądze na nie wydane tworzą dodatkowy popyt, zatrudnienie i wynagrodzenie, ale ostateczny efekt w postaci zwiększenia mocy produkcyjnych może być niewielki. Być może to nadmierny pesymizm. A nuż spółce Daniela Obajtka uda się opracować technologię taniego wytwarzania wodoru i zbuduje sieć stacji dla samochodów napędzanych tym czystym gazem.

Podobnie może być z pieniędzmi na badania naukowe w ramach programu Horyzont Europa. W Polsce środki trafią do Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, które rozdzieli je w konkursach. NCBR jest co jakiś czas przedmiotem zainteresowania mediów, zwykle z powodu afer lub kontrowersyjnych decyzji o dotacjach. W 2017 r. na wniosek CBA resort nauki przeprowadził kontrolę, która wykazała ona nieprawidłowości, w tym związane z pieniędzmi przyznawanymi spółce Marcina Szumowskiego, brata byłego ministra zdrowia. O efektach inwestycji spółki Szumowskich, finansowanych z pieniędzy unijnych, niewiele wiadomo. NCBR podaje, jaka firma otrzymała środki, ale nie sporządza analizy efektywności wydatków.

W systemie rynkowym, gdzie pieniądze inwestują prywatne fundusze venture capital, byłoby to nie do pomyślenia. Oczywiście

inwestowanie w innowacje jest bardzo ryzykowne i duża część wydatków się nie zwraca. Ale od czasu do czasu zdarza się inwestycja, której zyski pokrywają wcześniejsze straty. Tymczasem NCBR to worek bez dna, który w ramach Planu Odbudowy otrzyma znacznie więcej pieniędzy niż dotychczas.

Holandia, Austria, Dania i Szwecja, czyli kraje tworzące tzw. oszczędną czwórkę, sprzeciwiały się pomysłowi rozdzielania pieniędzy w postaci dotacji. Stanowisko to popierały Szwecja i Finlandia. Morawiecki potępiał „oszczędną czwórkę”: „Jest grupa państw, którą my nazywamy grupą skąpców. Oni się nazywają oszczędnymi, którzy chcą po prostu mniejszego wkładu do tego budżetu”.

Dlaczego są tacy skąpi? Może dlatego, że w Skandynawii – inaczej niż we Włoszech czy w Polsce – nie jest dobrze widziane, gdy politycy żerują na publicznych środkach. A że będą żerować na pół bilionie euro, które pochodzić będzie ze składek, czyli z kieszeni podatników, także polskich, i pożyczek obciążających kolejne pokolenia Europejczyków, to pewne.

Polski rząd, na czele z Morawieckim, sceptycznym wobec innych form integracji, był początkowo entuzjastą zaciągnięcia przez Unię wspólnego długu. Zapewne premier uznał, że najważniejsze, by dostać pieniądze, a „hamiltonowskimi” konsekwencjami będzie przejmował się później.

PANIKA ZŁYM DORADCĄ

Decyzje o utworzeniu Europejskiego Funduszu Odbudowy podjęto w atmosferze ogromnego niepokoju o skutki lockdownów. Trzeba zwrócić uwagę na moment podejmowanych decyzji. Pierwsze przypadki COVID-19 w Europie pojawiły się we Włoszech pod koniec stycznia

2020 r. W lutym wprowadzono w tym kraju pierwsze ograniczenia przemieszczania się ludności i zaczęto zamykać kolejne miejsca publiczne. 4 marca zanotowano pierwsze zachorowanie w Polsce, 15 marca wprowadzono na granicach kordon sanitarny. Od 20 marca obowiązywał w Polsce stan epidemii. Mniej więcej w tym samym czasie – wcześniej wiosną – rozmaite ograniczenia, wpływające na aktywność gospodarczą, wprowadzono w całej Unii.

Z dzisiejszej perspektywy widać, że reakcja rządów była przesadna. Najsurowsze restrykcje obowiązywały, gdy liczba wykrytych przypadków choroby była umiarkowana. Znacznie silniejsza fala przyszła jesienią 2020 r., gdy ograniczenia w przemieszczaniu ludności były mniejsze.

Lockdown doprowadził do spadku produkcji, przy czym jej poziom mierzony w PKB silnie zmieniał się z kwartału na kwartał w całej Unii.

ZMIANA PKB WOBEC POPRZEDNIEGO KWARTAŁU W PROCENTACH

Najsilniejszy spadek nastąpił w drugim kwartale 2020 r., gdy pandemia dopiero się rozpoczynała, a w trzecim kwartale 2020 r. produkcja gwałtownie odbiła, niwelując niemal całą stratę. Najgłębszy spadek nastąpił we Włoszech, gdzie początkowo pandemia miała najostrzejszy przebieg i zastosowano ostre restrykcje, ale też odbicie w trzecim kwartale było bardzo silne. Stosunkowo łagodnie recesję przeszła Szwecja, choć tam także spadek PKB w drugim kwartale 2020 r. był znaczny, a odbicie w trzecim kwartale 2020 r. – mniejsze niż średnio w Unii.

Według Eurostatu w drugim kwartale 2022 r. PKB w całej Unii było o 2,3 proc. wyższe niż w IV kwartale 2019 r. – ostatnim przed pandemią. Unia pokonała więc kryzys bez pieniędzy z Europejskiego Funduszu Odbudowy.

Choć wpadła w inną pułapkę – rządy zareagowały panicznie, uruchamiając transfery dla przedsiębiorstw i gospodarstw domowych w bezprecedensowej skali, średnio około 10 proc. PKB. Na obronę rządów trzeba stwierdzić, że w pierwszej połowie 2020 r. trudno było przewidzieć rozwój sytuacji. Rządy od lat działają zgodnie z zaleceniem noblisty Paula Krugmana: lepiej pomylić się, wydając z państwowego kasy za dużo niż za mało. Lecz nadmierne transfery doprowadziły do inflacji, której doświadczamy. Trudno powiedzieć, czy bez masowego wsparcia rządów odbicie byłoby tak silne, ale z pewnością mniejsza byłaby inflacja.

PRZEPROŚMY SIĘ ZE SZCZELINOWANIEM

Europejski Fundusz Odbudowy został przyjęty w szczycie pandemicznej paniki. W większości krajów został już uruchomiony, choć widać, że gospodarki poradziłyby sobie bez niego. W ciągu dwóch lat sytuacja gospodarcza i polityczna świata znacznie się zmieniła. Wzrost gospodarczy jeszcze się utrzymuje, ale może zostać zahamowany przez inflację i wzrost stóp procentowych, niezbędny dla jej opanowania.

Kolejny impuls inflacyjny stanowią dotacje do paliw i energii, które stosuje większość krajów UE. Proinflacyjny skutek będą miały też wydatki z Europejskiego Funduszu Odbudowy. Europie grozi stagflacja, a lekarstwem nie są dodatkowe wydatki inwestycyjne funduszy publicznych, ale jak najszybsze przywrócenie równowagi gospodarczej.

W sytuacji gdy Europa boryka się z niedoborami kopalnych surowców energetycznych, w tym gazu i węgla, a także horrendalnymi cenami prądu i inflacją, priorytety programu powinny być zmienione. Pieniądze należałoby przeznaczyć w pierwszej kolejności na zwiększenie produkcji surowców energetycznych po opłacalnych kosztach, nie wyłączając węgla kamiennego, którego brak tej zimy mogą odczuć w Polsce tyśiące gospodarstw domowych.

Izrael, który eksploatuje złoża gazu we wschodniej części Morza Śródziemnego, ogłosił, że może Europie dostarczyć surowiec, który choć w części zrekompensuje zażycie strumienia z Rosji. Eksploatowane mogą być też złoża w pobliżu Grecji i Cypru – państw należących do Unii, która dotychczas nie zachęcała do tego i nie była skłonna finansować wydobycia. Spore pokłady gazu znajdują się w Albanii i w państwach Afryki Północnej. Warto zastanowić się, czy tam nie skierować unijnych funduszy.

A co z gazem łupkowym, którego poszukiwań zaniechano? Gdy cena za 1000 metrów sześciennych gazu wynosiła 200–300 euro, eksploatacja łupków była nieopłacalna, ale dziś gaz kosztuje 10 razy drożej. Unia uznała, że wydobycie gazu poprzez tzw. szczelinowanie hydrauliczne jest dewastujące dla środowiska. W Niemczech trwa jednak dyskusja, czy opór jest rozsądny, gdy przez wiele lat import surowców z Rosji będzie niemożliwy.

Konieczna jest też budowa połączeń gazowych, pozwalających przesyłać surowiec z Półwyspu Iberyjskiego, gdzie gazu jest nadmiar, do Niemiec i innych krajów Europy Środkowej. Potrzebne są terminale gazowe. No i trzeba wzmocnić zaplecze obronne krajów Unii.

Nic jednak nie wskazuje, by Bruksela i rządy państw unijnych zastanawiały się nad zmianą priorytetów „nowego planu Marshalla”. ●

Zmiana PKB w Unii wobec poprzedniego kwartału w procentach

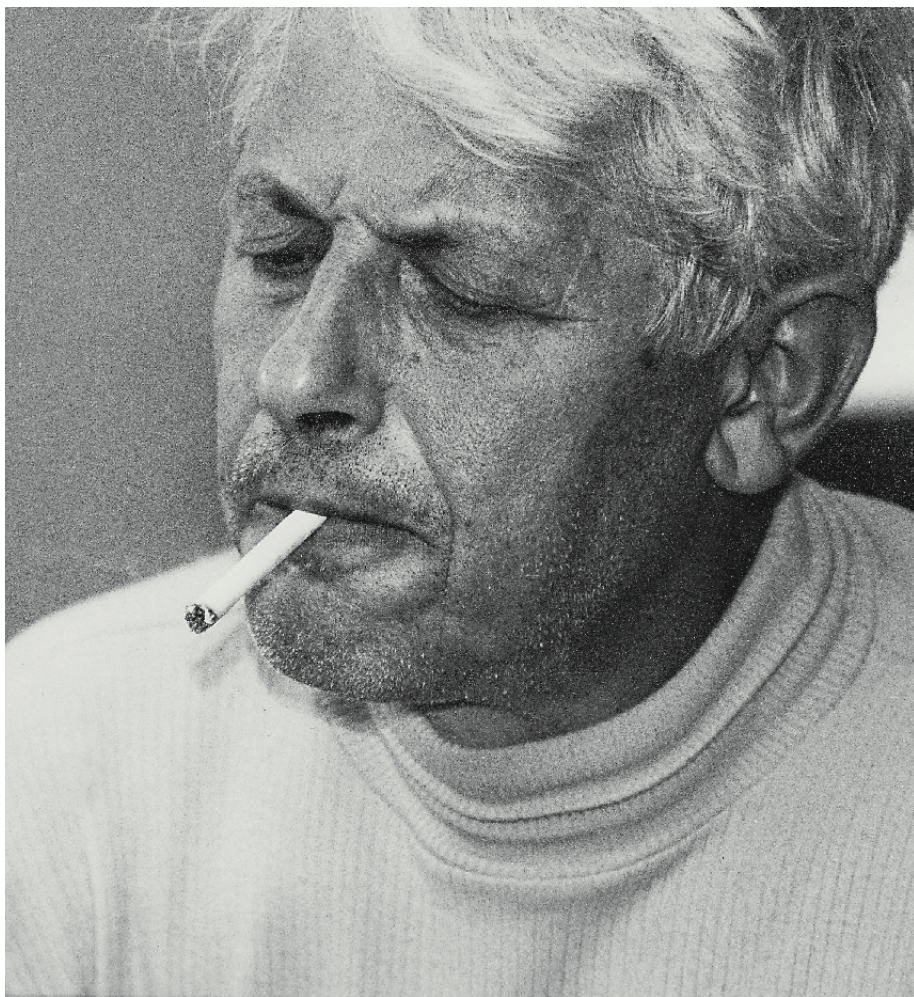
Okres	Unia Europejska	Polska	Włochy	Szwecja
I kwartał 2020	-3,0	+0,4	-5,9	0,0
II kwartał 2020	-11,2	-9,1	-12,7	-8,1
III kwartał 2020	+11,8	+7,3	+16,1	+7,3
IV kwartał 2020	-0,2	0,0	-1,6	-0,2
I kwartał 2021	+0,1	+1,4	+2,0	+1,7
II kwartał 2021	+2,0	+2,0	+2,6	+0,9
III kwartał 2021	+2,0	+2,6	+2,7	+1,6
IV kwartał 2021	+0,7	+1,8	+0,7	+1,3
I kwartał 2022	+0,8	+2,5	+0,1	+0,2
II kwartał 2022	+0,7	-2,1	+1,1	+0,9
II kwartał 2022 do IV kwartału 2019 – zmiana w %	+2,3	+6,2	+2,8	+5,1

ZRODŁO: EUROSTAT

Adam Michnik poleca. O Adamie Sikorze

FILOZOF SZYKUJE JEŻYNE DO NALEWEK

Przestrzegał przed nawiedzonymi rzecznikami eliminacji zła, którzy zwykle tylko je spiętrzają



FOT. ARCHIWUM DOMOWE

Andrzej Mencwel*

Adaś! Adasiu! – mówiło się o nim i do niego, a deminutyw ten nie był wyrazem zdrobnienia, lecz zbliżenia, właściwie czułości, którą w naszym kręgu budził Adam Sikora. Coś podobnego powiedziałem już na poświęconym mu spotkaniu, chyba wiosną 2011 r. (zmarł 3 stycznia 2011), tylko lepiej, bardziej wyraziście.

Po latach ponad dziesięciu nie da się już odnowić uczuciowego natężenia ówczesnego spotkania, tym bardziej że inaczej przecież mówi się o przyjacielu i do przyjaciół, niż wpisuje poniekąd do „Księgi umarłych”. Wtedy powiedziałem, że Adaś zawsze promieniował ciepłem, które do niego przyciągało, nawet gdy się było jego przydziałowym studentem (miałem z nim pierwszy kurs filozofii, na początku mojej polonistyki), a gdy się zyskało przyjaźń, to zbliżenia, uścisku dłoni, objęcia ramieniem, odruchowo się pragnęło.

Nie, na co dzień żadnej takiej wylewności, byliśmy raczej schłodzeni i powściągliwi, jak na dorosłych mężczyzn przystało, jednak to „coś więcej” z Adamem Sikorą się zawsze odczuwało.

Był pięknym, postawnym mężczyzną o nieco egzotycznej tutaj urodzie, oliwkowej cerze, wyniosłej głowie, okolonej wspinałą, najpierw ciemną, a potem dość wcześnie zbielełą grzywą bujnych włosów, z wy-

razistymi brązowymi oczami i mięsistymi wargami ust. Głos miał głęboki, basowy, wielodźwięcznie modulowany, zwłaszcza wtedy, kiedy wykladał. Lubilem go słuchać na zajęciach, choć może wtedy zachwyt formą przeważał nad przyswajaniem treści, z czego nauczyciel nie byłby zadowolony, ale zarówno w publicznych wystąpieniach, jak i w rozmowach prywatnych, osobistych, tonacja jego mowy wzbogacała przekaz słowny.

Przeżyliśmy, w latach naszej przyjaźni, całe dnie pod żaglami i przy ogniskach, na koleżeńskich biesiadach i spotkaniach u niego, z wyśmienitymi nalewkami, które uprawiał pieczolowicie, a nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co było najważniejsze w jego życiu.

O szykowaniu tarniny, pigwy czy jeżyny do nalewek mógł opowiadać barwnie, o sposobach właściwego wychylania kieliszeczka – z lubością. O tym natomiast, co było dramatem jego życia, zawsze obecnym, choć przeniesionym w refleksję filozoficzną, nie rozmawialiśmy nigdy wprost. Może nawet staraliśmy się o tym nie myśleć. Dopóki nie ukazała się mała książeczka prozatorska Adama Sikory o zwodniczym tytule: „Szczęściarz” (PIW, Warszawa 1994; wydanie drugie zmienione Twój Styl, Warszawa 2001). Kończył ją autor opowiadaniem jeszcze bardziej zaskakującym: „Ja, szczęściarz”.

Prof. Adam Sikora był filozofem, historykiem filozofii i jej popularyzatorem. Trzy te

pokrewne dziedziny rzadko wiążą się ze sobą, niemają bowiem jest myślicieli pomijających historię filozofii; czytelne jej upowszechnianie zaś to sztuka rzadka, uprawiana tylko przez nielicznych, jeśli nie wybranych. Pracował na tych trzech polach łącznie, choć przemienne, a najłatwiej przypomnieć jego popularyzację filozofii.

Potwierdzona została ona wieloma wydańiami „Spotkań z filozofią” (1965, siedem, poszerzanych ciągle wydań do 1995 r.). Ostatnia ich wersja, wzbogacona i zmieniona, nosi tytuł „Od Heraklita do Husserla”, a wydań kolejnych miała trzy (1999, 2005, 2009). Razem książki te przekroczyły na pewno setki tysięcy nakładu, czytelników miały parokrotnie więcej, co pozwala je umieścić obok podręczników tak klasycznych jak „Historia filozofii” Władysława Tatarkiewicza.

Adam Sikora krzewił rozumienie filozofii w najwybitniejszych, zawsze personalnych, autorskich ekspresjach. Jego „Spotkania z filozofią” nie są wykładami zagadnień i kierunków filozofii, głównych pojęć lub doktryn i systemów, lecz osobistymi spotkaniami z ludźmi, myślącymi również osobiście. Doświadczali oni świata i wyrażali siebie w danym im czasie historycznym, ale ich pytania i problemy pozostały żywe, co uprzytamniał nam autor. Ponieważ filozofia zawsze, w swoim zróżnicowanym bogactwie, jest „czynnym aktem filozofowania”.

Małgorzata Szpakowska o „Spotkaniach z filozofią”: „to wcale nie tylko zbiór sylwetek dawnych myślicieli, to także całkiem spójna wizja dziejów myśli europejskiej, choć niewykluczone, że synteza wyrosła tu później, ze szlifowania elementów. Uchwyceni w jednym spojrzeniu bohaterowie książki Adama Sikory zaczynają rozprawiać między sobą” („Przegląd Filozoficzno-Literacki” 2013).

40 najwybitniejszych europejskich myślicieli, jeśli nie odwróconych od siebie, jak Demokryt i Sokrates, to sobie przeciwstawnych, jak Epikur i św. Augustyn, zostaje tu przedstawionych piórem znawcy i pisarza, który laikowi przybliży myślącą osobę każdego z nich, omijając terminologiczne zaskaki.

Filozof i teolog Tomasz, rzecznik boskiego ładu i teologii racjonalnej, który został świętym Kościoła, pośrednio „rozmawia” tutaj z kacerzem Bruno, spalonym na stosie za to, że utożsamił Boga z nieskończonością wszechświata. Kartezjańskiej apologii rozumu Pascal przeciwstawia własne „racje serca”, których rozum nie pojmuje; Rousseau pełen nowoczesnych sprzeczności odpowiada prastarej wierze Vico w cykle dziejowe, a ewolucjonista Spencer, przekonany o tym, że wszystko da się obliczyć, sąsiaduje z dr. Freudem, pogrążonym w otchłaniach ludzkiej nieświadomości.

Oto przykładowe tylko wydźwięki tego oryginalnego koncertu filozofów, który komponuje Adam Sikora.

Powiem więcej – on ten koncert nie tylko komponuje, lecz go również odgrywa. Pośród jego licznych publikacji „Posłannicy słowa” (1967) są utworem znamienym. Rzecz poświęcona mesjanizmowi polskie-

mu, na przykładach Hoene-Wrońskiego, Towiańskiego i Mickiewicza, jest książką przełomową w humanistyce polskiej tamtego czasu, obok „Historii i profecji” (1962) Zofii Stefanowskiej.

Jeśli na początku XX wieku Stanisław Brzozowski uznawał mesjanizm polski za autentyczną filozofię czynu, Marian Zdziechowski porównywał ze słowianofilstwem rosyjskim, a w 20-leciu mnożyli się epigońscy wyznawcy, to w pierwszych latach powojennych mesjanizm stał się przedmiotem drastycznych refutacji, którym ton nadawał Tadeusz Kroński, znany lepiej jako miłoszowski Tygrys.

Pisałem o tym w dedykowanej Adamowi Sikorze próbie „Styl to człowiek” (zob. „Nauczyciele i Przyjaciele”, WUW, Warszawa 2010), przeciwstawiając jego rozumiejącą interpretację mesjanistów apodyktycznym osądom ideologicznym.

Autor „Posłanników słowa” na pewno nie był entuzjastą personalnych nawiedzeń, narodowego posłannictwa czy spirytualnych iluminacji, napisał jednak swoje studium tak, że jest wzorem humanistycznego zrozumienia, a nie ideologicznego odrzucenia. Osiągnął to przez źródłową, co oczywiste, znajomość swoich bohaterów, wrażliwą intuicję badawczą oraz swoistą narrację historyczną.

Ustanawiał w niej wyraźną, intymną, rzecz można, więź pomiędzy słowem autorskim a wypowiedziami postaci, tak że, prawie jak w powieści, odnosiły się one do siebie wzajemnie i nierzadko stylistycznie przenikały. „Oddać należycie głos swoim bohaterom, uczynić ich równorzędnymi partnerami dialogu filozoficznego – pisałem – oto ta cecha stylistyczna, która z narracji historycznej czyni narrację naprawdę humanistyczną. »Posłannicy słowa« Adama Sikory są jej przykładem klasycznym”. Inspirować rozmowę, komponować ją i dyskretnie nią dyrygować jest właściwie »czynnym aktem filozofowania«.

Czy aktem takim są również te jego utwory filozoficzne, w których rozważał problematykę własną? Jest ich niewiele, najważniejsze to eseje z tomu „Między wiecznością a czasem” (2006). Tytuł wskazywał czule miejsce jego myślenia, a szczupłość i zwięzłość esejów – nośność znaczeniową.

Adam Sikora był wierny powołaniu historyka – znawca wszystkich nieomal wielkich filozofów wołał im służyć przez interpretację i popularyzację, niż narzucać się z retoryką własną lub naśladowaną skądinąd. Czynił tak nie przez właściwą mu skromność, lecz dlatego, że humanistyczna polifonia była jego postawą osobistą. Uważał ją bowiem za główny środek przeciwstawienia się złu, którym nasz świat był nieuchronnie przeniknięty. Wobec mocy tego zła, której doświadczył w swoim życiu i którą w filozofii swej rozważał, był to środek słaby, lecz jedyny, który był mu jako myślicielowi dostępny.

I tu napotykały kwestię zasadniczą dla takiej humanistycznej dobrej woli, jakiej przyświadczały pisma Adama Sikory i którą emanował on sam: czy naprawdę moż-

na, czy należy, oddawać głos wszelkiego rodzaju poglądom? Czy z rzeczników zła i jego praktyków możemy czynić równoprawnych partnerów międzyludzkiego dialogu?

Autor tych esejów nie zajmował się totalitarnymi politykami i ludobójczymi militarystami, których złowrogie działanie objęło jego, najbliższych i naród żydowski. Ich wyłączenie było oczywiste, a bezwzględny osąd konieczny. Zajmował się myślicielami, u niektórych z nich łączność z praktyką zła została zaszyfrowana, lecz pozostawała ciągła. Pewnie dlatego autor „Materializmu a empiriokrytycyzmu” [Lenin], tworu kanonicznego w latach naszej młodości, zasłużył na drwiny Adama Sikory, a Martin Heidegger został pominięty w spotkaniach z filozofami. Ale ta uboczna przecież adnotacja nie tłumaczy nam mocy zła w życiu pisarza i w otaczającym go świecie, a może również w samej istocie bytu.

„Szczęściarz” jest tytułem cyklu autobiograficznych, prozatorskich utworów filozofa, więcej niż ironicznym, gdyż sarkastycznym, chociaż przeważa w nich odczuwalne ciepło.

Adam Sikora był Polakiem pochodzenia żydowskiego, zatem Żydem podług praw i praktyk nazistowskich, nosił imię i nazwisko przybrane, ponieważ pierwotnie musiał zataić, udało mu się ocaleć, podczas gdy rodzice, dziadek i inni krewni padli ofiarą Zagłady.

Kiedy wojna się zaczęła, miał już lat 12, był bliski skończenia polskiego „powszechniaka”, a wyrastał jako dziecko kulturowo i kulturalnie spolonizowanych lubelskich mieszczan. Dziadek, dawniej zasobny przedsiębiorca, był jeszcze Żydem ortodok-

*Posłuchał mamy, uciekł, nim
getto zamknięto, i udało mu
się ocaleć, chociaż bywał tak
bliski końca, że parokroć
pragnął powrotu do niej
i śmierci razem z nią w obozie*

syjnym i martwił się odstępstwem dzieci, bardzo jednak kochał wnuka. Ojca Niemcy skatowali wcześniej we własnym mieszkaniu, aresztowali i już nigdy nie wrócił, mama, podobnie jak dziadek, została przesiedlona do getta, a potem zesłana do Majdanka, gdzie zginęła.

Nie posługuję się datami i nie sięgam do opracowań eksterminacji lubelskich Żydów. Jestem przeszłości tej świadomy, ale pozostawiam ją w tle, ponieważ przejmuję mnie uczucia i myśli tego chłopca, który mając lat około 14, stanął wobec wyboru, przekraczającego zwyczajne zdolności pojmowania. A pragnę pojąć filozoficzną postawę Adama Sikory.

Gdy zamknęły się już mury getta, mama nakazała synowi:

„Nie wolno ci tu pozostać, musisz uciekać, musisz się ratować. Wierzę, że tobie się uda, musi się udać, musi, przecież jesteś taki dzielny, roztropny i wcale niepodobny... Proszę syneczku, błagam, nie utrudniaj, tak musi być, naprawdę musi, zrozum... Pamiętaj, zdejmij opaskę, nim przejdziesz przez ten mur”.

Syn posłuchał, uciekł, nim getto zamknięto, i udało mu się ocaleć, chociaż bywał tak bliski końca, że parokroć pragnął powrotu do mamy i śmierci razem z nią w obozie.

Opowieści o perypetiach tego ocalenia zajmują cały tom „Szczęściarza”, ich bohater zaznał wiele złego i dobrego, czego podczas takiej walki o życie zaznać można. Nie streszczam tych perypetii, żeby ich nie zniekształcać, podkreślam tylko sens podstawowy – wszyscy wtedy byli postawieni w sytuacji niehumanitarnej i usiłowali jej sprostać, zapewne ułomnie, ale po ludz-

ku. Z wyjątkiem, rzecz jasna, nazistowskich oprawców oraz ich rodzinnych popleczników, którym chłopiec się nie poddał.

Jeśli w tym kręgu śmierci, dzięki heroicznej woli życia i niezbędnemu lutowi szczęścia (trafił na partyzantów Armii Ludowej), ocalał, to usłuchaniem mamy i jej porzuceniem został na zawsze złem naznaczony. Czy to nie tam, w przekraczającej zwykłe wyobrażenia, chwili rozstania, poczęła się jego wizja świata? Czy nie tam kryje się nienapisany wstęp do filozofii Adama Sikory?

Los Hioba jest człowiekowi przeznaczony i właśnie jemu poświęcił autor najważniejszy esej „Teodycea i przypadek Hioba”. Bohater tej starotestamentowej księgi biblijnej został poddany całej serii straszliwych i niezawinionych cierpień – utracie licznej rodziny, rosłych synów i córek, świetnej majątności i licznych stad, wreszcie zarażony trądem i odrzucony przez przyjaciół.

Był świadomy klęski, popadł w skrajną rozpacz, jednak wiary w Boga nie utracił, pokładając w nim bezgraniczną ufność. Na koniec, jako „szczęśliwy sprawiedliwy”, został wynagrodzony, „pozyskał dobro” i dożywał „syty dni swoich”.

Autor przejmującego eseju uważa, że to zakończenie historii Hioba jest „dość sztucznym happy endem”, sprzecznym z wymową całej tej księgi Pisma Świętego. Teodycea, czyli usprawiedliwienie zła w świecie wszechmocą Boga i jego nieskończoną dobrocią, jest niemożliwa, ponieważ nie ma „symetrii pomiędzy dobrem, nagrodą i szczęśliwością oraz złem, karą i cierpieniem”. Co więcej i bardziej, rzecz można, współcześnie – niemożliwa również jest historiodycea, świecka, lecz mająca właściwie biblijne korzenie, obietnica Nowego Wspaniałego Świata, królestwa dobra, do którego zdążamy przez kolejne szczeble zła.

Adam Sikora przejściowo w taką uludę uwierzył, z czego tłumaczył się przekonywająco esejem „W poszukiwaniu utraconego sensu”, cenionym przez Adama Michnika. Nikt jednak nie wskazał zła, które mógł osobiście wyrządzić, bo też go nie było.

Zło w świecie, cierpienie niezawinione i grzechy zawinione, przypadkowość powszednich zdarzeń i ukryty sens historii, istnienie ludzkie rozpięte między wiecznością a czasem, są to motywy przewodnie refleksji Adama Sikory. Właściwe światło rzuca na nie jego historia, o której nigdy nie mówił wprost, a zapisał ją fragmentarycznie w utworach prozatorskich. Nic nie zastąpi ich lektury, ale i one nie zastępują jego filozofii, choć wskazują jej źródło.

Filozoficznie był przekonany, że zło jest immanentną i niezbywalną właściwością naszego istnienia w tym świecie i nie można się go pozbyć ani też je usprawiedliwić. Żadna teodycea ani też historiodycea nie mogą nas pocieszyć i nie chodziło myślicielowi o polemikę z Leibnizem lub Wolterem. Cierpienie było bowiem jego pierwotnym doświadczeniem egzystencjalnym, zawsze o nim pamiętał, ponieważ „nie można wyzbyć się pamięci o umęczeniach, których się niegdyś zaznało”.

Dlatego nie wierzył w tę ziemską „odpłatę”, jaką Pan miał zapewnić udręczone-mu Hiobowi, przestrzegając zarazem przed nawiedzonymi rzecznikami eliminacji zła, którzy zazwyczaj je spiętrzają. Wierzył natomiast w zrozumienie innych, a wielogłosowy człowieczy dialog uznawał za jedyny dostępny nam sposób łagodzenia zła i jego osłabiania. Jego twórczość humanistyczna jest wzorowym tego świadectwem. ●

*Andrzej Mencwel

● ur. w 1940 r., profesor nauk humanistycznych, historyk literatury i kultury polskiej, krytyk, eseista, prozaik. Wkrótce nakładem wydawnictwa Nisza ukaze się jego „Powieść z życia”

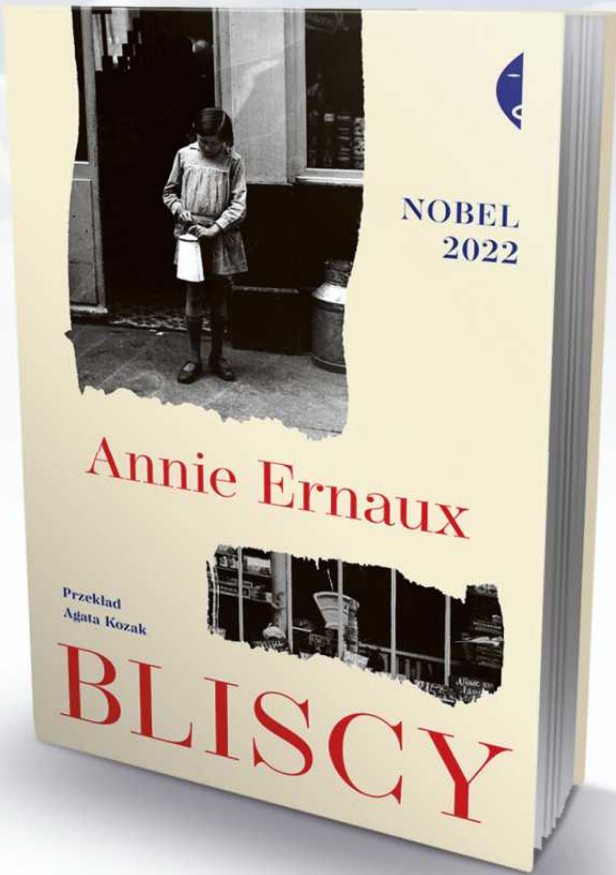
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę

2.

Fragmentu książki „Bliscy”
Annie Ernaux



*Czy da się uciec od swojego pochodzenia?
Jak pragnienie awansu społecznego wpływa na kolejne
pokolenia? I czy nasze życie mogą kształtować ci,
którzy odeszli, zanim się urodziliśmy?
Wokół tych pytań krążą rozważania laureatki
literackiego Nobla 2022 w trzech autobiograficznych
prozach składających się na zbiór „Bliscy”.*

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Bliscy” Annie Ernaux
oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

KK22WWJ

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34176931

Polak idealny nie istnieje

LIMPIEZA DE SANGRE W KAŻDYM Z NAS

Dlaczego kultury katolickie nie są w stanie znieść wewnętrznej różnorodności? Dlaczego wymuszają na innych absolutną asymilację?

Agata Bielik-Robson

Jeśli istnieją polscy marani, którzy wzorem hiszpańskich conversos przyjęli chrześcijaństwo, ale zachowali upartą pamięć o swoim żydowskim pochodzeniu? „Dziady i dybuki” Jarosława Kurskiego tę hipotezę potwierdzają, przełamując znowę milczenia i odsłaniając skrywane rodzinne sekrety. Opowiadają historię syna, którego dręczy brakujący element w genealogicznej układance i który stawia sobie dramatyczne pytanie: dlaczego dziady i dybuki – duchy przodków polskich i żydowskich – nie mogą stać w jednym domu? Dlaczego jedna pamięć może utrzymać się tylko kosztem tej drugiej? I czy w ogóle możliwe jest ich pojednanie?

To książka pod wieloma względami pionierska. Mamy w Polsce wiele pozycji, które traktują o historii polskich Żydów: chasydów, ortodoksów, Żydów asymilowanych, którzy pomimo wejścia w „kulturę goszczącą” zachowali – bądź próbowali zachować – odrębną tożsamość, a nawet frankistów, którzy pod przewodnictwem Jakuba Franka masowo nawracali się na katolicyzm. Nie mieliśmy dotąd jednak historii, która wzięłaby pod lupę tak zwanych Żydów ukrytych, którzy weszli w świat katolickiej polskości za cenę wymazania swojej żydowskiej genealogii.

Czy też raczej – śpieszę się poprawić – mieliśmy. Tyle że były to opowieści z gatunku demaskacyjnego, wyciągające na światło dzienne mroczne sekrety kryptożydowskich sekt i tajnych grup trzymających władzę, od „Nie-Boskiej komedii” Krasińskiego przez „Protokoły mędrców Syjonu” po „Resortowe dzieci”. W dziele wieszczą, wciąż nauczonym jakby nigdy nic w polskich szkołach, jedną z głównych ról, i to szczególnie perfidną, odgrywa Chór Przechrztów (czyli właśnie frankistów nawróconych na chrześcijaństwo), których Krasiński przedstawia jako typy spod ciemnej gwiazdy: rewolucyj-

nych wichrzycieli i wysłanników otchłani. Żyd ukryty – maran albo kryptojudaizant – jest tu agentem zniszczenia, którego celem jest obalenie tradycyjnego porządku: „Za chwilę stanie przede mną człowiek bez imienia, bez przodków, bez anioła stróża – co wydobyl się z nicości i zacznie może nową epokę, jeśli go w tył nie odrzucę nazad, nie strącę do nicości” – mówi Hrabia, reprezentant arystokratycznego ancien régime.

W ten sam sposób hiszpańscy hidalgos, czyli szlachetna szlachta, opisywali w wieku XVI maranów, czyli Żydów, których dekret Izabeli Kastylijskiej przymusił do nawrócenia na chrześcijaństwo pod groźbą wygnania, konfiskaty majątku, a nierzadko śmierci. Marranos – czyli „wieprze”, nazwani tak ze względu na test jedzenia wieprzowiny, który miał ujawniać ich skryte przywiązanie do koszeru – byli dla hidalgos ludźmi znikąd, bez tożsamości i bez tradycji, obcymi wtrętami, które wniknęły do wnętrza feudalnego katolickiego świata bez przekonania i wiary. I choć większość maranów, zwłaszcza w następnych pokoleniach, uważała się już za zwykłych pobożnych katolików, piętno podejrzliwości pozostało: hiszpańska inkwizycja poddawała „nowych chrześcijan” nieustannym próbom wiarygodności. Ta inkwizycyjna nadgorliwość odbiła się trwałym echem w europejskiej historii, wytwarzając nowy typ antysemityzmu jako niechęci do Żyda ukrytego, który jedynie przyjął maskę „jednego z nas”. Podstawowym zajęciem antysemityzmu nowego typu stała się zatem demaskacja: szukanie Żyda tam – zwłaszcza tam – gdzie nikt się wprost do żydowskości nie przyznaje.

Zestawienie książki Jarosława Kurskiego z poczynaniami antysemitycznych demaskatorów może wydawać się zabiegiem szalonym, ale w tym szaleństwie jest metoda. Genealogiczna biografia rodu Kurskich jest bowiem pierwszym takim dokumentem, w którym „ujawnienie” przychodzi nie z zewnątrz w postaci oskarżenia, lecz z wewnątrz w postaci wyznania. Co wytrąca antysemitom ich podstawową broń: wytknięcie palcem Żyda, które w ten sposób skazuje go na śmierć publiczną (tak jak „wykazanie” żydostwa marana skazywało go na męczeńską śmierć na stosie). Ażeby bowiem broń ta działała, muszą być spełnione dwa warunki: sam „Żyd ukryty” musi żyć w nieustannym lęku przed demaskacją, społeczeństwo zaś musi wciąż wierzyć w swoją wewnętrzną



jednorodność, która wytwarza intuicyjne rozumienie „naszości”.

Tymczasem Jarosław Kurski lęk ten przełamuje w dobrej wierze, że polskie społeczeństwo dojrzało do wiadomości o swoim odwiecznym wewnętrznym zróżnicowaniu. Dlatego też nie demaskuje swojej rodziny, lecz wyznaje swoje żydowskie pochodzenie (i to nie byle jakie, lecz od samego Gaona z Wilna!). Ten konfesyjny manewr ma na celu rozbrojenie arsenału antysemitycznych praktyk: Kurski nie czeka, aż mu ktoś jego żydostwo „wytknie”, sam, w pierwszej osobie – wzorem Augustyna, ego confesso – rozpracowuje swoje żydowskie „brzemie”, które w trakcie tej detektywistycznej pracy przestaje być piętnem i ciężarem.

Nie staje się jednak przedmiotem kolejnej, tym razem pozytywnej ekscytacji: filosemityzmu jako prostego odwrócenia antysemityzmu. Kurski unika tej pułapki, dzięki czemu żydowskie dziedzictwo staje się dlań po prostu zwykłym – dotąd brakującym – elementem genealogicznej układanki, za sprawą którego inne – dotąd niejasne – zachowania członków jego rodu nabierają sensu. I tyle – albo aż tyle.

Ta klanowa biografia to jednak nie tylko uporanie się z przemilczeniami oficjalnej historii rodu Kurskich. To także pole doświadczalne nowych krytycznych wglądów, których kultura polska unikała. Analogia do przypadku iberyjskich conversos każe bowiem zadać pytanie: dlaczego kultury katolickie nie są w stanie znieść wewnętrznej różnorodności? Dlaczego wymuszają na innych absolutną asymilację, która musi zawierać pełną konwersję?

Odpowiedź tkwi w innej linii modernizacji, którą inauguruje dekret Izabeli Kastylijskiej: nowoczesności homoge-

nicznych państw narodowych. Gdy modernizacja typu anglosaskiego, ciężko doświadczona wojnami religijnymi, w których różnice konfesyjne starły się w walce na życie i śmierć, wybierze w końcu model liberalny, gdzie obywatel to członek świeckiej umowy społecznej, pozostawiającej mu swobodę wyznania, nowoczesność katolicka postawi na ideę państwa narodowego i narodowej kultury, będącej częścią obywatelskiej tożsamości. Dlatego też Baruch Spinoza, potomek portugalskich maranów, którzy uciekli do Amsterdamu, wykorzysta swoje „marańskie doświadczenie”, by w swojej prawdziwie liberalnej wersji umowy społecznej zagwarantować wolność do indywidualnego wyboru religii (ówczesne Niderlandy i Anglia mocno przyłożyły się do wypracowania ostatecznego kształtu konceptu stworzonego przez Thomasa Hobbesa) – jego kuzyni, którzy w Portugalii pozostali, możliwość tego wyboru utracili na zawsze, przymusem wcieleni do katolickiej wspólnoty.

Coś podobnego przydarzyło się polsko-żydowskiemu rodowi Bernsteinów-Niemirowskich, z których wywodzi się Kurski: podczas gdy jego ciociętny dziadek Ludwik Niemirowski wyemigrował do Anglii, gdzie, już jako Lewis Namier, stał się syjonistą, wybitnym historykiem i doradcą Lloyd George’a (oraz osobistie znienawidzonym przez Dmowskiego „żydowskim zdrajcą Polski”), jego siostra Teodora wytarła swoją żydowskość skutecznie, oddając się, jak to ujmuję jej wnuk, lepieniu polskiego golema. I choć Namier także doświadczył antysemityzmu Brytyjczyków – niechętniej wschodnioeuropejskim yids arystokracji i oksfordzkich elit – to była niechęć raczej skrywana i hipokrytyczna, jakościowo zupełnie inna od dumnego z siebie gromkiego antysemityzmu polskich narodow-



• Archiwum rodzinne Jarosława Kurskiego, komunia ciotki Klary, rok 1935

ców, którzy dali mu się we znaki podczas studiów we Lwowie.

Czym innym zatem jest asymilacja Żydów w społeczeństwach liberalnych, gdzie podstawowe kryterium przynależności to zgoda na social contract, a czym innym asymilacja absolutna, która domaga się dopasowania do narodowego ideału bezwzględnie, jak do prokrustowego łoża. To straszny wymóg, wymuszający całkowite porzucenie starej tożsamości na rzecz nowej, idealnej; wyrzeczenie się własnej genealogii, amputację korzenia.

Ale – czy idealna tożsamość jest w ogóle możliwa? I czy wobec tego możliwa jest absolutna asymilacja jako próba jej osiągnięcia? Całe pokolenia polskich maranów zmagają się z tym problemem, usiłując dostosować się do wzorca, którego w istocie nigdy nie było – zgodnie z Herbertowską regułą, że „najpiękniejszy jest przedmiot, którego nie ma”. Polak idealny wszak nie istnieje, tak samo jak wszystkie ideały, realne tylko w zbiorowej wyobraźni.

Kultury narodowe – w nowoczesności pielęgnowane i wynoszone na piedestał głównie przez romantyków – wszystkim swym członkom narzucają pewien model tożsamości, ale w przypadku „obcych” aspirujących do przynależności wzorzec ten staje się szczególnie opresyjny: staje się nieosiągalną ideą regulatywną, którą „obcy” stawia sobie za cel dążeń, z istoty nie mogąc mu dorównać. Zawsze bowiem pozostanie w nim skaza, zanieczyszczenie – owa mancha, którą Miguel Cervantes, świadomie igrając z marańskimi konotacjami, przypisał swojemu bohaterowi: Don Kichot z La Manchy całe swoje życie poświęcił, by osiągnąć ideał hidalgo, hiszpańskiego szlachcica katolika, ale skaza, jaką odziedziczył – limpieza de sangre, nieczystość

krwi – skaże jego dążenia na nieuchronną porażkę.

Hiszpańscy marani stanęli przed tym dylematem jako pierwsi: choć przymuszono ich do wejścia w świat chrześcijaństwa – zgodnie z nakazem św. Augustyna: compelle intrare! – nikt nie kwapił się, by ich w tym nowym świecie ugościć. Zostali wrzuceni do środka przymusem, ale brama tak naprawdę nigdy się nie otworzyła. Inkwizycja, ta najbardziej perwersyjna z instytucji władzy, zarzuciła im, że ich nawrócenie nie było szczere – bo w istocie nie było, choć przecież nie z winy nieszczęsnych maranów – w związku z czym nie można uznać ich za prawdziwych chrześcijan. Nieustannie oskarżani o sekretne przywiązanie do starej religii, marani zostali więc napiętnowani jako niezdolni do pełnego nawrócenia z natury: to rzekomo w ich krwi tkwiła owa skaza – uparta pozostałość ludu o twardym karku – która trwale uniemożliwia im akces do wyższej religii Zbawiciela.

Tak właśnie narodził się nowożytny rasizm, nieodłączny brat nowego antysemityzmu, lokujący skazę nie do zmycia w samej krwi: marańska limpieza de sangre to szesnastowieczny prekursor późniejszej doktryny one drop of blood, która będzie tropić nieczyste pochodzenie z rasy czarnej do entego pokolenia. Pierwszymi ofiarami nowego typu biologicznego rasizmu byli jednak nie czarni Afrykanie, lecz iberyjscy conversos, złapani w tragiczną sytuację bez wyjścia: przymuszeni do nowej tożsamości i wykluczeni z możliwości jej osiągnięcia.

Żydowskość jako skaza to wielki temat tej książki. „Dlaczego Żydzi nie są z siebie dumni? Dlaczego się nie ujawniają?” – pyta Lech Wałęsa w rozmowie z Bronisławem Geremkiem, przywołanej we wstępie przez autora, który po 1989 r. został rzecznikiem prasowym przywódcy „Solidarności”. Wałęsa

Choć przymuszono ich do wejścia w świat chrześcijaństwa – zgodnie z nakazem św. Augustyna: compelle intrare! – nikt nie kwapił się, by ich w tym nowym świecie ugościć

zadaje to pytanie z naiwną szczerością, nie zdając sobie sprawy, że przemawia przezeń wielowiekowa perwersja, ufundowana przez procesy inkwizycji, w trakcie których „zachęcano” maranów, by się ujawnili, co znaczyło tylko jedno: przyznanie się do posiadania „nieczystej krwi”, czyli kłątwy. A czy żydowskość jako kłątwa – wiedza wpajana jako oczywista wszystkim katolickim kulturom narodowym od czasów Toledo – może być powodem do dumy? W tak urządzonym układzie domyślnym – układzie kultury narodowej ze ściśle określoną idealną tożsamością – ujawnienie się mogło oznaczać tylko jedno: potępienie, wykluczenie, marginalizację, a nierzadko unicestwienie w płonących stosach auto-da-fé (perwersyjnie zwanymi „aktami wiary”).

Kurski wspomina, że Geremkowi, zwykle tak elokwentnemu, pytanie to staje kością w gardle. W inkwizycyjnych archiwach mnóstwo jest podobnych przypadków: przesłuchiwani na okoliczność ukrytej żydowskości marani – w większości już zwykli katolicy, ledwo co pamiętający o przodkach – popadają w skonsternowane milczenie, bo wiedzą, że wyrok na nich już zapadł: czy się „ujawnią”, czy nie, wszystko jedno, bo i tak niosą w sobie niezmyślną skazę gorszą niż grzech pierworodny, która dyskwalifikuje ich jako „dobrych chrześcijan” i skazuje na społeczny (albo i realny) niebyt. Lepiej więc nic nie mówić, zachować sileńcio, i tylko z gorczą przyglądać się, jak Polak katolik roztacza paw ogon swej jawnie celebrowanej tożsamości. Bo w idealnym świecie kultury narodowej tożsamość może być tylko jedna: tu nie ma miejsca na żadną różnicę, która nie była by jednocześnie przekleństwem.

Jeśli więc doświadczenie marańskie czegoś nas uczy jako przesłanie uniwersalne i wciąż aktualne, to wiedzy o świecie – niestety, naszym polskim świecie – w którym nawet nie można sensownie postawić pytania o tolerancję. Tolerancja bowiem to postawa, która dostrzega różnicę i nawet jeśli jej nie afirmuje – porządek liberalny nie nakazuje kochać innych – to ją cierpliwie znosi, nie domagając się jej usunięcia. Tymczasem w narodowo-katolickim ładzie różnic po prostu nie ma. To, co świat liberalny widzi jako ludzką różnorodność – etniczną, rasową, religijną – świat narodowy postrzega wyłącznie jako skazę, odstępstwo i zanieczyszczenie.

Tu osobnik z „jedną kroplą obcej krwi” może być akceptowany tylko wtedy, gdy robi wszystko, by się z kłątwy oczyścić i zatrzeć własną różnicę. W geście, który w kręgach polskiej prawicy narodowej mylnie uchodzi za przejaw tolerancji, docenia się wyłączenie jego wysiłku na rzecz dostosowania się do idealnej tożsamości: „dobry Żyd” zatem taki, który jest bardziej polski od przeciętnego rodaka i bardziej katolicki od samego papieża. Zna na pamięć wszystkie zwrotki hymnu, wszystkie zwrotki kołęd i wszystkie piosenki Kaczmarekowskiego; w każdej chwili zdałby test na Polaka katolika śpiewającego – choć test ten istnieje tylko dla niego (jak ta straszna brama prawa w przypowieści Franza Kafki), w żadnym razie nie dla „swo-

jaków”, którzy polskość po prostu noszą w sobie ontologicznie, nie muszą więc nic o niej wiedzieć.

Od momentu swych nieczystych narodzin „obcy” jest więc nieustannie testowany i tak jak maran zmuszany do pożerania stosów metaforycznej wieprzowiny. Stawia się go wciąż przed Bramą Polskości, która jest jak drzwi obrotowe: już wydawałoby się, że przeszedł na drugą stronę, ale nie, brama zawsze odsyła go z powrotem na zewnątrz. Do końca życia żyje w lęku przed zdemaskowaniem, w którym specjalizują się czyhający nań wszędobylscy strażnicy czystości narodowej: rośnie w nim syndrom wiecznego impostora, oszusta, który wciąż coś udaje, o twarzy, w którą wrosła maska – i ciągle też słyszy od swych towarzyszy w polskości, radośnie nieświadomych głębi ich własnej perwersji, że „nie ma wnętrza”, jest „jakiś pusty w środku”, a tak w ogóle jest „nikim”. Albo, alternatywnie – że, jak to beztrako ujął Wałęsa, powinien się ujawnić i poczuć dumę ze swojej dotąd skrywanej tożsamości.

Często coś w nim niemal pęka i chciałby im wszystkim wygarnąć, że to za ich sprawą bycie Żydem, niesienie w sobie kropli żydowskiej krwi, nie jest i nie może być dla niego powodem do dumy – że żyjąc w tej kulturze od początku, uwewnętrznili on ich podejrzliwe spojrzenie i przyjął ich rozpoznanie własnej kłątwy. Ale koniec końców nigdy tego nie robi. Uwikłany w sytuację bez wyjścia, odpowiada perwersją na perwersję swej niegościnniej kultury, w którą wrzucił go akt narodzin (będącej jakby zaprzeczeniem owej host culture, czyli „kultury goszczącej”, którą w świecie anglofońskim nazywa się społeczeństwa zdolne do eksperymentu asymilacji): staje się Torquemadą, głównym inkwizycyjnym prześladowcą „judaizantów”, generałem Franco, który uczynił z katolicyzmu narzędzie politycznej opresji, albo – toutes proportions gardées – Pawłem Hertzem, który z polskich pisarzy szczególnie ukochał Zygmunta Krasińskiego, czy Bronisławem Wildsteinem, samozwańczym młotem na „żydokomunę”, w ten sposób wkupiającym się w łaski narodowej prawicy.

Obcy nie z wyboru, lecz z urodzenia, złąpany w sieć perwersyjnych lustranych odbić, osobnik ten brnie dalej w niemożliwą polskość, bo całe jego życie polega na tej jednej tożsamościowej inwestycji: czym byłby bez niej? Aż do momentu, kiedy syn, córka, kuzyn ni stąd, ni zowąd uchylają rąbka rodzinnej tajemnicy i wychodzi ona na publiczne światło, zmuszając marana do genetycznego coming outu. To dla polskiego „przymuszonego” cios podobny do tego, jakim był dla hiszpańskich conversos proces inkwizycji, celujący właśnie w ostateczne „ujawnienie”: wdarcie się w wewnętrzny pogmatwany świat żydo-chrześcijanina z żądaniem jasnego samookreślenia. Tymczasem maran tego właśnie pytania – „kim ty właściwie jesteś?” – próbuje za wszelką cenę uniknąć.





Jarosław Kurski doskonale wyczuwa i analizuje tę marańską psychologię, nawet jeśli nie używa analogii do iberyjskich conversos i ich smutnych losów w hiszpańskiej kulturze narodowej. To nie przypadek, że gdy jeden syn z książką tą zwlekał do odejścia matki, drugi syn urządził jej spektakularny katolicki pogrzeb, transmitowany jako wielkie wydarzenie przez Narodową Telewizję: obie te reakcje, z pozoru tak różne, należą do jednego zasobu marańskich strategii, oscylujących między ostrożnym „judaizowaniem” a ostentacyjnym „chrystianizowaniem”. Zbyt mocno utkwil Jarosławowi w pamięci potworny lęk, jakim pani Anna zareagowała na jego drobne „potknięcie”, kiedy to w rozmowie z Wałęsą przypomniał mu o niejednorodnym pochodzeniu zwykłych Polaków, za dowód podsuwając właśnie matkę, tę – jak się na nią w gdańskiej „Solidarności” mawiało – „Żydówkę”. Lęk tak ogromny, dławiący i przemożny, że mógłby ją zabić: zabić symbolicznie – wywleć na światło dzienne całą tę grę, która stworzyła jej życie – i realnie, rujnując jej zdrowie.

W trakcie kilkuletniej pracy nad projektem badającym kulturę „polskich maranów” spotykałam się z zarzutem, że przecież analogia ta nie ma sensu, ponieważ hiszpańskich conversos przymuszono do chrześcijaństwa (stąd ich hebrajskie imię: anusim, „przymuszeni”), podczas gdy dla polskich Żydów był to wolny wybór. Dziś wszystkim tym wątpięcym poleciłabym książkę Kurskiego, malującą wstrząsający portret matki jako osoby absolutnie „przymuszonej”, która asymilację opłacała potwornym lękiem. Wolny wybór asymilacyjny to wszak emancypacja, czyli wyzwolenie: wejście na ścieżkę wolności i powinowactw z wyboru, które wiąże się z porzuceniem lęku przed karą za zdradę tej czy innej tożsamości. Lęk, który nie opuszcza marana do śmierci, jest przeciwieństwem tej liberalnej swobody wyboru. To raczej syndrom zniewolenia, w którym asymilacja nigdy nie staje się emancypacją. A zarazem znak – wielkie oskarżenie – kultury, która asymilację czyni zadaniem niemożliwym.

Książka Jarosława Kurskiego, która lęk matki uczyniła osią swojej analizy, to zatem wielkie j'accuse polskości: ciasnej i zamkniętej kultury narodowej, stawiającej na klaustrofobiczną jednorodność.

W rodach marańskich zwykle tak jest, że jedni bardziej „chrystianizują”, robiąc dobrą minę do złej gry, inni zaś bardziej „judaizują”: czując, że zaofierowano im no win situation, próbują odzyskać choć odrobinę godności. Pierwszymi powoduje wielki lęk, który uwewnętrznia „absolutny przymus” odzydzenia i każe im przyjąć postawę konformistycznej mimikry: ich życiowym hasłem pozostaje „nie wychylać się”, by nie rozdzićnić „goszczącej” (a zarazem tak niegościnniej) większości. Drugimi powoduje bunt wobec uległości przodków, wstyd z powodu ich wstydu: potrzeba odtworzenia własnej genealogii, uwolnienia się od sekretu. Postaci z rodzinnych historii Kurskiego przebiegają całe spektrum między tymi opcjami, gdzie jedną skrajność wyznacza babcia Teodora, matka Anna, ale także spokrewniony z nimi wielki profesor prawa Ludwik Ehrlich – drugą zaś Lewis Namier, który wybrał drogę syjonizmu, stając się jednocześnie i antagonistą, i lustrzanym odbiciem Dmowskiego.

A jak w tym spektrum lokuje się sam autor? Z pewnością należy do frakcji rodzimych „judaizantów”, bo zdecydował się rodowód ujawnić. Zarazem jednak, choć fascynuje go wybór ciotecznej dziadka Niemrowskiego-Namiera, który zakończył marański epizod triumfalnym wykładem na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, gdzie przyjęto go jako jednego z ojców założycieli państwa Izrael, nie podziela jego akcesu do nacjonalistycznie pojmowanej żydowskiej tożsamości. Chciałby się móc do swej żydowskości przyznać, a jednocześnie nie wykuwać z niej nowej formy sztywnej identyfi-

Brama Polskości dla „obcego” jest jak drzwi obrotowe: już wydawałoby się, że przeszedł na drugą stronę, ale nie, brama zawsze odsyła go z powrotem na zewnątrz

kacji. Chciałby być i Żydem z pochodzenia, i Polakiem z wyboru, wychowanym na polskiej kulturze, nareszcie wolnym od dylematu „duszy podwojonej”, w której dziady i dybuki toczą wojnę.

Tego rodzaju marańscy „judaizanci”, do których i ja się zaliczam, czują swoją szansę zwykle wtedy, kiedy pojawia się powiew liberalny, który przewietrza duszną narodową wspólnotę: taką szansę stworzyła, po raz pierwszy w swojej historii, Polska po roku '89, zwłaszcza po akcesie do Unii Europejskiej jako forpocztę liberalno-demokratycznego Zachodu. Wielu z nas wyszło wówczas z szafy, a nawet, jakby spełniając wolę Wałęsy, poczuło się dumnymi z ukrywanego pochodzenia. Starsi jednak, w tym matka Jarosława Kurskiego, powściągali nasz genealogiczny entuzjazm, ostrzegając przed zaledwie chwilowym triumfem: uważajcie – mówili – tu za moment znów

wszystko się zmieni, bo ta kultura, wychowana w romantycznym kulcie jednego narodu i jednej religii, zaraz ten wasz liberalizm zrzuca jako obce kolonizujące ją brzemie.

My, młodszy, głęboko wierzyliśmy, że to już niemożliwe, że tak się nigdy nie stanie. Czyśmy się pomylili, a nasze matki miały rację?

Jeszcze wszystko jest w grze. Opowieść rodzinna Kurskiego to jej kluczowy etap: pierwsza taka historia o kształtowaniu się ukrytej polsko-żydowskiej tożsamości, której finałem okazało się nie demaskujące oskarżenie, lecz afirmujące wyznanie (znów, wzorem Augustyna: dato et concessio). Wyznanie z wyboru, wolne, nieprzymuszone, wyzute z lęku, będące przeciwieństwem zewnętrznegoujawnienia. Wyznanie, w którym straszna trauma matki – lęk przed demaskacją – uległa w końcu przepracowaniu. Dzięki tej wytężonej pracy dybuk, widmo wypartego żydostwa, może wreszcie powrócić z rejonów wygnania i stanąć w jednym domu z dziadami, duchami polskich przodków.

O tym jednak, czy ich koegzystencja będzie możliwa, zdecyduje społeczeństwo, które znalazło się na ostrym zakręcie. Jeśli rządzącym uda się pełen powrót do niskoromantycznego ideału jednej i jednorodnej kultury narodowej, a nam, opozycji, nie uda się wielki projekt liberalizacji Polski, dybuki powrócą do szafy, a kolejne generacje polskich maranów ponownie pogrążą się w ponurej „nocy duszy”. ●

Rozmowa z Adamem Michnikiem i Jarosławem Kurskim w Klubie „Wyborczej” To straszne słowo na Ż

Polski antysemita ściga Żyda w Kurskim, tak długo, póki Kurski obawia się, że Żyd w Kurskim zostanie wykryty.

DOROTA WYSOCKA-SCHNEPF I BARTOSZ T. WIELIŃSKI: „Nie rób tego, będziesz żałował” – mówiła ci, Jarku, mama, mówiła babcia. Nie posłuchałeś ani babci, ani mamy, posłuchałeś podszeptów dybuka, który kazał ci tę książkę napisać. Żałujesz, że wyrzuciłeś z siebie rodzinną historię, czy czujesz ulgę? JAROSŁAW KURSKI: Jedno i drugie. Bo to, co było powodem, dla którego babcia i mama milczały w sprawie swojego żydostwa, może w każdej chwili się powtórzyć. Historia jest tragiczna i tragizm nad nią wisi, widzi-my to dzisiaj w Ukrainie. Lecz ten dybuk gniótł mnie przez trzydzieści lat i uznałem, że muszę się od niego wyzwolić. Już nie ja jestem jego jedynym depozytariuszem, poprzez tę książkę dybuk wciela się w każdego z czytelników. Rozprasza się ta jego niszcząca siła, więc czuję ulgę.

ADAM MICHNIK: Ja konfrontowałem tę książkę z moimi własnymi losami, one były inne zupełnie. Jarek się musiał dokopywać, ja nie musiałem. Mój ojciec nie zmienił ani imienia, ani nazwiska, był Ojzasz Szechter, nie było wątpliwości. Ale w 1968 roku Władysław Gomułka przez telewizor oświadczył całej Polsce, że jestem Żydem, więc miałem komfort, nie musiałem nic tłumaczyć.

„Ty nie wiesz, jaki jest w Polsce antysemityzm” – tak mama wprost powiedziała Jarkowi. Tego się bała najbardziej? J.K.: Kiedy trzydzieści lat temu mama mi to mówiła, rzeczy-

wiście nie wiedziałem. I to ona miała rację, nie ja. **A.M.:** Z tej książki wynika bardzo dobitnie, że aczkolwiek dzisiaj w Polsce nie ma szalejącego antysemityzmu, to jest zadra w zbiorowej świadomości. Albo ten temat się bagatelizuje, albo się o nim nie roznawia, wypiera się go, właśnie dlatego, żeby nie mieć kłopotów z samym sobą. Bardzo trudno jest żyć w świecie, w którym wiesz, że twój rozmówca nie jest antysemitą, antysemitów ma w nosie, a jednocześnie posługuje się kalkami antysemickimi. Nie znam w Polsce ludzi, którzy by się bali, że ktoś w rodzinie był Ormianinem czy Francuzem, nawet Niemcy. Natomiast to słowo na „Ż” jest wciąż nieprzyzwoite.

Wyobrażenie Polaków jest takie, że myśmy nigdy nikomu nie zrobili krzywdy, tylko nas krzywdzono. To typowe dla regionu, tak samo masz u Litwinów, Ukraińców, Czechów, Rosjan, Słowaków, u Chorwatów, u Węgrów, u Rumunów

ADAM MICHNIK

J.K.: To jest kwestia godności, tego, żebyśmy mogli o sobie powiedzieć, że jesteśmy Polakami, ale na własnych warunkach. Nie na warunkach Romana Dmowskiego, który definiuje polskość w sposób etniczny, rasistowski, bo przecież dla niego najgorszy jest ten Polak, który ma żydowskie korzenie i wpuszcza tę truciznę w narodową tkanę.

Polski antysemita ściga Żyda w Kurskim tak długo, póki Kurski obawia się, że Żyd w Kurskim zostanie wykryty. Otóż ja to odwracam. Opowiadałam swo-

ją historię i mówię do tych łobuzów, tych aryjskich rzeczoznawców, tych wypierdów germańskiego ducha: gdy swoją krew i waszą sprawdę, wierzcie mi, jedna będzie jucha. Tak. **A.M.:** A to Tuwim. **J.K.:** Wiesz, jak się kończy ten wiersz. „Całujcie mnie wszyscy w dupę”. **A.M.:** Jarek ma rację, kiedy mówi, że to sprawa godności, bo jest rzeczą niegodną – być zmuszonym do ukrywania swoich korzeni. Natomiast nie mogę zgodzić, że mnie godności może pozbawić wyznawca antysemityzmu Dmowskiego. On siebie pozbawia godności, sięgając do tej retoryki, to po pierwsze. Po drugie, w Polsce ten problem

go społeczeństwa zamordowano naród żydowski. Skazą naszej kultury jest to, że tych ludzi nie oplakano. W to uderza książka Jarka.

Musimy zapytać, bo trudno o to nie zapytać: czy tę książkę czytał twój brat, czyli Jacek Kurski.

J.K.: Zapytaj go. Ja nie mam z bratem relacji. Ale wydaje mi się, że to nie jest pozycja, która będzie go tak interesować, bo Jacek tę całą opowieść odrzuca. Mama nas karmiła pewną mitologią polską. Ja miałem w sobie ciekawość i zacząłem wiercić. Jacek to odrzucał. Uważał, że to wszystko, co próbuję odkryć, jest kompletnie bez znaczenia. Ma do tego prawo.

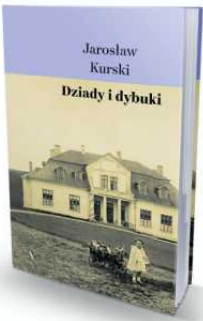
Natomiast nie chciałbym mówić o bracie, bo to nie jest książka o nim. To jest książka o losach polskiej inteligencji. Mówimy tutaj o dybukach, ale to jest także książka o dziadach, czyli o losach tej polskiej części mojej rodziny. To jest inteligencja, która jest jakby z pierwszego, drugiego pokolenia, ludzie z Jerzmanowic, ze Skierniewic, którzy własną ciężką pracą stali się inteligentami w drugim pokoleniu. ●

A czy może istnieć polskość bez kompleksów i zwiąanych z nimi lęków? Zadowolona z tego, gdzie się żyje, z kraju, społeczeństwa, pochodzenia? J.K.: Myślę, że tak. Polski kompleks będzie tak długo, dopóki będziemy się wstydyć własnych korzeni. Chciałbym, żeby ta książka była próbą przełamania tego kompleksu.

● **Cała debata na Wyborcza.pl/klub**

Agata Bielik-Robson

● filozofka, pisarka, pracuje na wydziale teologii Uniwersytetu w Nottingham i w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Autorka książek „Na drugim brzegu nihilizmu. Filozofia współczesna w poszukiwaniu nowego podmiotu”, „Inna nowoczesność. Pytania o współczesną formułę duchowości”, „Romantyzm, niedokończony projekt”, „Na pustyni – kryptoteologie późnej nowoczesności” oraz „Kłopot z chrześcijaństwem: wieczne gnicie, apokaliptyczny ogień, praca” (z Tadeuszem Bartosiem)



„Dziady i dybuki”

Jarosława Kurskiego (Wydawnictwo Agora) już w sprzedaży. Książka dostępna online na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl.

Zapraszamy na otwarte spotkanie z Jarosławem Kurskim w środę, 26 października o godz.18 w Muzeum Polin w Warszawie.

Co się dzieje, gdy bierzesz z kimś ślub

Małżeństwo to wsparcie idei, że tego, co popsute, nie trzeba wyrzucać

Matczak



Spółeczeństwo mamy łatwo oburzające się. Piszę do mnie pewien profesor, że skoro zaproponowałem w felietonie, by nie męczyć dzieci „Balladami i roman-sami”, to może zaproponuję rezygnację z prawa rzymskiego na studiach praw-nicznych. To także starość nikomu niepo-trzebny, sugeruje kpiąco, bo wiadomo, że wiele instytucji prawnych z Rzymu się wywodzi i łatwiej je pojąć, gdy zna-my ich korzenie.

„Touché!”, chciałoby się powiedzieć, bo profesory mają ustawowy obowiązek co drugie zdanie coś nie po polsku wtrą-cić, żeby wyglądać na mądrzejszych, niż są. Z drugiej strony prawnikom nie przyszło do głowy, żeby prawa rzym-skiego uczyć w szkole, a polonistom tak wczesne uczenie literatury romantycz-nej do głowy wpadło. Może więc kom-promis – my uczymy prawa rzymskiego na studiach prawniczych, wy literatury romantycznej na studiach polonistycz-nych, a dzieciom proponujemy meza-lians kultury wysokiej z niższą („Serial z Netflixu a Konrad Wallenrod”), żeby miały szansę zrozumieć, o co chodzi.

Ten mezalians mnie natchnął, żeby napisać o małżeństwie i żeby w to kul-turę wysoką i niską wplątać. Bo można temat zacząć z wysokiego „C”, na przy-kład cytatem z Wilde’a („Mężczyźni że-nią się, bo są smęczeni, kobiety, bo są ciekawe: obie strony się rozczarowują”) i od razu robi się inteligencko. Można też zacząć od rozpadu małżeństwa te-lewizyjnych celebrytów i wycieczki do Ziemi Świętej, czym żyje pół Polski. Ale czy wolno? Ktoś powie, że nie wypada. Inny jednak dostrzeże szansę, by pody-skutować o abstrakcji, która nagle sta-la się bliższa.

Wiadomo, że z instytucją małżeń-stwa najlepiej nie jest. Od 2350 roku przed naszą erą, kiedy pierwsze mał-żeństwo zawarto, przeszedł ten twór kultury niejedno. Najpierw długo był związkiem wyłącznie ekonomicznym lub politycznym. Romantyczna miłość małżeńska to odkrycie średniowiecz-ne. Długo był niewolą kobiet, dopiero XX wiek przyniósł jakąś zmianę, wciąż jest podejrzanym wytworem kultury patriarchalnej. Przez wieki związek he-teroseksualny, choć małżeństwa jedno-plciowe Kościoły chrześcijańskie bło-gosławiły już w X wieku, obecnie coraz częściej słusznie dostępny wszystkim.

Gdzie jest dziś ten monogamiczny, przestarzały związek, o prawo do któ-rego jedni walczą, a którym inni pogar-dzają? W kryzysie. Janan Ganesh pi-sze w „Financial Times” o upadku mał-żeństwa: w 2019 roku w Wielkiej Bryta-nii wzięło ślub 213 tys. par, czyli o poło-wę mniej niż w 1972 roku, i to mimo że krajowi przybyło w tym okresie około 10 mln mieszkańców.

Powody? Rozluźnienie norm społecz-nych, emancypacja, liberalne dążenie do samorealizacji, ale też atomizacja spo-łeczna i partyjniactwo (!). Piszę Ganesh, że poczucie przynależności, które kiedyś zapewniała rodzina, dziś dają plemio-na polityczne. Coś jest na rzeczy – klót-nie w sieci wyzwalają emocje wyższe niż klótnie małżeńskie, które, jak wiadomo, są spoiwem związku. Moja babcia po śmierci dziadka ze smutkiem mówiła: „i teraz nie ma się nawet z kim pokłócić”.

W czasach upadku matrymonium Polska potępia rozpad małżeństwa ce-lebrytów. Czy to konserwizm czy ob-luda? Rozgrywa się przed naszymi oczami dramat, o którego oglądanie nikt nie prosił, a który został nam poka-zany przez samych zainteresowanych. Czy jest w nim coś dla osoby zajmującej się konwencjami i instytucjami?

Filozofowie toczą spór, czy małżeń-stwo jest kontraktem, w którym stro-ny dowolnie ustalają prawa i obowiąz-ki, czy też instytucją, której natury mał-żonkowie nie mogą zmienić. Jeśli jest kontraktem, za zgodą stron nie musi na przykład obejmować wyłączności sek-sualnej. Jeżeli jest instytucją od nich

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ignacy Krasicki*
Gdyby

Gdybym ja był Szwajcarem, stałbym ja na warcie,
Gdybym ja był Rusinem, mówiłbym otwarcie,
Gdybym ja był Hiszpanem, nie dąlbym się złotem,
Gdybym ja był Francuzem, nie byłbym ja trzpiotem,
Gdybym ja był Holendrem, mniej byłbym prostytutkiem,
Gdybym był Angielczykiem, nie byłbym dziwakiem,
Gdybym ja był Turczyinem, nigdy bym nie fukał,
Gdybym ja miał być Włochem, ja bym nie oszukał,
Gdybym był Algierczykiem, nie kradłbym, nie łupił,
Gdybym ja miał być Niemcem, ja bym się nie upił,
Gdybym ja był Węgrzynem, dałbym wino tanio;
A jak to być Polakiem, gdy Polaków ganią?
Niedobrze być nierządnym, słabym, mizerakiem,
Wiem ja o tym, jednakże miło być Polakiem.

*Ignacy Krasicki – 1735-1801. Poeta, prozaik, encyklopedysta, czołowy pisarz polskiego oświecenia. Biskup warmiński i arcybi-skup gnieźnieński.

Wiersz za: „Od Kochanowskiego do Szymborskiej... Antologia poezji polskiej”, wybór Marek Wawrzkiewicz przy współpracy Krzysztofa Gąsiorowskiego, Książka i Wiedza, Warszawa 1999.

niezależną, trzeba zastanowić się nad jej istotą.

Widać to w sporze o małżeństwa jed-nopłciowe. Konserwatysta John Finnis widzi tę istotę w zdolności do reproduk-cji, której związek jednopłciowy mieć nie może. Inni wskazują słusznie, że bezpłodne pary mogą zawrzeć małżeń-stwo, a więc może chodzi o ochronę in-tymności i bycia ze sobą, między innymi przez prawa własnościowe i podatkowe. Ta bardziej progresywna wizja małżeń-stwa, pod którą się podpisuję, nie likwi-duje pytania o wolność w małżeństwie.

Skoro bowiem ma ono wspierać in-tymność, to czy da się ją pogodzić z peł-ną swobodą? W historii, na kanwie któ-rej snują te rozważania, pada wypo-wiedź: partner poprosił o więcej wolno-ści, a potem okazało się, że ta wolność ma imię. Czy małżeństwo to kontrakt, który można ułożyć, jak się chce, przy całej świadomości ludzkiej ułomności? Czy raczej instytucja, wyraz mądrości wspólnej, która coś w tej kwestii narzu-ca i może stracić swą funkcję, gdy ją do-wolnie modyfikujemy.

Piszę o tym Jordan Peterson, któ-ry w związku z głosami poparcia, jakie otrzymałem zwłaszcza z lewej strony naszej publicznej sceny, będzie częściej gościł na tych łamach: „Co się dzieje, gdy bierzesz z kimś ślub? Bierzesz kogoś, kto jest tak samo bezużyteczny i okropny jak

ty i przykuwasz się do niego. I mówisz: nie uciekniemy od siebie, cokolwiek się stanie. I to jest ważne, bo kiedy ucieczka nie jest opcją, możesz powiedzieć dru-giemu prawdę o sobie z nadzieją, że ona nie wybiegnie z krzykiem”.

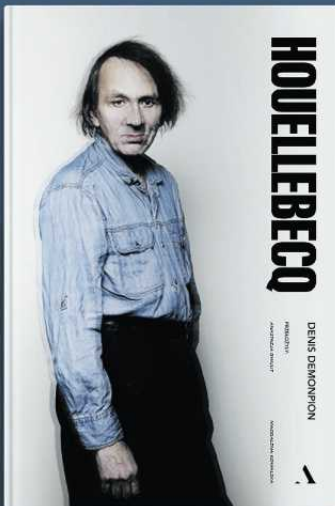
Nie chodzi tu o brak opcji uciecz-ki w sytuacjach skrajnych, jak przemoc – one zwalniają ofiarę z jakichkolwiek obowiązków. Ale o poczucie, że mam zamiar być z tobą dłużej niż do chwi-li, gdy pojawi się ktoś lepszy. O to, że gdy napotykamy trudność, nie zaczy-nam od nowa z kimś innym, bez pró-by naprawienia siebie i związku. Bo po-tem, jak powiedział mi kiedyś trzykrot-nie rozwiedziony lekarz, okazuje się, że partnera można zmienić, ale to nic nie zmienia – bo często problem leży w zmieniającym.

Celebra, papiererek, publiczna przysię-ga i społeczna presja to nieudolne pró-by naszej kultury, by przewyciężyć nie-trwałość zauroczenia i chęć ucieczki od problemów, jak tylko się pojawiają. To wsparcie idei, że tego, co popsute, nie trzeba wyrzucać. Jeśli małżeństwo jest kontraktem, wystarczyłoby pójść do no-tariusza. Jeśli jest instytucją, autono-miczną od naszej woli, to bez względu na to, czy mówimy o związku dwu- czy jednopłciowym, trzeba zastanowić się nad tym, jak układa ono relację między wolnością a intymnością. ●

POLOWANIE NA HOUELLEBECQA.

Biografia największego fenomenu współczesnej literatury

TŁUM. ANASTAZJA DWULT, MAGDALENA KOWALSKA



We wnikliwie udokumentowanym biograficznym śledztwie Denis Demonpion stara się odpowiedzieć na pytanie kim naprawdę jest człowiek, który kryje się za wykreowaną personą najbardziej kontrowersyjnego pisarza XXI w.

WSZYSCY JESTEŚMY ROZREGULOWANI

Mamy naprawdę wszystko, czego nam do bycia szczęśliwymi potrzeba, czyli siebie samych. Nie potrzebujemy żadnego chrztu cudownego ani objawienia.

Z **MARIĄ PESZEK I JANEM PESZKIEM** ROZMAWIA **MICHAŁ NOGAŚ**

Do czego najtrudniej przyznać się dziecku?

JAN PESZEK: Do błędu. Pamiętam jako bardzo silne przeżycie moment, w którym zrozumiałem, że choć miałem świadomość braku idealnego sposobu na wychowanie i edukację dzieci, to jednak częstą nieobecnością sprawiałem ból najbliższemu. Uzmysłowiła mi to Maria, dodając, że na ten sam chorobliwy wręcz brak ojca cierpiał mój syn. A przecież ja latami żyłem w doskonałym samopoczuciu, że owszem, często i długo nie było mnie w domu, ale za to przywoziłem rzeczy niedostępne, które dzieciom sprawiały wiele radości. To był właśnie ten błąd, do którego nie umiałem się przed nimi przyznać, przed sobą także, przejaw pychy.

To jest dziwne, Marysiu, ale jak wyście się urodzili, to też nie spowodowało we mnie poczucia ojcostwa. Byłem waszym ojcem, ale jakby żadnej zmiany. Ja sobie często wtedy zadawałem pytanie, czy ja w ogóle jestem zdolny do miłości, przy całej mojej emocjonalności, uwielbieniu ludzi – bo oni są potwierdzeniem tej krótkiej chwili... Bo jedno wiem na pewno, że jestem na chwilę. To wyniosłem z domu, od dziadków. I to, że jestem na chwilę, zawsze mi przynosiło niezwykłą ulgę i usprawiedliwienie wszystkich niedomogów. Wiem, że was strasznie kocham, tak samo, jak w bardzo szczególnie sposób kocham, może podziwiam, nie wiem, inaczej oczywiście, Teresę. Ale jednocześnie często w życiu zadaję sobie pytanie: czy ja w ogóle jestem zdolny do miłości?

Najtrudniejsza do przyjęcia jest chyba prawda, że wszystko to okazało się nieodwracalne. Zaniedbań, których dopuściłem się przez lata, nie da się naprawić.

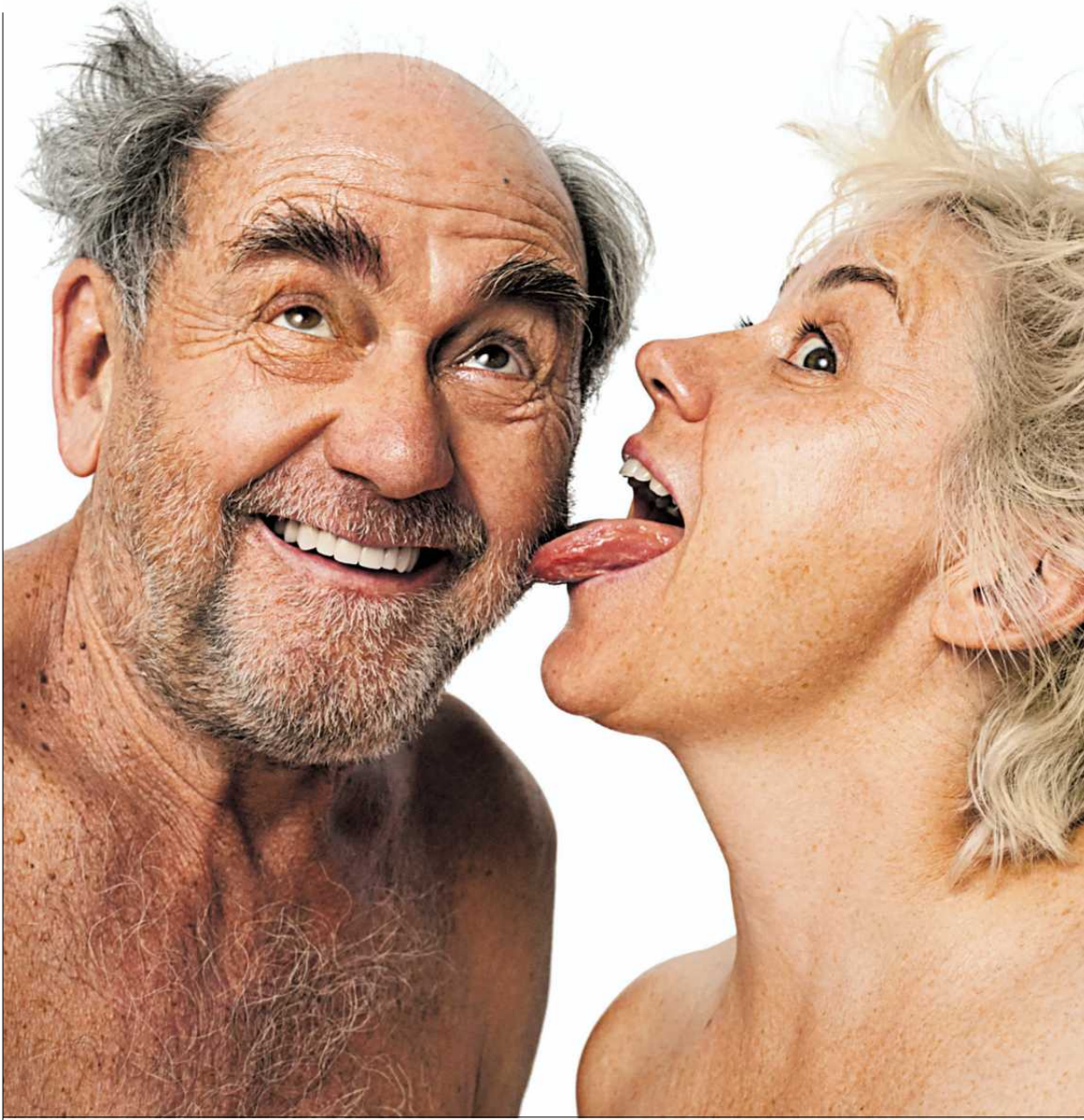
Ale też nikt poza dzieckiem – chodzi przecież o więzy krwi, te najsilniejsze – nie byłby w stanie wydobyc z mnie niektórych opowieści, zmusić do przypomnienia sobie zachowań, z których nie jestem dumny – drastycznych, trudnych, bardzo intymnych, takich, które pewnie wolałbym wymazać z pamięci.

MARIA PESZEK: Nie chciałam, byśmy rozmawiali, wzajemnie sobie dopieprzając, raniąc się – to wbrew naturze naszej relacji, która jest czuła i pozytywna. Ustaliliśmy, że mogę Jana zapytać o wszystko, a o tym, że coś może okazać się ewentualnie zbyt trudne czy raniące, zdecydujemy wspólnie. A przecież to mogło się nie udać – zaraz po tym, jak ustaliliśmy, że będziemy rozmawiać i że być może zrodzi się z tego książka, Jan miał zawał. I pierwsza z tych rozmów odbyła się dwa dni po jego wyjściu ze szpitala.

Potrzeba rozmowy, wypowiedzenia tego, co we mnie siedziało przez lata, wzięła się też ze świadomości, że tata jest typem, przed którym mogłam się całkowicie otworzyć. To było ważne dla mnie jako córki, ale też szerzej – artystki, człowieka, kobiety. A ponieważ byłam wtedy w silnym kryzysie, uczepliłam się tego jak szansy na poprawę własnego stanu.

Co było bezpośrednią przyczyną tego kryzysu?

M.P.: Takie momenty przydarzają mi się w życiu cyklicznie. Zapaść nadchodzi zazwyczaj po ukończeniu dużego projektu artystycznego. Wydaje mi się wtedy, że to wszystko – robienie sztuki i spalanie się



w niej – nie ma w dzisiejszych czasach żadnego sensu. A przecież sztuka jest dominantą mojego życia. Nie mam dzieci. Mam fantastycznego partnera, z którym idziemy przez życie, ale czasami pojawia się poczucie wyrwy, kosmicznej dziury każące mi się zastanowić, czy aby na pewno warto poświęcić całą egzystencję sztuce.

M.P.: Ja nie mam dzieci. O to też chciałeś mnie zapytać?

J.P.: Nigdy nie pytałem o to głośno, ponieważ zawsze miałem poczucie, że to jest niezwykle intymna, a jednocześnie bardzo silna decyzja, którą bez względu na konsekwencje – bo trudno przewidzieć jej skutki – należy po prostu uszanować. Właściwie gdybym tak chciał procentowo ustalić, to na osiemdziesiąt procent podzielał twój decyzję. Być może na poboczach tego pytania leży również współodpowiedzialność za ten wybór. To znaczy, jak dalece, absolutnie poza świadomością, rodzic wpływa na takie decyzje. Bo teraz myślę, że silny lęk o rodzica może stać się zaczątkiem postanowienia w dorosłym życiu. Żeby nie skazywać własnego dziecka na ten rodzaj cierpienia.

M.P.: Tak naprawdę dokładnie o to chodzi. Przecież u nas było w chuj dużo miłości. Ty i mama bardzo mnie kochaliście, a mimo to nie byliście w stanie sprawić, że bym się czuła bezpieczna. Dla mnie dzieciństwo to jest – tylko proszę, niech cię to nie rani – jednak przede wszystkim czas mroku. Strachu. I brzucha spiętego. Ten mrok był rozświetlany nieprawdopodobnymi, spektakularnymi, bajecznie pięknymi fajerwerkami. Ale w tym najwcześniejszym czasie było dużo cierpienia, z którym sobie nijak nie mogłam poradzić, no bo dziecko nie jest w stanie tego zrobić. Bo sobie jeszcze wymyśliło, że uratuje rodziców, że ich ochroni. I że wszystkiemu sprostą.

A to są rzeczy niemożliwe. To jest ponad siły. Więc w temacie dzieci mam spokój. Bo ja w pewnym sensie już je miałam. Was. I teraz muszę odpocząć. Edek miał od samego początku podobne podejście. Myśmy się tak po prostu znaleźli. Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, że ta decyzja jest trudna i że bywa też smutna. I że zawsze stoi za nią jakiś powód. I dlatego wkurwiają mnie ludzie, zwłaszcza kobiety, od których w tym temacie doświadczyłam sporo agresji, bo potrafią być bezwzględne i okrutne w swoich ocenach. Nieposiadanie dziecka nie czyni mnie gorszym człowiekiem. Ale na pewno zostawia bolesny znak zapytania. I tęsknotę.

Gdy zaczynaliśmy z Janem nasze rozmowy, byłam po ukończeniu kolejnej płyty, a głowa buzowała mi od pytań: „Jaki to ma sens?”, „Może życie jest gdzieś indziej?”. Pomyślałam: „Pójdź do tego dziada Jana i go zapytam o wszystko”. Bo w jakimś sensie jest odpowiedzialny za to, że jestem, i za to, kim się stałam. Może mi powie, jak sobie z tym wszystkim radzić.

I jeszcze chciałam udowodnić, że rodzina to nie tylko mama, tata, córeczka, braciszek, niedzielny obiad, że można mieć też rodzinę popieprzoną i być totalnie harmonijną, szczęśliwą osobą. To było dla mnie takim wytrychem: odstawanie jako źródło siły kontra przyłączenie do tak zwanej normy.

Na czym polega popieprzenie waszej rodziny?

M.P.: Na tym, że wszystko jest możliwe. W naszej rodzinie możesz zapytać swojego ojca, czy spał kiedyś z chłopakiem albo z prostytutką, a on nie powie: „Dziecko, czyś ty oszalała?”, tylko poważnie się do tego odniesie. Trzeba jedynie liczyć się z tym, że odpowiedź może być bolesna.

MICHAŁ NOGAŚ

.....



Wszystkie cytaty pochodzą z książki Marii Peszek „Naku*wiam zen”, wyd. Marginesy, Warszawa 2022



◀ FOT.DAWID GRZELAK /WYDAWNICTWO MARGINESY

Maria Peszek

• ur. w 1973 r. aktorka filmowa i teatralna, piosenkarka, autorka tekstów, córka Teresy i Jana, siostra Błażeja

Jan Peszek

• ur. w 1944 r., aktor filmowy, teatralny i telewizyjny, reżyser, pedagog, ojciec Marii i Błażeja, mąż Teresy

J.P.: Pełna zgoda. Nasza rodzina z pewnością wymyka się wszelkim kanonom polskiej pruderii.

M.P.: *Jeden z naprawdę fantastycznych obrazów z dzieciństwa, jaki mam, wiesz, takich totalnie beztro-skich, jest goły właśnie. Z Łodzi. Jest już bardzo póź-no, a my z Błażem rozrabiamy i szalejemy w naszym pokoju. Wy już w łóżku, a raczej w łózkach, bo prze-cież wasza sypialnia była tak mała, że nie mieścił się po-dwójny materac i mieliście łóżko piętrowe. I ty przycho-dzisz do nas już któryś raz i mówisz: „Macie się natych-miaś uciszyć!”*

J.P.: Tylko że jestem goły.

M.P.: *Tak! Golusieńki, ale chcesz być groźny. I za każ-dym kolejnym razem strasznie się starasz być poważ-ny, ale ci się nie udaje, bo my cię roześmieszamy, ale sta-rasz się trzymać. W końcu przychodzisz z pasem w rę-ku, ale dalej goły, i mówisz: „Zamknąć jadaczki!”, a my w śmiech, bo to zestawienie nagości z pasem jakoś w ogóle nie jest groźne. Zwłaszcza że widzimy, że ci się wszystko od tego powstrzymywanego śmiechu trzęsie. A najbardziej fajfus i jajka.*

Mówi pan o pruderii w czasach, w których coraz więcej osób zdaje sobie sprawę, jak silny był przez dekady – wciąż jest – wpływ Kościoła katolickiego na naszą codzienność, kwestie tożsamościowe. Kiedy pan zdał sobie z tego sprawę?

J.P.: Już w dzieciństwie byłem silnie rozdarty. Byłem ministrem, synem ultrakatolika i kobiety, któ-ra – będąc katoliczką – chronicznie nie akceptowa-ła wszystkich zachowań kleru. Dziwna antynomicz-ność tego związku to były pierwsze sygnały. A roz-stałem się z Bogiem i z Kościołem – świadomie, na moich warunkach – jako student, czyli człowiek doj-rzały, w połowie lat 60. Zrozumiałem, że polski ka-tolicyzm, religia, wiara to były pęta, które tłumi-ły mnie od wewnątrz, nie pozwalały mi żyć na włas-nych warunkach.

Przysłuchiwanie się rozmowom dziadków, sposób, w jaki afirmowali życie, wszystko to sprawiło, że bar-dzo szybko przestała interesować mnie jakkolwiek wieczność. Przestałem wierzyć w obietnicę czegoś po, podobno lepszego. Nie, zapragnąłem, żeby dobre by-ło to jedyne życie, jakie mam, i postanowiłem go nie marnować – w żadnym z jego przejawów. Postawiłem na tolerancję, akceptację odmienności i praw do niej, czyli w rzeczywistości – na wolność. To stopniowo po-zwoliło mi uświadomić sobie, że instytucją najbar-dziej nietolerancyjną, homofobiczną, niszczącą wol-ność człowieka jest – paradoksalnie, bo przecież w in-nym celu został stworzony – Kościół.

Doszedł pan do tych wniosków, kiedy Kościół dla wielu był jedyną ostoją wolności, niezależności i niepodległości, gdy jego głową został Polak.

J.P.: Ależ ja nie byłem pozbawiony radości i entuzjazmu, kiedy papieżem został Polak! Tylko że w żadnej mierze nie było to oparte na jakichkol-wiek aspektach religijnych. On był świetnym mów-cą, showmanem.

Wybór Wojtyły budził we mnie entuzjazm, bo przez chwilę pomyślałem, że może w końcu spełni się marzenie mojego nieżyjącego już wówczas ojca, czy-li upadnie komuna. W czasie pontyfikatu Jana Paw-ła II miałem okazję spotkać się z nim kilkakrotnie, wie-działem, że on bardzo silnie akceptuje moje aktorstwo, mówił mi miłe słowa podczas rozmów w cztery oczy. Ale nie przeszkadza mi to w sposób jednoznaczny i z ogromnym niepokojem myśleć o niektórych aspek-tach jego działań, które od lat sukcesywnie wychodzą na jaw. Teraz rozumiem to „santo subito”, pośpiech, gwałtowność, konieczność natychmiastowego uczyn-nienia go świętym. Żeby się nie zdążyło okazać, że mo-że mieć na swoim wizerunku jakieś skazy...

M.P.: Ale to odejście Jana od wiary, cośczesne, jesz-cze przed moimi narodzinami, nie przeszkadzało nam zupełnie wspólnie chodzić do kościoła i śpiewać na głos wiele fenomenalnych pieśni. Mieszkaliśmy już w Krakowie, to były lata...

J.P.: ...ty byłaś w szkole podstawowej.

M.P.: Czyli 80. Chodziliśmy głównie pośpiewać, ale czasem się pomodlić. To bardzo ciekawe w kontekś-cie twoich doświadczeń, odejścia od Kościoła, bycia w awangardzie i z nią – głowa, intelekt od dawna wie-działy, jak się rzeczy mają, ale wciąż była w tobie po-trzeba uczestnictwa we wspólnocie, na swój sposób zresztą pięknej. Mieliliśmy szczęście, bo kościół, do któ-rego chadzaaliśmy, był niesamowity, grał w nim cudow-ny organista.

J.P.: Trafiłiśmy na mądrych księży, kanoników late-rańskich w Bożym Ciele. Ależ oni celebrowali wielko-postne uroczystości, to były istne dzieła sztuki! Dawa-

ło nam to tak bardzo wszystkim potrzebne skupienie, jakiś rodzaj resetu życia, rzeczywistości.

M.P.: Myślę, że większość ludzi tak właśnie zosta-ła skonstruowana – chcemy sobie coś uporządko-wać, bardzo wyraźnie coś ponazywać, ale nasze cia-ła i instynkty mają własne potrzeby. Nie ma w tym nic złego, to prawda o człowieku, którą często lekce-ważymy. Wyzwalające jest być niekonsekwentnym, mieć rysy na wizerunku. To też daje ludziom poczu-cie wspólnoty, że wszyscy w tym jesteśmy popieprze-ni, niedoskonalni, niekonsekwentni, robimy jedno, mówimy drugie.

M.P.: *Dopóki nie weźmie się całkowitej odpowiedzial-ności za własne, kurwa, szczęście, to nie można być wol-nym. Dlatego mój ateizm jest dla mnie tak ważny. Nie ma Boga, na którego można liczyć i czekać, że cię uratuje.*

J.P.: Albo usprawiedliwi.

M.P.: *My ciągle czekamy, że nam jakiś Jezus albo ksiądz, prezes czy rząd coś załatwi i ciągle mamy żal. I wszystko, co jest jeszcze piękne, te resztki piękna w Pol-sce, są tak chwastami żalu zarośnięte, że ledwo dyszą.*

Nie mam dzieci. Mam fantastycznego partnera, ale czasem pojawia się poczucie kosmicznej dziury

J.P.: *Mam ten sam pogląd.*

M.P.: *Też cię wkurwiają ludzie, którzy z żalu robią sens życia? Bo u nas cierpienie, najlepiej zbiorowe, jest tożsamością narodową. Polska to wspólnota oparta na ranach, którym nie dajemy się zagoić. Ze strachu, że jak się zagoją, to stracimy siebie? Czym byśmy byli bez te-go cierpienia, skoro tylko w nim się jednoczymy? I tylko w nim jesteśmy naprawdę dobrzy.*

J.P.: *Polak, cierpiąc, ma poczucie, że posiadał strasz-liwą władzę i ta władza go opanowuje. I niszczy wszystko. To się bierze oczywiście z naszej strasznej historii katolicyzmu, który jest najciemniejszą religią na świecie. A w polskim wydaniu to jest w ogóle pie-kło. I jeżeli szatan istnieje, to jest nim instytucja pol-skiego Kościoła.*

Człowiekowi często zbyt łatwo przychodzi akcepta-cja ogólnych zasad współżycia, nawet jeśli całkowicie się z nimi nie zgadza.

Mówi pan to z pozycji mędrca, aktora uznanego za narodowe dobro. Gdy jednak kobieta o blisko trzy dekady młodsza, pańska córka, śpiewa ze sceny, że „wisi jej krzyż” i że „męczy ją Polska”, jest równana z błotem, obrażana, wyzywana od najgorszych.

J.P.: Mniej mnie boli atak na moje dziecko, ponie-waż ja to dziecko zbyt cenię – i jako człowieka, i ja-ko artystkę. Natomiast rozwściecza mnie głupo-ta i infantylizm tych ataków. Znam ich mechanizm, tu w rzeczywistości chodzi o sprawowanie władzy. Ci, którzy Marię atakują, są po szalenie dla nich wy-godnej stronie mroku. Do tych ludzi nie dociera ży-cie, ale jakieś prymitywne banialuki, które wciska-ją innym wyłącznie po to, by utrzymać w ryzach bezkształtną masę, dzięki niej się stale wzbogacać i sprawować władzę.

Z jakim my prymitywizmem mamy do czynienia! To on mnie najbardziej w tej reakcji wobec artystki Peszko rozsierdziło.

Peszko, przypominajmy.

M.P.: Małopolski marszałek, Kozłowski, powie-dział: „Po moim trupie odbędzie się koncert artystki Peszko w Teatrze im. Słowackiego”.

Pamiętam, że gdy ukazał się singiel Marii „Sorry Polsko” – pracowałem wtedy jeszcze w radiowej Trójce – jeden ze słuchaczy napisał: „Jak się tej Pe-szek nasz kraj nie podoba, to niech wypierdala”.

M.P.: Chyba wiemy, na czym polegają problemy współczesnej Polski, wszystko zostało już trafnie na-zwane. A co zrobić, jakich środków użyć, by to się wreszcie zmieniło? Bardzo bym chciała, żeby – też czytając tę książkę – Polacy wreszcie zrozumieli, że w rozregulowaniu nie ma niczego złego. Każdy z nas odstaje od normy, każdy z nas ma jakieś defek-ty, to wcale nie musi prowadzić do agresji, żalu, dal-szych podziałów.

Wiesz, co by się stało, gdybyśmy sobie wszyscy uświadomili, że nie będziemy nigdy doskonali, my, Polacy? Jak bardzo obniżyłby się nam poziom stra-chu przed tym, co powie lub zrobi ten drugi obok! U każdego, z każdej frakcji politycznej, zapewniam.

Co nam szkodzi pokazać tym po drugiej i jeszcze kolejnej stronie tego muru polskiego, że w dużej mie-rze jesteśmy tacy jak oni? Wiesz, ilu nakazów i zaka-zów religijnych – wymyślonych nie wiadomo kiedy i po co – przestalibyśmy się obawiać? Że można być tylko w jednym związku przez całe życie, że kochać można tylko jedną pleć, że seks tylko małżeński i tylko hetero.

Ta zmiana jest możliwa, ale pokojowa, nie na ostro, nie na noże. Widziałam, jak wiele dobrego zrobił se-rial „Królowa”, w którym wystąpiłam w roli córki głównego bohatera. Nagle tak wiele osób, które wcześ-niej nie miały o tym pojęcia, odpychały to od siebie, zaakceptowało różnorodność, nieheteronormatyw-ność, całe to rozregulowanie – nie tylko postaci gra-nej przez Andrzeja Seweryna. Czasem myślę, że kilkanaście lat na scenie, śpiewanie o tym, wykrzykiwa-nie ważnych haseł nie dało tyle, ile serial, którego sta-łam się częścią.

J.P.: Ludzie chcą być akceptowani.

M.P.: Czyli co twoim zdaniem należy robić, by to wszystko drgnęło w posadach?

J.P.: Nie ustawać, ciągle to powtarzam. Nie wolno zmieniać kierunku, który się obrało. Ja się cały czas trzymam mojego bohatera z Bernharda, który bez-ustannie przypomina: „Nie wolno nam się poddawać, nie poddawać się ani na chwilę. Jeśli choć na chwilę się poddamy, wszystko przepadnie”.

M.P.: Jan jest ode mnie o 30 lat starszy, a nie prze-staje mnie zadziwiać jego zawziętość, ona jest praw-dziwie ożywcza. Nasza generacja takiej cechy już nie ma. Inaczej kombinujemy, inaczej staramy się prze-trwać. Gdy patrzę dziś na młodych ludzi, o trzy deka-dy ode mnie młodszych, to bardzo szybko dociera do mnie, że oni też są już zupełnie inni. Mają gdzieś to, o czym mówi Jan. Ich zażartość jest zupełnie gdzie in-dziej. Ale jest. Jeśli świat ze swoimi normami jest dla nich zbyt brutalny, nieodpowiedni – stwarzają własny. Nawet jeśli jeszcze nie wiedzą, kim są – dziewczyną czy chłopakiem – nie przeraża ich to. Szukają. Oni są nieustraszeni. Wzrusza mnie to i zachwyca.

Mamy naprawdę wszystko, czego nam do bycia szczęśliwymi potrzeba, czyli siebie samych. Wiem, że to brzmi utopijnie, jakoś banalnie, ale może by się każ-dy choć przez chwilę zastanowił.

Czyli że nie jest nam potrzebny żaden deus ex machina, żeby się przestrzeń, w której żyjemy, mogła naprawić?

J.P.: Nie, nie musi przyjść wyzwoliciel.

M.P.: Nie potrzebujemy żadnego chrztu cudow-nego ani objawienia. Ja bym chciała, żeby Polacy na-uczyli się ze sobą rozmawiać tak, jak to ma miejsce wśród Peszków.

Spalenie?

J.P.: *Spalenie. Absolutnie. Kremacja.*

M.P.: *A słyszałeś o pięknej idei, o której właśnie roz-mawiam z Edkiem, bo my mamy dość specyficzną sytu-ację... My naprawdę nie mamy za bardzo gdzie się ze so-bą podziąć albo myśleć, że ktoś coś z nami zrobi. I jest taka idea, która mnie zachwyciła. Przed śmiercią decy-dujesz, że jak umrzesz, to twoje ciało zostaje przygoto-wane w specyficzny sposób. Po kremacji mieszają w spe-cjalnej kapsule twoje prochy czy co tam z ciebie zostanie i z tych resztek przygotowują kosmokompost. Wybie-rasz drzewo, które jest ci bliskie, gatunek drzewa. I sa-dzonka tego drzewa wyrasta z ciebie, z tego kompostu. Są całe cmentarze, a raczej parki umarłych. Wiem, że na pewno we Włoszech i w ogóle w Europie Zachodniej. I to drzewo korzeniami zużywa wszystko, co z ciebie zosta-ło, karmisz sobą drzewo. Nie ma grobów, na drzewach są tabliczki. Na przykład: wierzbą płacząca – Maria Pe-szek. Tyle. Strasznie mi się podoba ta idea. Jest konkret-na i piękna. Tak bym chciała.*

J.P.: *Takie drzewo można objąć... ●*



Myślę, że gdybym przebywała w zupełnie dzikim miejscu, to potrafiłabym nawet usiąść na ziemi. Przejść gołymi stopami po trawie. Teraz to jest dla mnie niewyobrażalne

Z **LAURĄ AKKOT**, AUTORKĄ KSIĄŻKI „MOJE ŻYCIE Z OCD”, KTÓRA OD PRAWIE 20 LAT BORYKA SIĘ Z ZABURZENIAMI OBSESYJNO-KOMPULSYJNYMI, ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Czego się pani boi najbardziej?
– Brudu.

Wiążą się z nim zarówno moje obsesyjne myśli, jak i moje kompulsje, czyli powtarzane czynności.

Zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne dawniej określano mianem nerwicy natręctw. Natręctwa mogą być różne, u mnie jest to głównie mycie rąk, czasem całego ciała. W domu czuję się troszeczkę swobodniej, ale kiedy tylko wyjdę, muszę być cały czas w gotowości. Czujna na to, co się dzieje dookoła, czy ktoś mnie nie dotknął, czy ja czegoś nie dotknęłam. Analizuję każdy swój ruch i notuję w pamięci „punkciki” – gdzie się mogłam ubrudzić, w jakim momencie, jak bardzo. Potem sobie o nich myślę i decyduję, czy wystarczająco dobrze się umyłam, czy odpowiednio doczyściłam ubrania. I to jest właściwie najgorsze.

Te „punkciki”?

– Te myśli! Bo zdarzają się sytuacje, które generują po kilka, kilkanaście takich punktów na minutę. Przykład z wczoraj. Umówiłam się z koleżanką na mieście, w lokalu. Plano-

wanie jest dla mnie bardzo ważne, bo wtedy czuję się spokojniejsza. I kiedy planowałam to wyjście, to nie uwzględniłam, że może się zdarzyć coś nieprzewidzianego. Tymczasem wpadliśmy na grupkę znajomych, którzy w dodatku nic nie wiedzą o moich problemach. Tak się tym zestresowałam, że zamiast robić wszystko powoli, patrzeć, gdzie siadam, czy stolik jest czysty, czy o nic nie zawadziłam, rozproszyłam się. Kiedy się zorientowałam, że niechcący dotknęłam nogą stołu, to już zanotowałam sobie w głowie punkt. Zahaczyłam o coś włosami – kolejny. Nieuważnie odebrałam zamówienie – jeszcze jeden. Oparłam się o bar – i tak dalej. W krótkim czasie zrobiło się tych punktów kilkadziesiąt. Bardzo potrzebowałam je w spokoju zapisać i przemyśleć, ale nie byłam w stanie. Nerwowo się rozglądałam. Byłam cała spięta. Nie potrafiłam się skupić na rozmowie z koleżanką. Ona wie o moich problemach, ale i tak sobie z tym nie poradziłam. Mówi się, że myślenie nie boli. No mnie boli. I to bardzo. Można nawet powiedzieć, że fizycznie.

Jak się skończył ten wieczór?

– Dla mnie bardzo szybko. Wróciłam do domu. Na początku cała się wykapałam... Potem próbowałam się zrelaksować i wrócić do tych punktów, które spisałam po drodze w telefonie. Chciałam je przeanalizować, ale byłam tak zdenerwowana, że mi się to

nie udało. Może dziś to zrobię. Muszę każdy punkt z osobna przemyśleć, odtworzyć tę sytuację, żeby stwierdzić, że to moje wczorajsze mycie wystarczyło.

A co, jeśli się okaże, że któryś z tych punktów pani przeoczyła?

– Nie ma takiej opcji! To by było nie do zniesienia.

A co, jeżeli przypomni sobie pani, że jednak ubrudziła się bardziej, niż się pani początkowo wydawało?

– Będę musiała jeszcze raz bardzo dokładnie umyć siebie, a może i całą łazienkę, przedpokój, pokój, bo przecież brud mógł się już roznieść.

Co pani uznaje za brudne?

– To jest dziwne i nieracjonalne. Wynika z mojego subiektywnego odbioru danego przedmiotu czy człowieka, a nie z tego, czy coś jest uprane albo ubłocone. Jedni ludzie są dla mnie brudni, inni czysti. Zależy to głównie od tego, jaką mam z nimi relację. Obcy ludzie zazwyczaj są brudni, bo nic o nich nie wiem. Ale znajomi też bywają brudni i też mogą nie chcieć ich dotykać. To się wiąże z moim aktualnym stanem, bo ta choroba ma różne natężenie. Raz jest lepiej, raz gorzej, a czasami bardzo źle.

I co wtedy?

– Wtedy czuję się tak, jakby brud był praktycznie wszędzie. Jeżeli się ubrudzę jedzeniem, które sama sobie przygotowałam, to mogę to po prostu splukać, i już. Nie muszę się szorować. Ale jeśli dotknę czegoś, co jest dla mnie wyjątkowo brudne, na przykład rączki w autobusie, to mimo że tego brudu gołym okiem nie widać, muszę odprawić swój rytuał. Albo zrobić cokolwiek innego, co pozwoli mi ten brud zmyć.

Rytuał mycia rąk.

Najpierw zmywam zewnętrzną, brudną część mydła, potem – jeśli nie jestem u siebie w domu – myję kurek. Następnie wewnętrzną część dłoni i miejsca łączenia się palców z resztą dłoni, potem palce od strony wewnętrznej, miejsce obok miejsca, szoruję kilkakrotnie każdy centymetr kwadratowy. Tu jest najgorzej, bo najłatwiej się ubrudzić. Potem palce od strony zewnętrznej, potem zewnętrzną część dłoni, potem każdy palec z boku, z obu stron, potem każdy palec po kolei obejmuję drugą ręką i myję, potem już tylko nadgarstki. Czasem tylko nadgarstki, czasem aż do łokci, czasem jeszcze dalej, w zależności od tego, gdzie się „ubrudziłam”. Następnie płuczę wszystko czystą bieżącą wodą, bardzo dokładnie, tak by nie zostało ani odrobiny mydła, nie tylko widocznego, ale też odczuwalnego przeze mnie. Jeśli miałam kontakt z brudną wodą lub czymkolwiek, co mogło dostać się za paznokcie, do tego dochodzi jesz-

*cze czyszczenie paznokci: nabieranie mydła za paznokcie, potem wypłukiwanie, każdy pa-
lec po kolei. A jeśli przypadkiem dotknę kra-
nu lub umywalki, muszę zaczynać wszystko
od początku. A im większą powierzchnię rąk
myję, tym łatwiej czegoś przy tym dotknąć.
I czasem tak stoję nad tą umywalką i płaczę
z braku sił.*

Co jest dla pani najbrudniejsze?

– Może od drugiej strony: najczystsza wyda-
je mi się natura nieskażona przez człowie-
ka. Myślę, że gdybym przebywała w zupeł-
nie dzikim miejscu, to potrafiłabym nawet
usiąść na ziemi. Przejść gołymi stopami po
trawie. Teraz to jest dla mnie niewyobraża-
ne. W mieście wszystko jest brudne.

Jak pani czuje ten brud?

– Jakbym cały czas miała coś na rękach. Jak-
by mnie to oblepiało. Nawet jeśli nic nie wi-
dać, i tak to czuję. Jeśli się rozkojarzę i za-
pomnę, że się ubrudziłam, to i tak za chwi-
lę sobie o tym przypominam: „Zaraz, prze-
cież coś tu mam na tym palcu!”. Tak mi się
to wlewa w psychikę. Wiele zależy od natę-
żenia brudu. Jeżeli wychodzę z domu i doty-
kam rzeczy, które były w planie, to mam ta-
kie odczucia jak przeciętny człowiek, który
po powrocie z miasta musi sobie umyć ręce.
Z tym że ja muszę je umyć dokładniej. Ale je-
żeli zdarzy się coś niezaplanowanego albo
się zestresuję i dotknę czegoś w moim prze-
konaniu bardzo brudnego, to zwykle muszę
natychmiast wrócić do domu i się umyć. Bo
mycie się w miejscu publicznym to dla mnie
też jest problem. To nie moja umywalka. Nie
moje kurki. Muszę uważać, żeby umytą ręką
niczego już nie dotknąć. Już wiem, co jest
dla mnie szczególnie brudne. Wizyta u den-
tysty!

Wydaje się, że to dość sterylne miejsce.

– Nie umiem tego wyjaśnić, ale po powro-
cie od dentysty muszę się cała porządnie wy-
kąpać. Wyszorować każdy kawaleczek ciała.
Umyć włosy. Włosy mam zresztą zniszczone
od ciągłego szorowania ich mocnym szam-
ponem.

Dentysta zagląda pani do buzi. Szoruje pani też usta wewnątrz?

– Kiedyś, gdy brud dostał się do wnętrza mo-
jego ciała, to było dla mnie najgorsze. Nie pa-
miętam, jak w ogóle znosiłam wizyty u den-
tysty. Chyba chodziłam w ostateczność-
ci. A potem wnętrze ust szorowałam. W tej
chwili zmieniłam podejście. Jeśli coś się
brudnego dostanie do środka, a nie jest dla
mnie szkodliwe w takim obiektywnym sen-
sie, to wierzę, że mój organizm sobie z tym
poradzi. Przetworzy ten brud na czynniki
pierwsze i się go pozbędzie.

Jak rozumiem, to zaburzenie rządzi się swoją logiką.

– Ludzie czasami mówią: „Ale to przecież
wcale nie jest brudne, bo zostało zdezynfe-
kowane”. Dla mnie to bez znaczenia. Co z te-
go, że ktoś coś popsikał substancją dezyn-
fekującą, skoro potem mógł niechący dot-
knąć tego brudną ręką albo coś się mogło
dostać z powietrza. Zarazki może i zosta-
ły wybite, ale brud wciąż tam jest i trzeba go
porządnie splukać.

Powiedziała pani, że pani dom jest czysty.

– Czystszy od innych miejsc, ale nie ma opcji,
żeby czegoś brudnego do niego nie wnieść,
i wtedy trzeba uważać, żeby tego nie roz-
nieść. Jeśli wniosę do domu coś brudnego
i zostawię, dajmy na to, w łazience, to potem
sprawdzam po kilkanaście razy, czy na pew-
no dobrze zamknęłam drzwi, żeby kot tam
nie wszedł i nie rozniósł tego brudu. Jedno
z moich mniejszych natręctw to sprawdza-
nie klamki. Czasem też po kilkanaście razy
włączam i wyłączam długopis albo powta-
rzam inne czynności, żeby się upewnić, czy
je prawidłowo wykonałam, ale u podłoża ich
wszystkich jest lęk przed brudem.

Zaprasza pani kogoś do siebie?

– Staram się nikogo do mojego domu nie
wpuszczać. Jeśli już, to musi być ktoś za-

ufany. Żyję z dwoma kotami, ale one są dla
mnie czyste, bo nigdzie nie wychodzą.

Jak wygląda pani zwykły dzień?

– Pracuję obecnie jako programistka. W fir-
mie, w której są przestronne biura. Co-
dziennie się tam sprząta. Ludzi uważam za
w miarę czystych. Mam swoje biurko. Je-
stem w stanie się przy nim zrelaksować
i skupić na zadaniach. A jak pracuję zdalnie,
to w ogóle nie ma kłopotu. Ale jeżeli to jest
praca bardziej z ludźmi, to już dla mnie duże
wyzwanie. A ja muszę pracować, żeby mieć
odpowiedni dochód, bo dużo pieniędzy idzie
na tę chorobę. Nie mogę sobie pozwolić na
rentę – choć wiem, że mogłabym się o nią
starać – bo się z niej nie utrzymam.

Na co idą te pieniądze?

– Zużywam bardzo dużo chusteczek jedno-
razowych, szmatek, mydeł, worków, worecz-
ków. Jeśli coś jest „brudne”, najpierw to za-
bezpieczam w woreczku, a potem dopie-
ro czyszczę albo wyrzucam. Czasami kie-
dy muszę wynieść śmieci, to wkładam je do
drugiego worka, bo coś wystaje i nie chcę te-
go dotknąć. To jest strasznie nieekologiczne,
źle się z tym czuję, ale nie potrafię inaczej.
Dużo rzeczy, czasem drogich, też wyrzucam,
jeśli nie da się ich wyczyścić. Niektórych bu-
tów w pralce nie wypiorę.

W pracy ktoś wie o pani chorobie?

– Dwie osoby, ale tylko ogólnie. Powiedzia-
łam im, że choruję na zaburzenia obsesyjno-
kompulsyjne, i dodałam, że w moim przy-
padku to się wiąże z brudem. Na szczęście
teraz pracuję głównie z komputerem. Dla
mnie to idealne rozwiązanie. Najgorzej by-
ło, kiedy pracowałam w edukacji. Codzien-
nie przewijało się mnóstwo ludzi. Pomiesz-
czenia, w których odbywały się zajęcia, by-
ły ciasne i dość brudne. Do tego kreda, gąb-
ki, których wszyscy dotykali. Masa prac do
sprawdzania, które też przechodziły z rąk do
rąk. Czasami byłam tak bardzo tym zmęczo-
na, tak napięta, że parę razy się popłakałam.
W końcu odeszłam. W obecnej pracy jest
w porządku, choć też zdarzają się różne sy-
tuacje. Jedna wiązała się z wyjściem integra-
cyjnym. Głosowaliśmy na kilka opcji, w tym
na wyjście do restauracji i nad jezioro. Wy-
grało jezioro, co oznaczało, że nie mogę iść.
Tam jest wszędzie piasek. Nie przejdę po
nim. Jak się dostanie do butów, to będą do
wyrzucenia. Poza tym wszyscy będą tacy...
brudni. Będzie panował rozgardiasz. Nie
zniosę tego. Gdybyśmy poszli do lokalu, sie-
dzieli przy stoliku, to jeszcze byłoby do przy-
jęcia. Nawet escape room, mimo że dotyka
się tam wielu rzeczy, jest dla mnie okej.

Naprawdę?

– Bo to jest sytuacja przewidywalna. Jestem
w stanie się do niej przygotować, odpowied-
nio ubrać. Przeżyję. Natomiast plaża jest
zupełnie nie do przewidzenia. Nakręciła-
bym się wtedy tak jak podczas wczorajszego
wyjścia. W głowie mnożyłby mi się kolejne
punkty, które musiałabym później przeana-
lizować, i byłoby ze mną tylko gorzej.

Co to znaczy dla pani odpowiednio się ubrać?

– Przede wszystkim założyć spodnie. Nie
chodzę w sukienkach ani w spódnicach, bo
wtedy mam gołe nogi i mogłabym zahaczyć
o coś brudnego. W komunikacji miejskiej
to się często zdarza. Na pewno założyłabym
też długi rękaw. Spięła włosy. Latem rzadko
chodzę bez skarpetek, bo a nuż coś dostanie
się do butów albo ktoś mnie zaprosi do sie-
bie i trzeba będzie je zdjąć. Boso bym w czy-
imś domu nie stanęła.

Zdarza się pani nosić rękawiczki?

– Kiedy przyszedł COVID, na zakupy cho-
dziłam w jednorazowych. I to było super, bo
już nikt na mnie dziwnie nie patrzył. W ogó-
le pozwoliłam sobie na więcej, bo wszyscy
wtedy byli dziwni. Zdarzało mi się nawet za-
kładać rękawiczki bawełniane. Pandemia,
paradoksalnie, była dla mnie dobrym okre-
sem. Po pierwsze, mogłam się przestać kryć
z tym, że boję się czegoś dotknąć, inni też się

bali. Po drugie, ludzie zmienili swoje podej-
ście do dotyku. Zaczęli trzymać dystans. No
i trzecia rzecz – praca zdalna.

Co pani robi przed wyjściem?

– Sprawdzam, czy wszystko mam. Odliczam
sobie w głowie: klucze do mieszkania, port-
fel, chusteczki, telefon i tak dalej. Teraz wy-
mieniłam je w niewłaściwej kolejności, bo
jestem zdenerwowana...

Zwykle wymienia je pani w określonej ko- lejności?

– Tak, bo tylko wtedy mam pewność, że ni-
czego nie zapomnę. Do tego kluczyki i doku-
menty, jeśli jadę samochodem. Albo aplika-
cja w telefonie, jeśli jadę komunikacją miej-
ską. Podczas COVID-u do tej listy dochodziły
jeszcze maseczki i rękawiczki. Mam też taki
rytuał przed wyjściem, że sprawdzam, w ja-
kim stanie zostawiam mieszkanie. Przede
wszystkim czy koty mają jedzenie i picie. Czy
kuwety są czyste. Czy okna są zamknięte. Po-
tem się ubieram, a następnie patrzę, jak wy-
glądam i czy mam na sobie najważniejsze
ubrania. Do tego stopnia nie ufam swoje-
mu mózgowi, że muszę sprawdzić, czy aby
na pewno mam na sobie majtki, biustonosz,
skarpetki. Ostrożnie zamykam drzwi, żeby
koty nie uciekły. I jestem wolna. Chyba że coś
się stało, czymś się ubrudziłam. Wtedy notu-
ję w głowie punkty do przemyślenia na póź-
niej. No a potem generalnie staram się prze-
żyć te parę godzin poza domem tak, żeby
produkować jak najmniej kolejnych punk-
tów. Czasem bardzo chciałabym sobie dać
z tym wszystkim spokój, naprawdę. I po pro-
stu cieszyć się resztą dnia i wolnym czasem,
którego mam tak mało, ale nie umiem. Tego
czasu mam tak niewiele nie tylko dlatego, że
dużo go schodzi na myśli i czynności związa-
ne z moim zaburzeniem, ale też z tego powo-
du, że leki, które przyjmuję, działają nasen-
nie. Dużo śpię. Potrafię się położyć w piątek
po pracy i wstać dopiero w niedzielę.

Rozumiem, że te obsesyjne myśli, anali- zowanie tych punktów to coś, co wypełnia cały pani umysł?

– Tak! I to jest takie męczące. Wczoraj za-
dzwoniła do mnie mama i właśnie mówiłam
jej, jaka jestem tym już strasznie umęczona.
Jak mnie to przerasta. Choć w lepszych
okresach zdarza się, że potrafię myślenie
o tych punktach odłożyć na później i zająć
się innymi rzeczami. Generalnie jestem dość
aktywna intelektualnie. Lubię wyzwania.

Na przykład?

– Konkursy lamigłówkowe. Parę lat temu
zrobiłam kurs podstaw farmakologii online,
dla przyjemności. Dużo tracę przez choro-

Jedni ludzie są dla mnie brudni, inni czyści. Zależy to głównie od tego, jaką mam z nimi relację

bę, ale też potrafię się cieszyć życiem. Mam
przyjaciół, znajomych. Interesuję się sztuką.
Nie jest tak, że moje życie jest tylko i wyłącz-
nie okropne. Po prostu mam lepsze i gorsze
okresy. Akurat teraz trafiła pani na gorszy.
Od pół roku, od grudnia, jest gorzej.

Coś się wydarzyło?

– Miałam wiele planów na zeszły rok, ta-
kich życiowych. Nie chcę wchodzić w szcze-
góły. W grudniu zdałam sobie sprawę, ile
z nich nie wyszło. Ilu rzeczy nie zrobiłam. Ile
zawaliłam. I wtedy tak się zapadłam w so-
bie. Bo nie powiedziałam pani jeszcze, że po-
za zaburzeniami obsesyjno-kompulsyjnymi
mam też zdiagnozowaną nawracającą de-
presję. I ona w tym grudniu właśnie wróci-
ła. Na szczęście były święta. Wzięłam wolne
z pracy. Przez kilka tygodni nie byłam w sta-

nie wstać z łóżka. Od tego czasu tak się to
trochę ciągnie. Jestem bardzo zestresowana,
a od tego zależy nasilenie moich natręctw.
Ostatnio kiepsko sobie z nimi radzę, zabiera-
ją mi znacznie więcej czasu niż zwykle. Ale
też mam w głowie, że bywa lepiej i że jesz-
cze będzie super. Jeszcze wrócę do tych swo-
ich planów.

Co w nich jest?

– Chciałabym na przykład kupić pianino
i wrócić do grania, które wiele lat temu po-
rzuciłam. Przymierzam się do własnej dzia-
łalności artystycznej. Ale najpierw chciała-
bym sobie jakoś poukładać w tej głowie.

Ma pani na myśli psychoterapię?

– Raczej nie. Mam trzydzieści dziewięć lat
i od dwudziestego drugiego roku życia le-
czę się psychiatrycznie, zresztą u tego same-
go lekarza, którego bardzo cenię. Dużo roz-
mawiamy. Natomiast co do psychoterapii,
to żadna, na której byłam – a spróbowałam
kilku, w tym dwóch dłuższych, ponadroc-
nych – mi nie pomogła. Żadnej poprawy. Nie
podziałałaby na mnie również terapia, któ-
ra polega na tym, że pacjenta wystawia się
na bodziec, po czym ma się on powstrzymać
od reakcji, czyli w moim przypadku – mam
czegoś dotknąć i nie mogę się umyć. Muszę
to przetrzymać. U mnie to by się nie spraw-
dziło, bo ja jestem w stanie przetrzymać taką
sytuację nawet kilka dni. Tyle że przez te kil-
ka dni właściwie nie istnieje. Nie ma mnie.
Skupiam się na tym, żeby przetrwać. Dopie-
ro kiedy się umyję, wracam do życia.

Co to znaczy, że pani nie istnieje?

– Cały czas myślę o tym brudzie, co mi całko-
wicie ogranicza funkcjonowanie. Kumulu-
je się we mnie tyle napięcia, że staje się to
nie do wytrzymania. Wydaje mi się, że dru-
gi człowiek nie potrafi mi pomóc. Tylko ja
sama mogę to zrobić. Ja sama mogę sobie
uporządkować w głowie. Czasem to się uda-
je i wtedy przez dłuższy czas jest dobrze.
Mogę zapraszać do siebie ludzi. Mniej rze-
czy wydaje mi się brudnych. Mniej jest tego
mycia. W dobrych okresach jestem w stanie
znieść więcej. Robię też wtedy więcej rze-
czy, które pozwalają mi się pozbyć napięcia.
Na przykład gra na pianinie jest takim do-
brym sposobem.

Co jeszcze pani pomaga?

– Na pewno dobre relacje z ludźmi. Kiedyś
widziałam film na temat nerwicy natręctw,
który nie był ani specjalnie dobry, ani do
końca prawdziwy, ale miał jedną wartość.
Pokazywał, że ludziom ustępowały objawy,
kiedy skupiali się na innych. Coś w tym jest.
Kiedy jestem zaangażowana w dobre relacje

Jedni ludzie są dla mnie brudni, inni czyści. Zależy to głównie od tego, jaką mam z nimi relację

z ludźmi, czuję się lepiej. Na szczęście mam
takie osoby wokół. Nie tylko bliską rodzinę,
ale też znajomych, wśród których czuję się
dobrze. Bo wiem, że mnie lubią taką, jaka je-
stem. Nie muszę przed nimi udawać.

Ma pani poczucie, że rozumieją, na czym polega pani choroba?

– Z tym akurat bywa różnie. Staram się
to wyjaśniać, ale jeśli ktoś mnie dopytuje:
„A dlaczego tak to przeżyłaś?”, „Dlaczego
musisz się umyć?”, i widzę, że nie rozumię,
to proszę, żeby nie wnikał. „Jak widzicie, że
stoję i się zawieszam, bo myślę nad moimi
punkcikami, to przez chwilę dajcie mi spo-
kój. Nie wypytujcie”.





Od kiedy się pani boryka z tym zaburzeniem?

– Pierwsze objawy pamiętam z końca szkoły podstawowej. Zauważyłam, że po wufie myję ręce, a nie wszyscy to robią. Albo że na wycieczce mam opory, żeby trzymać się poręczy w publicznym miejscu, a inni takich oporów nie mają. Ale wtedy żyłam w miarę normalnie. Dopiero jakieś pięć, sześć lat później objawy zrobiły się na tyle intensywne, że zaczęłam się leczyć. Od siedemnastu lat jestem stale na lekach.

Czy te objawy wyglądały tak jak dzisiaj?

– To się bardzo zmienia. Wtedy dużo i często myłam ręce, ale nie pamiętam tyłu natrętnych myśli. Na pewno nie było tych punkcików. Mieszkalam wtedy z rodzicami i oni w pewnym momencie zauważyli, że coś jest nie tak. Nie widzieli mojego mycia rąk, bo się z tym ukrywałam. Ale widzieli mój stres. Któregoś dnia miałam wręcz problem z oddychaniem, nie umiałam się uspokoić. Nie wiem, czy to była panika, czy coś innego, w każdym razie tego dnia rodzice zawieźli mnie do lekarki pierwszego kontaktu. Weszłam do gabinetu i powiedziałam jej, że wydaje mi się, że mam nerwicę natręctw.

Skąd pani wiedziała?

– Zaciekawiona tym, co się ze mną dzieje, zaczęłam czytać książki psychologiczne, aż natknęłam się na taką o zaburzeniach obsesyjno-kompulsyjnych i zrozumiałam, że to jest to. Lekarka dopytała mnie jeszcze o różne sprawy, po czym wypisała skierowanie do psychiatry. Psychiatra potwierdził diagnozę, ale żeby wykluczyć przyczyny fizyczne, na przykład uszkodzenie mózgu, i w bezpieczny sposób wprowadzić leki, zalecił pobyt w szpitalu psychiatrycznym. Spędziłam w nim półtora miesiąca. Wspominam go bardzo źle. Pacjenci mnie nie rozumieli. Personel zresztą też nie. Nie mogłam się ustrzec przed dotykiem. Ciągłe byłam na niego narażona. Zdarzały się pielęgniarki, rzadziej lekarze, które traktowały pacjentów, jakby ci nie mieli własnego zdania. Czasem czułam, że nie mam nic do powiedzenia, ale jakoś to przeżyłam. I na tych lekach, które mi wtedy przepisano, jestem do dziś. Przez te lata oczywiście próbowałam innych, ale żadne nie były tak dobre.

Co to za leki?

– Inhibitory wychwytu zwrotnego serotoniny, w skrócie: SSRI, w dużej dawce. Kłopot w tym, że działają na mnie nasennie, osła-

biają mnie, sprawiają, że mięśnie mi drżą. Dlatego z moim lekarzem staramy się czasem uzupełniać je innymi, które trochę neutralizują te efekty uboczne.

Czy kiedykolwiek próbowała pani funkcjonować bez leków?

– Raz. Dziesięć lat temu. I to był najgorszy okres w moim życiu. Odstawiałam je stopniowo, tak jak należy, pod kontrolą lekarza. Przez pierwszy tydzień czy dwa czułam się fantastycznie. Odzyskałam energię. No ale zaraz zrobiło się znowu źle, a potem dużo, dużo gorzej. Byłam wtedy na studiach doktoranckich, więc wzięłam rok urlopu dziekańskiego. Nie wychodziłam z domu. Na szczęście miałam kogoś, kto się wtedy mną opiekował. Nie powiem, kto to był, bo jak najmniej chcę w tę historię wciągać innych ludzi. Moja doba wyglądała wtedy tak, że spałam trzy-cztery godziny, wstawałam rano, robiłam to, co niezbędne. Korzystałam z toalety, myłam się, przygotowywałam sobie jedzenie. Przy okazji tych czynności produkowały się dziesiątki albo setki punktów i całą resztę dnia i nocy poświęcałam na ich spisywanie i myślenie o nich. Mycie rąk zajmowało mi czasem trzy godziny.

Dlaczego?

– Bo na przykład niewystarczająco się skupiałam i nie byłam pewna, czy czegoś w międzyczasie nie dotknęłam, czy prawidłowo umyłam daną część dłoni. Wtedy całą czynność musiałam powtórzyć od nowa. I od nowa... Skórę na rękach, szczególnie na knykciach, miałam popękaną, czasem do krwi. I choć mnie te rany bolały, to i tak musiałam ręce umyć. Teraz już rzadko doprowadzam się do takiego stanu. Ale mam kłopoty z kręgosłupem od ciągłego schylania się nad umywalką. Czasem nie dają rady wystać w takim pochyleniu. Poza tym często stoję albo siedzę w dziwnych pozycjach. Na przykład kiedy jadę autobusem, a ktoś się nade mną nachyli, wyginam się nienaturalnie, żeby się odsunąć. Kiedy jadę pociągami, potrafię się przez godzinę nie opierać plecami o ławkę, bo ktoś coś na niej powiesił. Moje ciało jest tym już udręczone.

Myślała pani kiedyś o tym, skąd się to u pani wzięło?

– Badania pokazują, że można mieć pewne predyspozycje uwarunkowane genetycznie, które sprawiają, że w „sprzyjających” okolicznościach tego typu zaburzenia mogą się rozwinąć. Moja siostra nie ma takich problemów, choć wychowywałyśmy się razem, więc do tego muszą dochodzić czynniki indywidualne. Nikt nie ma idealnego życia.

Różne rzeczy w dzieciństwie się zdarzają. U mnie zdarzyły się takie, które sprawiły, że jestem nieśmiała, introwertyczna i mam w sobie dużo napięcia, które tak zaczęło się ujawniać. Dopiero niedawno dowiedziałam się od mojego lekarza, że z tą chorobą prawdopodobnie będę musiała żyć do końca. Gdzieś zdawałam sobie z tego sprawę, ale jednak smutno to było usłyszeć. Dlatego jeszcze bardziej mi zależy, żeby się doprowadzić do lepszego stanu. Samo nie przejdzie. Muszę się postarać, żeby te lepsze okresy były jak najczęstsze i jak najdłuższe.

Co temu sprzyja?

– Bardzo mi pomagają moje koty. Są ze mną od czterech lat. Nie mogę im powiedzieć, że im czegoś nie wolno, no bo to koty. Chodzą własnymi ścieżkami. Musiałam się nauczyć tolerować to, że gdzieś wejdą, przeniosą brud swoim ciałem. Zdarzyło mi się, że kot wskoczył do toalety. Wpadłam w panikę, bo musiałam go z tego brudu umyć, co mu się nie podobало, no ale zrobiłam to. Bardzo się staram, żeby miały jak najszczęśliwsze życie. One mnie trochę zmuszają do przewyżczania moich lęków. Poza tym jak mam depresję i mogłabym cały dzień przeleżeć w łóżku, to muszę wstać, nakarmić je, wyczesać, opróżnić kuwety. Przypominam sobie wtedy, że sama też muszę zjeść. Co mi jeszcze pomaga? Mimo wszystko wychodzenie z domu. Podczas pandemii spędzałam w nim bardzo dużo czasu i ni by mniej było tych czynników stresogennych, ale mam wrażenie, że przez to się trochę rozhartowałam. A nie mogę pozwolić, żeby moja choroba zawładnęła wszystkim. Muszę mieć postawione granice. Moi rodzice, którzy znają mnie najlepiej, nie zmuszają mnie do rzeczy wymagających ode mnie naprawdę dużego wysiłku, na przykład do przytulania się z rodziną, ale traktują mnie w miarę normalnie. I nie pozwalają na wszystko. To, czego na pewno mi nie wolno robić, to rujnować życia innym swoją chorobą. Nie mogę im mówić: „Nie dotykaj tego, umyj ręce”. Muszę się przełamywać, oczywiście nie siłą, małymi krokami, ale jednak. Kiedyś na przykład w autobusie nie byłam w stanie niczego dotknąć. Żadnej rurki, rączki, oparcia, niczego. W którymś momencie uznałam, że dłużej tak się nie da, że inni ludzie jakoś za te rurki łapią i ja też muszę spróbować. Przełamałam się. I teraz jak wysiądę z autobusu, to jestem nawet w stanie wziąć telefon do ręki.

Z jakimi stereotypami się pani spotyka?

– Niektórym się wydaje, że jeśli kilka razy po wyjściu z domu sprawdzają, czy za-

mknęli drzwi, albo wracają się, żeby zobaczyć, czy na pewno wyłączyli żelazko, to znaczy, że mają nerwicę natręctw. Natręctwa ma w jakimś stopniu każdy, ale to nie świadczy jeszcze o tym, że jest się chorym.

A co o tym świadczy?

– Natężenie tych natręctw. Kiedy utrudniają życie. Pochłaniają bardzo dużo czasu. Mój psychiatra mówi, że ma coraz więcej pacjentów z taką diagnozą. A dwadzieścia lat temu byłam w jego praktyce jedyną taką osobą.

Co by pani chciała zrobić, kiedy tylko poczuje się lepiej?

– Ludzie się boją, kiedy zaczynam o tym mówić. Ale chciałabym się przygotować na śmierć. Przejrzeć rzeczy, które posiadam, ale też to, co mam w głowie, i doprowadzić je do takiego stanu, że kiedy umrę, to nie będzie tragedii. Po prostu chciałabym po sobie zostawić porządek. Spisać testament. Zadbać w nim o przyszłość moich kotów, żeby kiedy mnie zabraknie, miały dobre życie.

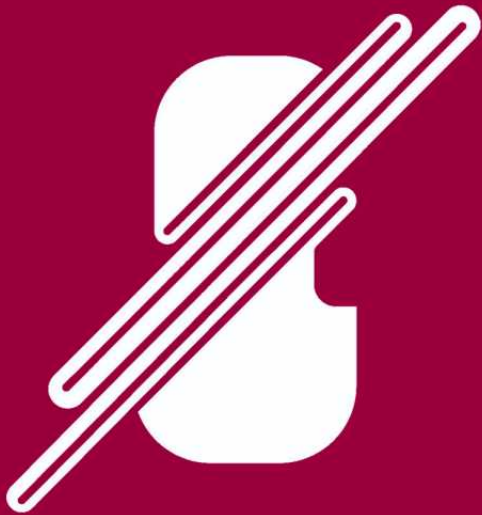
Ma pani trzydzieści dziewięć lat. Dlaczego myśli pani o śmierci?

– Bo wszyscy kiedyś umierają. A ja chcę się do tego dobrze przygotować. Nie chcę umierać w bałaganie.

Boi się pani śmierci?

– Jako osoba niewierząca niestety tak. Od dziecka się jej boję. Całe życie mam nawracające sny o wojnie. Nie wiem, skąd mi się to wzięło. Choć wydaje mi się, że nie tyle boję się śmierci, ile tego, co po mnie pozostanie. Generalnie chciałabym być dobrym człowiekiem. I chciałabym, żeby ludzie mnie taką zapamiętali. Oraz żeby uznali, że to, co po sobie zostawiłam, jest czyste i uporządkowane. Bo jeszcze bardziej niż śmierci boję się chaosu. ●

Wywiad z Laurą Akkot jest jedną z 12 intymnych rozmów o wychodzeniu z kryzysu psychicznego, które ukazały się właśnie w książce **„Czasem czuję mocniej”** (wyd. Znak Literanova).



16. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego

POZNAŃ | 7-21.10.2022

www.konkurs.wieniawski.pl

WIENIAWSKI SOCIETY

CZUŁE SŁÓWKA

Danina

W tym samym czasie, kiedy Sasin zaproponował daninę, arcybiskup Marek Jędraszewski wydał dekret, w którym nakazuje parafiom oddawać kurii dziesięcinę.

Michał Rusinek*



Jesteśmy narodem rozpoetyzowanym. Swoich poetów i poetki darzymy niebywałą czcią, budujemy im pomniki, placówki edukacyjne wszelkich szczebli nazywamy ich imionami, uczymy się na pamięć ich wersów, strof i całych poematów. Nie ma się zatem co dziwić popularności takich uniwersyteckich kierunków jak twórcze pisanie: każdy by przecież chciał być Mickiewiczem swojej epoki. Albo przynajmniej Asnykiem czy Konopnicką.

I nie ma się co dziwić, że lakniemy poezji. Z bagienka bełkotu, populistycznej demagogii, small-talku codziennego, plotkarskiej paplaniny, marketingowo-piarowej papki, językowych podróbek, sztanc, erzaców, kopii, kalk i atrap staramy się wylowić połyskujący kruszec poetyckiej frazy, oryginalny neologizm, metrum, rytm lub rym. Tak, rymowi ufamy najbardziej. Rym daje nam przeczcucie tajemnych połączeń nie tylko między słowami, ale i między słowem a rzeczą. Największa mądrość naszego ludu zakłeta jest przecież w rymowanych przysłowiach przekazywanych sobie z ust do ust, z pokolenia na pokolenie („Suchy kwiecień, mokry maj – będzie żyto jak gaj”, „Jak się baby nie bije, to jej wątrobą gnije” itp.). Zdanie rymowane ma o wiele większą nośność od nierymowanego. Nie tylko z powodów mnemotechnicznych, ale też dlatego, że bardziej w nie wierzymy, jest dla nas prawdziwsze, słuszniejsze, bardziej ufamy jego profetycznej sile.

Słusznie zatem premier Mateusz Morawiecki zobowiązał nie kogo innego, ale właśnie wicepremiera Jacka Sasina do przygotowania projektu rozwiązania, które ma ograniczyć nieuzasadnione zyski, jakie część firm osiąga przy okazji kryzysu. I słusznie wicepremier Sasin powiedział: „Zaproponowałem takie założenia, które zakładają daninę od nadmiarowych marż, nie od zysków, a od marż dużych korporacji”. Po pierwsze, „założenia, które zakładają” to oczywiste, acz subtelne nawiązanie do Leśmianowskiej poetyki i ontologii, wprowadzenie do nudnej i przyziemnej ekonomii elementu baśniowego, literackiego, pokazanie, że i w niej może przecież w sprawnych rękach rozbrzysnąć poetyckość. Po drugie, wicepremier posłużył się tu dawno nieużywanym, archaicznym, zakurzonym słowem, w które tchnął nowe życie, a takie rzeczy potrafią tylko prawdziwi poeci. I wreszcie, po trzecie, zachował się on jak poeta odpowiedzialny także za cudzą twórczość, rozbudzając poetycką namiętność w posługujących się na co dzień prozą dziennikarzach. Wielu z nich zaczęło bowiem pisać: „danina Sasina”. Jak inaczej mogłoby się nazywać obciążenie dla przedsiębiorców osiągających zbyt wysokie marże? I któż inny mógłby to obciążenie wprowadzić? Dla nas, miłośników rymu, odpowiedź jest oczywista.

Danina to inaczej trybut, czyli świadczenie o charakterze przymusowym (obowiązkowe), w naturze lub pieniądzach, składane władcy (suwerenowi) przez poddanych jako wyraz uznania jego zwierzchności. Z początku daninę płacono władzom centralnym z podległego terytorium, np. monarchowie piastowscy płacili ją cesarzowi. Danina funkcjonowała w starożytności i średniowieczu. I oto dziś z tych archeologicznych mroków wydobyl ją wicepremier Sasin.

Rozumiem, że chodziło mu o to, by tego obciążenia finansowego nie nazywać podatkiem, bo podatek źle się kojarzy, a poza tym uzależniony jest od zysku, a nie od marży. I rozumiem, że wiceminister, czyli ktoś w rodzaju władcy, może zadekretować, iż pieniądze z daniny zostaną przekazane na jakiś konkretny cel, np. na fundusz służący ochronie odbiorców energii, choć w definicji daniny tego nie ma, więc wcale tego dekretować nie musi. I rozumiem, że wybrał on słowo jeszcze zrozumiałe, pamiętane przez nas ze szkoły, choć miał do dyspozycji choćby podworowe, podymne, powołowe, poradne, poduszne, kunne, narębne i pozewne. Nie będę ich jednak wymieniać, żeby nie podpowiadać rządzącym pomysłów na kolejne obciążenia. I rozumiem, że jeśli się wprowadziło i zredefiniowało średniowieczne przecież pojęcie suwerena, to dobrze jest pozostawać w adekwatnej metaforyce i zredefiniować daninę.

Podobnym tropem podąża myśl rodzimej władzy kościelnej. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Sasin zaproponował daninę, arcybiskup Marek Jędraszewski wydał bowiem dekret, w którym nakazuje parafiom oddawać kurii dziesięcinę z ich przychodów od prowadzonej działalności „celem pokrycia potrzeb diecezjalnych”. Dziesięcina to także rodzaj daniny, którą znaleźć można w Starym Testamencie. Oznaczała obowiązek przekazywania Bogu dziesiątej części plonów, co już w średniowieczu zredefiniowano: dziesięcinę przekazywało się wtedy na utrzymanie duchowieństwa. Mimo że kojarzy się ona ze średniowieczem, to we Francji zniesiono ją dopiero w czasie rewolucji, a w Polsce jeszcze później, bo w połowie XIX wieku. I trzeba było arcybiskupa Jędraszewskiego, by cofnąć nas do szczęsnych czasów sprzed tej strasznej rewolucji francuskiej, będącej przecież krwawym początkiem postępującego upadku wartości, czyli przekłętogo oświecenia, które zastąpiło wiarę nauką i powołało do życia „demoną postępu”, jak mawiał inny arcybiskup Sławoj Leszek Głódź. Wszystko wskazuje na to, że najlepszym remedium na ekonomiczne i moralne współczesne bolączki będzie zatem dziesięcina. A jeśli nie wystarczy, to zapewne możemy się spodziewać świętopietrza. Ale może znów lepiej nie podpowiadać.

Zresztą nie sędzę, by mogło być z równym powodzeniem wprowadzone. Nie ma bowiem tej siły poetyckiej co „danina Sasina”, której wróżę olbrzymią popularność w naszym rozpoetyzowanym kraju. ●

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista

PO PRAWDZIE

Jarosław, co nie chce Niemca

Ciekawe, czy widzowie „Wiadomości” pamiętają, jak to było z wyborem von der Leyen

Agnieszka Kublik



Pod koniec września parlamentarzyści PiS mieli tajne spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim.

Prezes PiS poinstruował ich, by „nie konfrontować się z Unią Europejską, ale raczej wskazywać, że co złe w UE, to wina Niemiec”. I nakazał większą aktywność w mediach, na konferencjach prasowych, w mediach społecznościowych oraz pilnowanie, żeby przekaz władzy był jednolity.

Kaczyński instruował partyjnych podwładnych, ale widać, że na co dzień stosują się do jego wskazówek również redaktorzy „Wiadomości” TVP. A może zresztą to ta sama grupa?

„Wiadomości” wzięły teraz na celownik Ursulę von der Leyen, szefową Komisji Europejskiej. Bardzo często pojawia się jako brukselski diabeł wcielony, który Polskę okrada, szantażuje, poniża, chce pozbawić suwerenności. W podtekście – gdyż jest Niemką.

Bo ostatnio za każdym razem, kiedy w „Wiadomościach” o niej mowa, zawsze pojawia się informacja, że to Niemka. A słowo „Niemka” w „Wiadomościach” TVP intonują jak „Szwabka”.

Tak było np. w niedzielnym, głównym wydaniu „Wiadomości” w materiale pod sugestywnym tytułem: „Eurokraci chcą odebrać suwerenność”. Wstęp: „Europa jest stworzona z narodów wolnych i suwerennych – tak w Madrycie mówił premier Mateusz Morawiecki podczas kongresu hiszpańskiej konserwatywnej partii Vox. Udział w spotkaniu wzięła też przyszła premier Włoch Giorgia Meloni, której konserwatywne ugrupowanie jeszcze przed wyborami było atakowane przez szefową Komisji Europejskiej. Zdaniem ekspertów to pokazuje podwójne standardy unijnych biurokratów, którzy przekraczając swoje kompetencje, chcą zniszczyć suwerenność europejskich państw”. I cytat, jak szefowa KE zwraca się do Donalda Tuska. Ursula von der Leyen, dziękując Tuskowi za jego pracę jako przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej, powiedziała: „Kiedy znów się spotkamy, zobaczę cię, jak powiedziałeś, jako premiera”.

Tusk wyjaśniał potem, że powiedział – nie w rozmowie z szefo-

wą Komisji, tylko w pożegnalnym wystąpieniu, czyli wobec tysięcy uczestników zjazdu – że wrócił do polskiej polityki, żeby wygrać wybory i wrócić w innej roli. O „premierowaniu” miał nie wspomnieć. Ale dla „Wiadomości” to dowód, że Niemcy chcą u nas posadzić w fotelu szefa rządu proniemieckiego polityka. A ponieważ Tusk to – wedle „wiadomościowych” przekazów – niemiecki (i ruski) zdrajca, wszystko się zgadza: Niemka Ursula von der Leyen namaściła niemieckiego Tuska na polskiego premiera, by z Polski uczynić kolejny niemiecki land.

„Wiadomości” z mozołem tworzą wizerunek szefa PO jako polityka, który zdradza Polskę z jej odwiecznymi wrogami. Tusk z Merkel, Tusk z Putinem, Tusk mówiący po niemiecku – to obrazki, które w „Wiadomościach” pojawiają się kilka razy w tygodniu.

Rząd wystąpił do Niemiec z wnioskiem o odszkodowania za II wojnę i bardzo to nagłaśnia, poprzez „Wiadomości” też, bo nie chodzi o odszkodowania (od tego jest dyplomacja), tylko o hodowanie w Polakach antyniemieckich nastrojów. Bo, wiadomo, Niemiec to Szwab. – Posługiwanie się stereotypem starcia polsko-niemieckiego to przeniesienie jeden do jednego polityki historycznej czasów Gomulki – ocenia prof. Piotr Osęka, historyk czasów PRL. Ale w ten sposób rząd atakuje Unię nie wprost za to, że nas szantażuje i okrada. Zgodnie z instrukcjami Kaczyńskiego dla swoich parlamentarzystów.

Ciekawe, czy widzowie „Wiadomości” pamiętają, jak to było z wyborem von der Leyen. Otóż Parlament Europejski w lipcu 2019 r. zatwierdził jej kandydaturę większością 383 głosów, czyli tylko o dziewięć więcej od wymaganej większości. Bez poparcia PiS „Niemka” by nie wygrała.

Granie Niemką, która trzęsie Brukselą, by wszystkich zniemczyć, to żadna dyplomacja. To niebezpieczna głupota. Ale z tym rządem to normalna normalka. Lub oczywiście oczywistość, jak kto woli. ●

Niemka Ursula namaściła niemieckiego Tuska na premiera, by z Polski uczynić kolejny niemiecki land



Autorem wielu haseł jest **Michał Rusinek**

CZYSSTE RĘCE

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Na początku 1847 roku Jakob Kolletschka, profesor medycyny sądowej w wiedeńskim szpitalu powszechnym, jak zwykle przeprowadzał wraz ze swoimi studentami sekcję zwłok. Podczas niej jeden z uczniów przypadkowo zranił go skalpelem w palec. Kolletschka zmarł wkrótce potem wskutek zakażenia.

Najlepszym przyjacielem profesora był inny lekarz, Węgier Ignaz Semmelweis, który pracował w tym samym szpitalu. Śmierć przyjaciela pozwoliła mu odkryć, że lekarze i studenci, którzy dokonują sekcji zwłok kobiet zmarłych na gorączkę połogową, przenoszą następnie zakażenie na inne kobiety, które badają podczas ciąży i porodu.

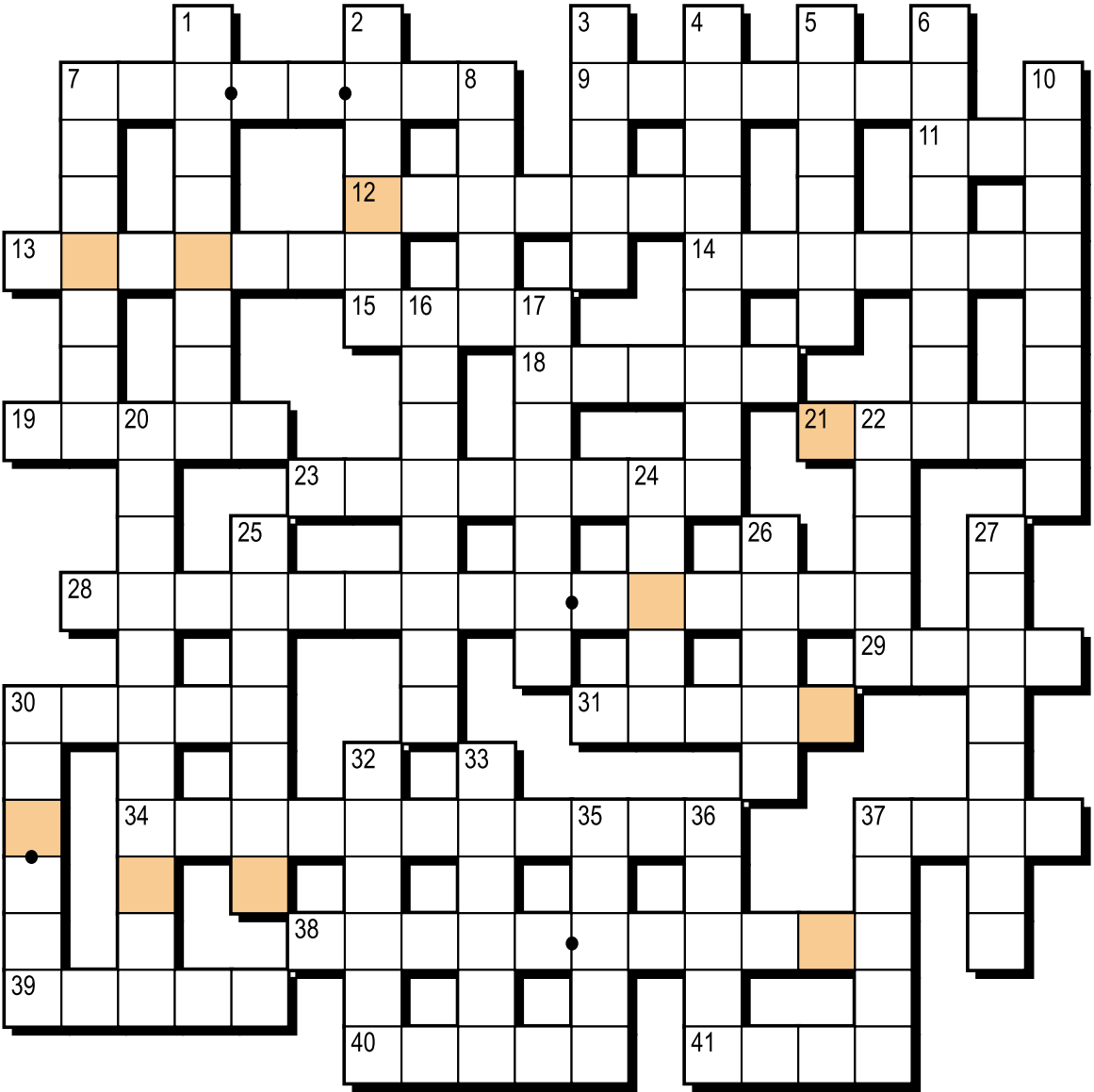
Semmelweis nakazał więc personelowi wiedeńskiej kliniki położniczej dezynfekować przed badaniem ręce i narzędzia podchlorynem wapnia. Efekty przyszły błyskawicznie.

Semmelweis był pierwszym, który uświadomił sobie, jak ważna jest higiena rąk. Środowisko medyczne, oburzone tym, że obwinia się lekarzy o śmierć pacjentek, kpilo z niego, zmarł w szpitalu psychiatrycznym, załamany ostracyzmem i atakami innych lekarzy, ponoć pobity przez pielęgniarzy.

Dlaczego przywołujemy tę tragiczną historię węgierskiego wizjonera? Otóż 15 października przypada Światowy Dzień Mycia Rąk – święto ustanowione przez ONZ w 2008 roku, które ma na celu popularyzowanie wiedzy o higienie ze szczególnym uwzględnieniem mycia rąk właśnie.

Dzisiejsza „Weekendówka” za temat przewodni wybrała więc ręce. W najprzeróżniejszych konotacjach – kulturowych, anatomicznych, historycznych czy sportowych. A do wspólnej zabawy zaprasza po raz kolejny Michał Rusinek – pisarz, tłumacz, literaturoznawca, który, trzeba przyznać, spisał się bardzo... zręcznie. Pamiętajmy więc o myciu rąk codziennie, a o „Weekendówce” – w każdą kolejną sobotę. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 21 z 8.10:
Poziomo: 2) Walther PPK; 5) diamenty; 7) Dalton; 9) Skyfall; 11) Hans; 12) Moore; 13) Seydoux; 14) Martin; 15) Sophie; 18) John; 21) GoldenEye; 22) Sean; 24) Brosnan; 26) Szkocja; 27) scena; 28) Świat to za mało; 32) Ursula Andress; 33) James; 34) Jane

Pionowo: 1) Ian Fleming; 2) wywiad; 3) Halle; 4) panna; 5) Doktor No; 6) Eilish; 8) Casino; 10) Judi; 11) Harris; 16) operacja; 17) Eve; 18) jutro; 19) Glen; 20) wahadłowiec; 23) akcja; 25) Spectre; 26) samograj; 29) Waltz; 30) Tina; 31) misje

Hasło: **TAJNY AGENT**

RĘCE

Hasła Michała Rusinka oznaczono inicjałami (MR). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
7) wiersz Haliny Poświatowskiej zaczynający się słowami: „Bądźcie pozdrowione moje dłonie, palce moje chwytne”
9) ... ręczne (szycie, haftowanie, szydełkowanie)
11) ręka, noga, mózg na ścianie, ... na widelcu
12) ... chrustu, przytargane z lasu
13) jednoręki – w kasynie

14) większy krewny bicepsa (MR)
15) wyłączyć autopilota i przejść na ... ręczny
18) bark
19) okazał, że umywa ręce
21) np. piłkarz ręczny
23) miasto nad Drwęcą, z białą dłonią w herbie
28) pasażerowie samolotu mogą je zabrać na pokład
29) Stephen, autor powieści grozy „Ręka mistrza”
30) mają dwie lewe ręce
31) sprzedawany od ręki, przechodzi z rąk do rąk
34) wróżenie z linii dłoni

37) ująć ... rządów w swoje ręce, czyli zdobyć władzę
38) czego to on nie naprawi!
39) ... wypłaty, np. 4000 zł na rękę
40) Szymborska twierdziła, że się ją miewa (MR)
41) jedno z imion wykonawczyń piosenki „Na dłoni”
Pionowo:
1) piłkarz kojarzony z „ręką Boga”
2) ręczny, z zawleczką
3) ... ręczne, czyli zajęcia praktyczno-techniczne
4) składana z ręką na sercu

5) na rękach lub w kolejce
6) „Red Right Hand” Nicka Cave’a lub „Rękawiczki” Joanny Zagdańskiej
7) nie da się ich wykonać jedną ręką (MR)
8) ręka brydżysty, pokerzysty
10) Pięściarze
16) uderzenie kogoś
17) w serialu „Stawka większa niż życie” mówi: „Ręce, ręce, ręce, Kloss!”
20) dawanie w łapę (MR)
22) niewidzialna ręka ..., ekonomiczna metafora Adama Smitha (wpisujemy w mianownik)
24) głowa, tułów, kończyny
25) ... rąk, oznaka zdenerwowania lub zmęczenia

26) z bronią w ręku
27) zakończenia rękawów
30) wyrasta w klasie, gdy pani zada łatwe pytanie
32) wszystkie ręce na ...! (musimy się zmobilizować do pracy)
33) prędzej mi ... na dłoni wyrośnie!
35) ... króla, jej ręka to nagroda w wielu bajkach
36) ... „Niewidzialna Ręka”, spopularyzowana w czasach PRL-u
37) „Wielka ... to żart, książę błazna jest wart, złoto toczy się w krąg z rąk do rąk, z rąk do rąk” (w arii z operetki „Baron cygański”)

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z **App Store**

POBIERZ Z **Google Play**